

*Pamela Britton*

*Gra o szczęście*

# CZEŚĆ PIERWSZA

Mężczyzna to myśliwy, niestrudzenie  
tropiący kobiety.

Alfred Tennyson

## Prolog

*Anglia, 1781*

Utrata dziewictwa wcale nie była cudownym przeżyciem, którego spodziewała się doświadczyć lady Ariel D'Archer. Co prawda jeszcze do niczego nie doszło, ale wyglądało na to, że niewiele brakowało.

- Ariel - jęczał Archie.

Sunął ustami wzdłuż jej szyi, pozostawiając na skórze mokry, nieprzyjemny ślad. W dodatku dyszał jej ciężko prosto w ucho jak zgrzany koń.

Ariel wpatrywała się pustym wzrokiem w sufit pokoju. Starła się zrozumieć, kiedy wszystko zaczęło się psuć. Nie wątpiła w swoją miłość do Archiego. Ukradzione w ogrodzie całusy sprawiały jej przecież ogromną przyjemność. Coś jednak zmieniło się od chwili, kiedy zgodziła się spotkać z nim potajemnie w gospodzie. Miała dziwne wrażenie, że jej niechęć wiązała się ze sposobem, w jaki ramię Archiego boleśnie wciskało się jej w bok. Mogła też mieć coś wspólnego z jego trudnym do zniesienia ciężarem.

- Archie - wykrztusiła. - Nie mogę oddychać.

- Wiem, kochanie - odparł między pocałunkami, którymi zasypywał coraz niższe partie jej ciała. - Ty też zapierasz mi dech w piersiach.

*Zapieram dech w piersiach...*

- Nie - pisnęła cicho, bo coraz bardziej ją przygniała. - Ja naprawdę nie mogę oddychać.

- Tak, tak, kochanie. Wiem.

Przesunął dłoń. Ariel natychmiast zorientowała się, dlaczego. Zielona suknia, w którą była ubrana, zesliznęła się z jej piersi, odsłaniając halkę.

- Archie - oburzyła się.

- Ariel - jęknął.

Tymczasem z powietrzem nadal było krucho.

- Proszę, przesuń się - błagała.

Spróbowała go zepchnąć z siebie.

- Przecież się ruszam - Stęknął. - Cały mój świat drży w posadach.

Przycisnął usta do jej piersi przez materiał halki. Ariel pomyślała, że musi to okropnie smakować. Na razie jednak miała inne zmartwienie, bo pociemniało jej w oczach.

- Archie - wychrypiała i, zebrawszy wszystkie siły, szarpnęła się do góry.

Mężczyzna chrząknął niezadowolony i przesunął się. Ariel wreszcie odetchnęła swobodnie. Boże, co za ulga.

Dłoń Archiego zaczęła powoli unosić jej spódnice, a on sam całował ją zachłannie.

Ariel czekała, żeby ogarnął ją żar, który zwykle wywoływały w niej pocałunki Archiego. Niestety, musiał się ulotnić gdzieś po drodze do gospody. Nagle opadły ją wątpliwości. Może nie powinni tego robić teraz, tylko poczekać do ślubu? Archie sprawiał wrażenie zbyt... wylewnego.

Ale czy nie tak powinno być? No właśnie.

- Och, Ariel, moja droga Ariel. Pragnę cię do szaleństwa.

Podciągnął wyżej jej spódnice. Gdy gładził naga skórę ponad halką, podrapał ją zadartą skórką przy paznokciu. Wzdrygnęła się, ale Archie nie zwrócił na to uwagi. Był całkowicie pochłonięty ssaniem okolic jej piersi jak głodne ciele szukające sutka matki.

W końcu go odnalazł.

- Archie? - spytała, zastanawiając się, czy wszyscy mężczyźni zachowują się w ten sposób. - To mój sutek.

- Aha, śliczny.

- Dziękuję - mruknęła, za późno uświadamiając sobie, że chyba nie jest to najwłaściwsza reakcja w tej sytuacji.

Dłoń mężczyzny dotarła do pachwiny.

- Archie - jęknęła znowu.

- Wiem, kochanie, wiem. Zaraz będziemy jedną, gdy tylko wejdę w ciebie.

Znów zaczął rytmicznie ocierać się o nią. Ariel zaczerwieniła się, gdy przypomniała sobie, że dokładnie tak samo pewnego dnia w salonie zachował się wobec niej pudel lady Haversham. Coś tu było nie tak. Co właściwie Archie miał na myśli, mówiąc, że w nią wejdzie? Widziała co prawda, jak zwierzęta robią takie obrzydliwe rzeczy, ale niemożliwe, żeby ludzie postępowali tak samo.

Nagle Archie uwolnił ją od swego ciężaru. Odetchnęła z ulgą. On tymczasem zaczął manipulować przy pasku od spodni. Ariel przyglądała się z ciekawością. W pewnym momencie zaskoczona wytrzeszczyła oczy. Oblała się rumieńcem, gdy Archie opuścił bryczesy.

Ludzie rzeczywiście spółkowali jak zwierzęta.

- Trzymaj się, kochanie.

Opadł na nią z wyciągniętymi przed siebie rękami.

- Nie, mój panie, ty się trzymaj.

Ariel wzdrygnęła się zaskoczona, ale i ucieszona na dźwięk znajomego głosu.

- Tata! - krzyknęła i skrzyżowała ramiona na piersi.

- Popraw suknię, Ariel - polecił przybysz i wymierzył muszkiet w Archiego.

Ariel z trudem hamowała łzy. Ojciec nie sprawiał wrażenia zadowolonego. Ani trochę. Był wręcz wściekły. Nie miał na sobie munduru, ale i tak wyglądał władczo. Niebieskimi oczami przesywał ją jak sztyletami. Zacisnął zęby. Był blady, ale jego wzrok ciskał błyskawice. Mimo to Ariel nie przestraszyła się. Nie od dziś była jego jedyną córką. Odważnie patrzyła mu w twarz, wcale nie wstydząc się tego, co miało za chwilę nastąpić. No, może troszeczkę.

- Odsuń się, zanim ci pomogę. - Machnął muszkietem. - A zrobię to skutecznie, obiecuję.

Archiemu krew odpłynęła z twarzy. Szybko wypełnił polecenie, unikając wzroku ukochanej.

- Tatku, my chcemy się pobrać. - Ariel poczuła potrzebę wytłumaczenia swojego zachowania.

- Cicho, Ariel. Sam omówię kwestię twojego małżeństwa z jego lordowską mością. Wyjdź.

Ariel posłusznie skierowała się do drzwi. Ojciec z grobową miną ani na chwilę nie spuszczał z oka jej kochanka. W gruncie rzeczy była zadowolona z takiego obrotu spraw. Potrzebowała czasu, żeby zastanowić się nad tym, co wydarzyło się, a właściwie co o mało się nie wydarzyło między nią i Archie.

Głośno przełknęła ślinę. Przcisnęła się obok ojca,

który blokował przejście. Drżącymi dłońmi zamknęła drzwi. W przedpokoju stała pokojówka, ale Ariel była tak pogrążona w myślach, że nawet nie przyszło jej do głowy, żeby skarcić zaufaną służącą za to, iż zdradziła ojcu miejsce schadzki.

Archie ją kochał. To, co zamierzali zrobić, było jedynie naturalnym zwieńczeniem łączącego ich uczucia. Rzeczywiście jego pieszczoty nie rozpałały jej tak jak wcześniej pocałunki. I były bardziej... niehigieniczne. Ale wszystkie kobiety musiały znosić ten brak higieny, inaczej przestałyby się rodzić dzieci.

Drzwi do saloniku po drugiej stronie korytarza były otwarte. Ariel usiadła tam, żeby poczekać. Ojciec będzie zły, że tak się pospieszyła, ale Archie na pewno wyjaśni mu, że zamierzają się pobrać. Zapomniała o mokrych pocałunkach i ciężkim oddechu, gdy pomyślała o tym, że Archie, najprzystojniejszy mężczyzna w Londynie, zwrócił na nią uwagę już w dniu jej pierwszego, debiutanckiego balu. Nawet teraz trudno jej było uwierzyć we własne szczęście.

Drzwi otworzyły się z hukiem.

- Chodź - rzucił ojciec.

- A co z Archiem?

Czy to możliwe, żeby ojciec zdenerwował się jeszcze bardziej?

- Nie odprowadzi nas do domu.

- Chyba go nie zabiłeś? - przestraszyła się Ariel.

- Nie, niestety nie.

Ariel zaczęło ogarniać zniechęcenie. Archie nawet nie raczył się z nią pożegnać. Gdy wsiedli z ojcem do powozu i ruszyli, ciągle oglądała się za siebie, żeby sprawdzić, czy ukochany nie jedzie za nimi.

- On nie przyjdzie po ciebie, Ariel.

Odwróciła się gwałtownie do ojca.

- Ależ oczywiście, że przyjdzie, tato. On mnie kocha.

- Mylisz się.

Ariel rzuciła ojcu zniecierpliwione spojrzenie.

- Wcale nie - twierdziła uporczywie. - Tysiąc razy zapewniał mnie o swojej miłości.

- Ariel, mężczyźni powiedzą wszystko, byle tylko ukraść kobiecie cnotę - twardo odparł ojciec.

- Ależ on jej nie kradł.

- Nie? Więc jesteś głupią gęsią, córko, bo on cię nie kocha. To właśnie mi przed chwilą powiedział.

- Nieprawda. - Dumnie uniosła głowę.

- Prawda.

Ariel jednak uparcie obstawała przy swoim. Archie nie był lubieżnym oszustem, który postanowił ją wykorzystać. Żaden mężczyzna by nie potrafił tak doskonale udawać zakochanego.

Tymczasem lord Worth nie zjawił się następnego dnia ani następnego. Ariel zaczęły w końcu ogarniać wątpliwości. A gdy ojciec przyszedł do córki poważnie porozmawiać, jej wiara w uczciwe zamiary Archiego poważnie się zachwiała.

- Ariel, powiedz mi, czy chcesz, żebym go zmusił do ślubu z tobą? - spytał.

- Zmusił? - wykrztusiła.

Ojciec przytaknął.

- Tak. Na pewno będzie się buntował, ale mam swoje sposoby, żeby go uciszyć.

- Nie trzeba go zmuszać - zdecydowanie odparła Ariel, patrząc ojcu prosto w twarz.

- Owszem, trzeba - warknął. - Najwyższy czas, że-



byś przejrzała na oczy. On nie ma zamiaru ożenić się z tobą, bo planuje ślub z lady Mary Carew.

- Lady Mary jest tylko jego przyjaciółką - z niedowierzaniem odrzekła Ariel. - Tak mi powiedział.

- Kłamał.

- Nie, tato. Nie wierzę.

Była święcie przekonana, że mówi prawdę. Archie nie okłamałby jej.

- Więc jesteś naiwna. Ten człowiek to łajdak i wszyscy o tym wiedzą. Wstydzę się, że wychowałam taką głupią córkę. Dzięki Bogu, nikt nie widział tej gorszej sceny z wyjątkiem oberżysty.

Ariel poczuła, jak jej policzki oblewają się rumieńcem. Zaciśnęła pięści.

- Mylisz się, tato. Możesz sobie mówić, co chcesz, ale on mnie kocha.

Nikt nie ważył się w ten sposób odzywać do hrabiego. Mężczyzna ruszył w kierunku córki. Ariel po raz pierwszy w życiu pomyślała, że ojciec ją uderzy. Przygotowała się na cios i nawet oczekiwała go. Pokaże mu, jaka jest odważna. Nie była głupia. Była podobna do niego, silna i zdecydowana. Założyłaby się o swoje życie, że Archie ją kocha.

- Modlę się, abyś miała rację, córko, bo jeśli nie, nawet ja nie pomogę ci odzyskać reputacji. Albo zdecydujesz się poślubić Archiego, albo zostaniesz sama do końca życia.

- Nie będziesz musiał go do niczego zmuszać.

Kilka dni później Ariel przekonała się, jak bardzo się myliła. Co gorsza, po mieście zaczęły krążyć plotki o tym, jak to lady Ariel D'Archer, córkę hrabiego Bettencourt, przyłapano w kompromitują-

cych okolicznościach z lordem Archibaldem Worthem.

Jej reputacja legła w gruzach.

Ojciec, z natury małomówny, przestał się w ogóle do niej odzywać. Z czasem zrozumiała, że nie uda jej się zejść z drogi, na którą niechcący wkroczyła. Ludzie, których uważała za swoich przyjaciół, odwrócili się od niej. Krewni unikali jej jak ognia. Nawet służące w domu ojca mijały ją z uniesionymi głowami i zaczynały szeptać między sobą na jej widok. Została sama, oszukana. Zdradzona.

Miesiąc później Archie poślubił lady Mary Carew.

Ariel płakała bez końca. Gdy zabrakło jej łez, przysięgła sobie, że już nigdy nie zaufa żadnemu mężczyźnie.

# 1

## *Dwa lata później*

Jeśli zrujnowana reputacja pozwalała unikać balów, lady Ariel D'Archer chętnie godziła się z losem.

- Na pewno nie będziesz zła, jeśli zostawię cię samą?

Ariel odwróciła się do kuzynki Phoebe, jedynej krewnej, która nadal z nią rozmawiała, i uśmiechnęła się z lekceważeniem. Ten fałszywy uśmiech kosztował ją sporo wysiłku.

- Oczywiście, że nie, moja droga. Lepiej idź już, zanim twój uroczy mąż zacznie się nudzić i poprosi do tańca kogoś innego.

Phoebe zmarszczyła brwi, jakby wyczuła kłamstwo.

- Przepraszam, że namówiłam cię na ten bal, Arie. - Rozejrzała się wokół i jej niewinne, błękitne oczy spochmurniały. - Naprawdę wierzyłam, że ludzie już zapomnieli.

Zapomnieli o skandalu, który wykluczył mnie z towarzystwa dwa lata temu? Mało prawdopodobne, pomyślała. Ludzie żyli takimi wydarzeniami. Nieważne, że była córką hrabiego. Próbowwała wytłumaczyć naiwnej kuzynce, że zrujnowanej reputacji nie da się naprawić, ale nie potrafiła oprzeć się namowom drogiej Phoebe. Teraz jednak, gdy stała samotnie przy par-

kiecie dla tańczących, zaczęła powątpiewać, czy podjęła właściwą decyzję.

Na szczęście ojciec nie był świadkiem jej upokorzenia. Gdyby nie wyjechał z miasta, nie pozwoliłby jej wziąć udziału w tym balu.

- Jeśli chcesz, poproszę Johna, żeby wezwał powóz.

- Mam wyjść? - zdziwiła się Ariel. - I stracić całą zabawę? - Wskazała na bogato przystrojoną salę. Pokój tonął w kwiatkach, na pewno jakiś ogrodnik rozpaczał z powodu utraty ukochanych roślin. W powietrzu unosiła się słodka woń, która nie była jednak w stanie zneutralizować zapachu zgrzanych ciał, wyperfumowanych sukni i wosku. - Wykluczone.

- Na pewno? John potem wróci po mnie i Reggiego.

Ariel spojrzała na swoją długoletnią przyjaciółkę i potrząsnęła głową. Z peruki Phoebe uniósł się puder i osiadł na jej ramionach jak mąka. Peruki wyglądały bardzo elegancko, ale w gruncie rzeczy ich noszenie było niezmiernie uciążliwe. Ariel od peruki śwędział kark. Miała ogromną ochotę się podrapać.

- Chętnie tu postoję, moja droga - odparła. Jest to równie przyjemne, jak stanie na rozżarzonych węglach, dodała w myślach. - Idź już. Reggie się niecierpliwi.

Kuzynka nadal jednak spoglądała na nią niezdecydowana. Ariel postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Odwróciła Phoebe i lekko pchnęła ją w kierunku mężczyzny w okularach, który czekał nieopodal i uśmiechał się nerwowo. Ariel odwzajemniła uśmiech.

- Idź - powtórzyła.

Kuzynka w końcu odeszła, ale bez przekonania. Ariel zauważyła, że przekrzywiła jej się peruka. Cały ten wieczór zapowiadał się nieciekawie.

Z westchnieniem patrzyła za oddalającą się kuzynką. Starła się przekonać samą siebie, że nie rzuca się zbyt w oczy. Cofnęła się o krok i ukryła za bujną palmą rosnącą w doniczce. Niepotrzebnie przyjechała do miasta. Po pierwszych kilku miesiącach wygnania na wsi ani trochę nie tęskniła za towarzystwem. Komu brakowałoby naklejania czarnych piegów na skórze? Albo bufiastych spódnic? Napudrowanych peruk? O, nie. Wcale za tym nie tęskniła.

Z trudem ignorowała oburzone spojrzenia, jakimi ją obrzucano. Przybrała maskę obojętności, którą przećwiczyła przed lustrem. To nie było sprawiedliwe. Dlaczego tylko ją ukarano? Przecież to nie ona była łajdakiem, który próbował zdeprawować niewinną dziewczynę. Ludzie jednak uważali inaczej. Dla nich liczył się jedynie fakt, że przyłapano ją w kompromitujących okolicznościach z mężczyzną, nie będącym jej mężem. Nie miało żadnego znaczenia, że Ariel wierzyła, iż Archie się z nią ożeni. Tymczasem on jej nie kochał i nie zamierzał poślubić nawet po tym, co jej zrobił.

Do diabła z nimi wszystkimi, pomyślała.

- Jak na tak piękną kobietę, wygląda pani na wyjątkowo rozdrażnioną.

Ariel wzdrygnęła się. W pierwszej chwili otworzyła usta ze zdziwienia, szybko jednak na jej twarz powrócił przećwiczony wyraz obojętności. Wyprostowała się. Stał przed nią groźnie wyglądający, ale przystojny mężczyzna. Twarz znaczyła mu blizna, ciągnąca się od lewego oka przez cały policzek. Przypominał panterę, która stoczyła niejedną walkę. Cały nawet ubrany był na czarno: czarna marynarka,

czarne spodnie, czarny brylant w spince do krawata.

Ariel zamrugała. Przecież to nieładnie tak się gapić, nawet jeśli jest na co.

- A szkoda - dodał szelmowskim tonem. Oczy miał wyjątkowe, tysiące kolorów zlanych w jeden niepowtarzalny. - Na takiej pięknej buzi nigdy nie powinien gościć smutek.

Ariel znów zapatrzyła się na nieznajomego. Uśmiechnął się i blizna z jednej strony ściągnęła mu twarz. Ariel zafascynował ten grymas, choć przypuszczała, że niektóre kobiety mogłyby zemdleć na ten widok. Mężczyzna nie nosił peruki i to też różniło go od innych. Kruczoczarne kosmyki ściągnął w ciasny kucyk, który sterczał mu z tyłu głowy. Żadnego pudru czy gumki, tylko skórzany rzemyk.

- Przepraszam, ale czy my się znamy? - wydukała.

To na pewno ten pobyt na wsi sprawił, że straciła wszelką ogładę i wstydziła się nieznajomych.

- Nie sędzę, chyba nikt nas sobie nie przedstawił.

Na pewno nie, bo takiego mężczyzny nie da się zapomnieć. Uśmiechał się półgębkiem. Ariel nagle zaschło w gardle i zapragnęła skryć się w mysią dziurę.

- Wobec tego proszę mi wybaczyć. - Dygnęła. - Nie powinniśmy ze sobą rozmawiać.

Odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. Blizna na jego twarzy drgała niepokojąco, przyciągając uwagę. Zaciekawieni goście zaczęli zerkać w ich stronę. Ariel odwróciła się, żeby nieznajomy nie zorientował się, jak bardzo ją zaintrygował swoją niespotykaną urodą i czarnym strojem.

- Czyżby sądziła pani, że rozmowa ze mną może zaszkodzić pani reputacji?

Ariel spojrzała na niego urażona, ale nie zamierzała reagować na te słowa. A więc wiedział o jej przeszłości? Nic dziwnego, znali ją wszyscy obecni na balu, podobnie jak połowa Londynu. Nie ma powodu, żeby unosić się honorem.

- To dziwne, ale nie sądziłem, że jest pani taka naiwna - dodał.

Ariel wyprostowała się.

- Przyznaję, że moja reputacja jest nadszarpnięta, ale pomimo krążących o mnie plotek nadal jestem damą. I będę zachowywała się w sposób, jaki przystoi damie.

Chciała odejść, zakończyć tę nieprzyjemną rozmowę. Nieznajomy położył jej dłoń na ramieniu. Wzdrygnęła się zaskoczona.

- Do widzenia - rzuciła.

- Proszę nie odchodzić.

Spojrzała wymownie na jego rękę. Miał na palcu sygnet z niezwykłym oczkiem, zielonym z czerwonymi plamkami. Zabrał dłoń i pierścionek zniknął jej z oczu.

- Nie chciałem pani obrazić, tylko poznać.

- Więc już się poznaliśmy. Zegnam pana.

- Nie - poprosił szybko. - Proszę zostać. Czuję, że pani potrzebuje towarzystwa tak samo jak ja.

Ariel zeszywniała.

- Nie jestem samotna.

- A ja myślę, że tak.

- W tym momencie nie zależy mi na towarzystwie - odparła odważnie. - Proszę odejść, zanim wywoła pan jeszcze większe poruszenie.

- Czyżbyśmy wywołali poruszenie? - Rozejrzał się. - Chyba tak.

- Jak to dobrze, że chociaż oczy pana nie zawodzą, bo uszy najwyraźniej tak.

Uśmiechnął się.

- W dodatku, jak mi mówiono, pomimo blizny moje usta również nieźle sobie radzą.

Zaskoczyło ją, że tak otwarcie mówił o swoim znaku szczególnym.

- Moje usta także właśnie proszą pana o odejście.

- Ale ja nie chcę. Rozmowa z panią jest wyjątkowo zajmująca.

- Wobec tego ja odejdę. - Odwróciła się na pięcie.

Znów ją zatrzymał. Spojrzała na jego dłoń i rozluźnił uścisk.

- Boi się pani rozmawiać ze mną?

Ariel uniosła dumnie brodę.

- Niczego się nie boję, a już na pewno nie pana.

- W takim razie ciekawe, dlaczego jeszcze chwilę temu wyglądała pani, jakby chciała uciec z sali?

- Nie chciałam uciec.

- Bzdura. Chciała pani.

- Nawet jeśli tak, to nie pańska sprawa.

Wzruszył ramionami.

- Ja się tylko zastanawiam, dlaczego chciała im pani dać satysfakcję i utwierdzić w przekonaniu, że mają rację.

Najwyraźniej nieznajomy był zbyt spostrzegawczy.

- Co ma pan na myśli?

Zacisnął usta i popatrzył na nią wyzywająco.

- Dobrze pani wie, co mam na myśli.

Owszem, wiedziała, ale nie przyznałaby się do tego za żadne skarby świata.



- Proszę ze mną zatańczyć. Proszę im pokazać, że jest pani twarda.

Ariel zamrugła zaskoczona.

- Kim pan jest?

Mężczyzna zawahał się, jakby zastanawiał się, czy odpowiedzieć.

- Nazywam się Nathan Trevain.

*Trevain.* Ariel zeszywniała.

- Krewny księcia Davenport?

Uśmiechnął się ironicznie i uklonił.

- To mój stryj.

A to oznacza, że był...

- Jestem jego spadkobiercą.

Odgadł jej niewypowiedziane pytanie.

- Moje gratulacje. Słyszałam, że to księstwo przynosi wyjątkowe zyski. Na pewno jest pan zadowolony, że kiedyś odziedziczy tytuł stryja.

Po raz pierwszy Ariel odniosła wrażenie, że dotknęła go swoimi słowami.

- W ogóle się nad tym nie zastanawiam.

Powiedział to jakimś dziwnym, zgaszonym tonem.

- Nie? A ja myślałam, że tu wszyscy mężczyźni przeliczają majątek, który mają odziedziczyć.

- Nie ja.

- Ach, tak. Cóż, skoro tak pan twierdzi.

- Jeśli chce mnie pani zdenerwować, to nie w ten sposób. Nie odpowiedziała pani na moje zaproszenie.

- Odmawiam. Może powinnam panu dać to na piśmie, bo najwidoczniej ma pan problemy ze słuchem.

- Jeśli pani charakter pisma jest tak piękny jak pani, z przyjemnością przyjmę tę informację na piśmie.

- Proszę mi znaleźć pióro i papier, a spełnię pańską prośbę.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Słucham? Zostawić panią samą, żeby mogła pani uciec i schować się przede mną? Nie ma mowy.

Ariel spojrzała na niego oburzona.

- Proszę ze mną zatańczyć, lady D'Archer. Później oczaruje mnie pani swoim piśmem.

- Szkoda, że nie znalazł mi pan pióra - odgryzła się. - Chętnie bym nim pana dźgnęła.

Trevain cofnął się o krok zaskoczony, że Ariel wciąż mu dogaduje.

- Co za żądza zemsty.

- Miałam nadzieję, że odstraszę pana od siebie w ten sposób - przyznała.

- Nie - odparł zdecydowanym tonem.

Nachylił się do niej. Nie cofnęła się, choć czuła, że powinna. Był taki przystojny i onieśmielający.

- Tuż przed pani przybyciem zabawiano mnie skandalicznymi opowieściami z pani przeszłości. Cieszy się pani złą opinią.

- Wobec tego dlaczego rozmawia pan ze mną?

- Bo lubię obcować z osobami cieszącymi się złą opinią. Są o wiele bardziej interesujące od zwykłych ludzi i doceniają moją egzotyczną urodę, nie sądzi pani?

- I dlatego chce pan ze mną zatańczyć? - spytała, ignorując jego ostatnią uwagę.

- Nie. Chcę z panią zatańczyć, bo sądzę, że źle by pani zrobiła, uciekając.

- Wcale nie zamierzałam tego zrobić - zdenerwowała się.

- Owszem, zamierzała pani.

Ariel popatrzyła na niego twardo.

- Nie zostawi mnie pan w spokoju?

- Nie.

Nieznośny, uparty człowiek, ale miał rację. Ludzie byliby oburzeni, gdyby odważyła się zatańczyć na ważnym balu, szczególnie że nikt nie pochwalał jej powrotu do miasta. Kusząca myśl, stwierdziła. Dla odmiany zacznie się zachowywać tak, jak spodziewano się po upadłej kobiecie.

Uniosła dumnie głowę.

- A więc dobrze, panie Trevain, zatańczę z panem

- oznajmiła nieoczekiwanie.

Oczy mężczyzny rozbłyły. Ariel nie spodobała się taka zuchwałość, ale nie zareagowała. Tylko jeden taniec, nic więcej. Proste jak bułka z masłem.

- Właściwa decyzja. - Ukłonił się i podał jej ramię. Sygnet zalśnił w świetle świec.

- To się jeszcze okaże - mruknęła.

Przyjęła ramię Trevaina, ale zachowała należyne dystans. Zaprowadził ją na parkiet dla tańczących. Ariel starała się nie myśleć o tym, jak bardzo brakowało jej zabaw w ostatnich latach. Zatrzymali się tuż przed wirującymi parami. Oczy wszystkich skierowały się prosto na nich. Ariel próbowała skupić się na czymś innym niż na towarzyszącym jej mężczyźnie. Musieli poczekać, aż umilknie muzyka. Phoebe rzuciła jej zaskoczony spójrzanie, a po chwili uśmiechnęła się radośnie. Nawet gdy wybuchł skandal, Phoebe się jej nie wyparła. Nie uważała, że powinno się gardzić kuzynką ani winić ją za to, co się stało. Ariel też pragnęła tak myśleć, ale wystarczyło kilka dni, żeby się przekonać, jak okrutni i bezlitośni potrafią być ludzie.

Instrumenty umilkły. Ariel stanęła naprzeciwko Trevaina. Rąbkiem szerokiej sukni muskała spódnice innych kobiet. Do jej uszu dochodziły złośliwe szept. Ktoś rzucił głośniej słowo „Cyganka”. Nie podniosła wzroku, chociaż fakt, że wypomniano jej pochodzenie, wytrącił ją z równowagi. Ludzie mogli sobie myśleć sobie o niej, co chcą, ale nie znosiła, gdy wytykano jej, że ma matkę Cygankę.

- Tak już lepiej.

Uniosła głowę. Płomyki świec umieszczonych w żyrandolu migotały poruszone delikatnym wiatrem, który przyniósł ze sobą woń róż i owoców cytrusowych. Twarz, która pochylała się nad nią, była przystojna pomimo blizny, ale największe wrażenie robiły oczy. Trevain wpatrywał się w nią przenikliwym, intensywnym wzrokiem, jakby chciał odgadnąć jej myśli.

- Nie rozumiem.

- Pani policzki nabrały kolorów.

Kolorów? Faktycznie czuła, że zrobiło jej się gorąco. To ze złości. Opanowała się.

- Nie powinna się pani denerwować. Daje im to przewagę nad panią.

Ariel ucieszyła się, gdy muzyka rozbrzmiała na nowo. Sądziła, że w tańcu nie będą mogli swobodnie rozmawiać, ale pomyliła się. Grano wiejską melodię, która wymagała bliskości partnerów. Co gorsza, musieli się dotykać. Trevain przyciskał płasko swoją rękę do wnętrza dłoni Ariel i przytrzymywał ją wysoko nad jej głową. Jego spojrzenie zsuwało się w głąb dekoltu Ariel. Zrobiło jej się nieswojo.

- Czy nadal zaprzecza pani, że miała ochotę uciec z sali? - spytał.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Rozdzielili się na chwilę i zaraz znów połączyli.

- Uparciuch - skwitował.

Ariel spojrzała na niego z wyższością. Dała mu do zrozumienia, że jest córką hrabiego, a on przybłądą. Tylko że wcale nim nie był. O ile pamiętała, ojcem Nathana Trevaina był młodszy brat księcia. Zrzekł się tytułu, aby zamieszkać w koloniach, co tłumaczyło charakterystyczny akcent jej partnera. Mieszkał w Ameryce.

- Jestem bardzo przyjaźnie nastawiona do gości balu.

Potrząsnął głową.

- Ale z pani kłamczucha.

Okrążyli się jak walczące ze sobą jastrzębie.

- A pan jest niewychowany.

- Dziękuję za komplement. Proszę mi powiedzieć, co takiego jest w tych ludziach, że chce się pani z nimi zaprzyjaźnić?

- Wcale nie chcę.

- Więc dlaczego zależy pani na ich opinii?

Ariel zacisnęła usta. Nathan nie rozumiał, dlaczego drażył ten temat. Powinien był z tą piękną kobietą flirtować, śmiać się, żartować. On tymczasem wołał się z nią spierać, dopóki nie przypomniał sobie, że jest córką jego największego wroga.

Ładną, to prawda, nawet w peruce. Wiedział, że pod nią są gęste, długie, czarne włosy. Obserwował Ariel od jakiegoś czasu, podziwiał z daleka. Tak, pragnął jej, chociaż należała do kobiet, których unikał jak ognia - piękna arystokratka, a więc i zepsuta księżniczka. Pomyślał, że pięknym kobietom nie wolno ufać pod żadnym pozorem. Jego ręka powędrowała w kierunku policzka.

Przypomniał sobie zadanie, które go czekało. Nie powinien poddawać się urokowi lady Ariel D'Archer. Ona tymczasem urzekła go swoimi kocimi oczami i egzotycznymi, cygańskimi rysami twarzy. Miała gładką, mlecznobiałą skórę, skrywaną przed słońcem i pieczołowicie pielęgnowaną. Pragnął jej dotknąć, ale interesów nie należało mieszać z rozrywką, szczególnie w tym wypadku.

- Nie zamierza pani odpowiedzieć? - spytał, gdy milczenie się przedłużyło. - Szkoda, bo według mnie większość zebranych tu gości jest warta mniej niż papier, na którym narysowane jest ich drzewo genealogiczne.

Ariel spojrzała na niego spod oka. Zauważył, że blizna nie zrobiła na niej większego wrażenia. To dobrze, bo obawiał się, że może ją odstraszać.

- Jak doszedł pan do tego wniosku? - spytała.

- Obserwując.

- A przecież pan też jest jednym z nich.

- Czyżby?

Tak łatwo okpić tych Brytyjczyków. Nawet teraz nikt z zebranych nie podejrzewał, że wśród nich znajduje się człowiek, którego niejeden urzędnik chętnie zobaczyłby za kratkami. Nie, on nigdy nie będzie taki jak ci ludzie. Dla niego nie liczyło się pochodzenie ani tytuły.

- Oczywiście, że tak. A przynajmniej tak właśnie pan sądzi.

Znów próbowała go obrazić. Dawała mu do zrozumienia, że nie jest džentelmenem. Niech jej będzie. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zaczął podziwiać odwagę Ariel. Gardziła ludźmi, którzy dzisiejszego wieczoru potraktowali ją wyjątkowo nieprzyjemnie, ale nie do końca udało jej się ukryć przykrość, jaką jej

sprawili. Dumnie spoglądała wokół, zbyt dumnie jak na kogoś, kogo nie obchodzi zdanie innych. On sam wiele w życiu wycierpiał i wiedział, jak to jest.

- Rzeczywiście nie mogę zaprzeczyć swojemu arystokratycznemu pochodzeniu, ale nie jestem prawdziwym dżentelmenem. Do Anglii przybyłem niedawno.

- Kiedy?

- Dwa miesiące temu. - Dostrzegł zdziwienie w jej oczach. Ciekaw był, jak zareagowałaby, gdyby wiedziała, że zjawiłby się tu wcześniej, gdyby tylko mógł. Niestety, tuż po wojnie trudno było znaleźć statek, który płynąłby do Anglii. - Nie wyznaję zasady, że tytuł arystokratyczny określa wartość człowieka.

- Interesujące.

- Rzeczywiście. W dodatku wcale mi się nie podoba tutejsza moda. - Rozejrzał się i nachylił do niej z wyrazem szczerzej ciekawości na twarzy. Zdziwił się, że się nie odsunęła, i zaczął żywić nadzieję, iż jego plan się powiedzie. - Proszę mi powiedzieć, dlaczego kobiety noszą takie wysokie peruki? I szerokie suknie? Czyżby brały udział w jakimś konkursie?

Usta Ariel zadrżały w powstrzymywanym uśmiechu, ale zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

- Ależ skąd. Kobiety po prostu hołdują aktualnej modzie.

- Ach, tak? - spytał, jakby pomogła mu zrozumieć coś, nad czym zastanawiał się od dawna. - Ciekawe. Może więc właśnie tu popełniła pani błąd dziś wieczorem. Powinna była pani założyć większą perukę. Wówczas lepiej przyjęto by pani powrót do społeczeństwa. Co najmniej połowa kobiet w tej sali ukry-

wa swoje zepsucie pod strzechą sztucznych włosów. Dlaczego miałyby pani być inna?

- Jest pan niepoprawny - mruknęła, ale wydało mu się, że dostrzegł w jej oczach wesołe ogniki.

- Zgadzam się, ale proszę mi pozwolić jeszcze coś dodać. - Przechylił głowę jak zwykle, gdy chciał ukryć bliznę, i uśmiechnął się. - To oczywiste, że pani jest damą w przeciwieństwie do zebranych tu kobiet. - Wydawało mu się, że powiedział to przekonująco.

- Dziękuję... chyba.

Trevain nadal uśmiechał się do niej, ale zauważył, że coś się w niej zmieniło. Zamknęła się w sobie. W dodatku musieli oddalić się od siebie, a gdy znów się zbliżyli, zniknęło całe rozbawienie. Jego miejsce zajęła obojętność. Gorączkowo zastanawiał się, co powiedzieć, żeby przywrócić poprzedni nastrój, ale muzyka zamilkła i Ariel odsunęła się od niego.

- Dziękuję panu. - Dygnęła.

- Nie ma za co - odparł, ale Ariel odeszła szybko, nie czekając na jego odpowiedź.

Patrzył za nią. Spod peruki wysunął jej się kosmyk czarnych włosów.

- Niech to diabli - mruknął pod nosem.

W czym się pomylił? Jak miał zdobyć zaufanie kobiety, która właśnie od niego uciekła?



## 2

Ariel rzeczywiście uciekła. Skierowała się do najbliższego wyjścia, którym okazały się drzwi balkonowe wychodzące na ogród. Jej oczom ukazało się bogactwo kolorów, a w nozdrza wpadł rozkoszny zapach kwitnących kwiatów: róż, jaśminu, lilii. Gdy przystanęła, zorientowała się, że ciężko dyszy. Zbiegła ze schodków, żeby jak najszybciej ukryć się w jakimś zacisznym miejscu i dojść do siebie. Na szczęście na zewnątrz nie widziała żadnych spacerowiczów. Wieczór był zbyt chłodny na przechadzki na świeżym powietrzu. Nie dla niej jednak. Boże, ten mężczyzna zupełnie wyprowadził ją z równowagi. Na pewno tak wpłynęła na nią jego uderzająca, mroczna uroda.

Dosyć tego. Trzeba wziąć się w garść. Znajdzie kuzynkę i powie jej, że chce już wracać. Zrobiła to, co do niej należało, czyli pokazała się w towarzystwie, a nawet zatańczyła.

I ten taniec zburzył jej spokój.

Ależ skąd, opanowała się szybko. Nie ma co ukrywać, nie chodziło o taniec, tylko o tego mężczyznę. Miał w sobie coś - coś równie odpychającego, jak i pociągającego. Gdy dotknął jej dłoni, odniosła nieprzeparte wrażenie, że pod maską kpiarza kryje się coś więcej. To odczucie zaalarmowało ją i zaintrygowało jednocześnie.

Znalazła kamienną ławkę na skraju trawnika z dala od drzwi do sali balowej i ciekawskich spojrzeń gości. Rozłożyła lawendową spódnicę i usiadła. Chłodne powietrze przenikało przez materiał sukni, ale jej krew nadal była rozgrzana tańcem. Czy dlatego, że instynktownie wyczuła w Trevainie bratnią duszę? Kogoś, kto też wiele w życiu wycierpiał? Może.

- Tu pani jest.

Jakby ściągnęła go myślami. Blask padający z okien oświetlał mu prawą stronę twarzy, lewą pozostawiając w cieniu. Blizna dodawała mu mrocznego uroku, a bez niej wyglądał zachwycająco. Na jego widok Ariel zaparło dech w piersiach. Intensywnie spojrzenie ciemnych, tajemniczych oczu, zmysłowy uśmiech.

- Uciekła pani tak szybko, że nie zdążyliśmy się pożegnać.

Ariel nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na niego bez słowa. Ogarnęło ją dziwne uczucie... jakby podniecenie. Nie, to niemożliwe, pomyślała. Przecież dopiero co poznała tego człowieka.

Wstała powoli. Suknia szeleściła przy każdym jej ruchu. Na rąbku zebrała się rosa i zmoczyła jej pantofle.

- Szedł pan za mną.

Nawet w półmroku dostrzegła, że kpiąco uniósł brew.

- Co za przenikliwość.

Ariel w gruncie rzeczy rozśmieszył ten żart, ale nie chciała tego okazywać.

- Tak, cóż, niepotrzebnie się pan fatygował. Teraz wolałabym być sama.

Trevain spoważniał.

- Żeby rozczulić się nad sobą?

Ariel znów poczuła się zagrożona. Nie zbliżył się

co prawda, ale patrzył na nią zmysłowo, niemal parzącym wzrokiem.

- A może boi się mnie pani? - Teraz nachylił się do niej.

- Dlaczego tak pan sądzi?

Wzruszył ramionami.

- Bez powodu.

Ariel zmieszana się. Rzeczywiście bała się go, ale nie mogła mu tego okazać.

- Powtarzam raz jeszcze: co za różnica, czy ucieknę, czy nie?

- Nie chcę, żeby pani uciekła.

- Nie potrzebuję pańskiego pozwolenia.

- Faktycznie, ale szkoda by było, żeby pani uciekła, zanim zacznie się zabawa - zażartował.

- Jaka zabawa? - spytała zdeorientowana.

Patrzył na nią długo, aż się zaczerwieniła. W końcu wyprostował się. Ariel wydało się, że oczy mu rozbłysły, ale może sprawił to tylko blask księżyca.

- Postanowiłem pani pomóc.

- W czym?

- Wyrównać rachunki.

Ariel roześmiała się mimowolnie.

- Ach, tak. I co pan proponuje? Wpuścimy wszystkim węże do sypialni? A może powrzucamy im karaluchy do zupy?

- Z przyjemnością znalazłbym się z panią w sypialni.

Ariel serce podskoczyło do gardła. Powiedziała sobie, że Trevain zachowywał się tak samo jak Archie, ale i tak zrobiło jej się gorąco. Ile to już czasu minęło, odkąd flirtował z nią jakiś mężczyzna? Rozluźniła się i spojrzała w niebo.

- Co pani robi? - spytał, gdy nie odpowiedziała.

- Sprawdzam, czy świnie nauczyły się latać, bo wcześniej na pewno nie znajdziemy się razem w jednej sypialni.

Trevain roześmiał się. Bardzo spodobał jej się ten głęboki, serdeczny męski śmiech.

- Cięty ma pani język.

- Dziękuję, staram się.

- I pani słowa brzmią bardzo wyzywająco.

Ariel nie rozumiała, dlaczego nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa i stały jak wrośnięte w ziemię, podczas gdy rozum kazał jej uciekać. Nadskakujący jej mężczyzna mógł przynieść jedynie kłopoty i, co gorsza, ból.

- Tak się tylko panu wydaje.

- Zobaczymy.

- Tak, zobaczy pan, że marnuje czas.

Nie odpowiedział i jego milczenie sprawiło jej przykrość.

- Ale czy nie jest pani ani trochę ciekawa, co mam do zaproponowania? - spytał w końcu.

- Nie, wystrzegam się mężczyzn, którzy bez powodu obdarowują prezentami.

- Ale ja nie oferuję pani prezentu, tylko siebie.

- Dziękuję, ale ktoś już mi dziś ofiarował butelkę żółci. Wolę ją niż pana.

Trevain znów się roześmiał. Również Ariel ta poryczyka słowna podobała się coraz bardziej.

- Rani mnie pani do żywego.

- Szkoda, że nie pańskie nadgarstki.

Chwycił się za serce.

- Och.

- Och? Co się stało? Czyżby pańskie ego nie mieściło się już w pańskiej klatce piersiowej? Boli?

Uniósł ręce do góry.

- Rozejm, proszę o rozejm. Mam dosyć pani przytyków.

- Świetnie. Może w takim razie zostawi mnie pan w spokoju.

- Dopiero jak mi pani odpowie. Przyjmuje pani moją pomoc czy nie?

- W czym? - spytała z rezygnacją.

- Wprawimy wszystkich w osłupienie.

- Ach, tak?

- Właśnie tak.

- A dlaczego właściwie tak pan się zapalił do tego pomysłu? Przecież sam pan twierdził, że ci ludzie nie są warci uwagi.

- Bo uważam Anglików za nudziarzy. Bo skoro jestem w Anglii, mam ochotę się zabawić, a w tym momencie pani daje mi na to największą szansę.

- A może próbuje mnie pan uwieść.

Z jakiegoś powodu wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź. Widziała, że udało jej się go zaskoczyć. Nie, zareagował inaczej, ale nie była w stanie sprecyzować jak. Czasami przecież intuicja ją zawodziła, na przykład jeśli chodziło o Archiego.

- Droga pani, nie brakuje kobiet, które o wiele bardziej niż pani pragnęłyby, bym je uwiódł.

- Tak, ale im trzeba płacić.

Trevain roześmiał się. Ariel nie mogła uwierzyć, że te słowa padły z jej ust.

- Właśnie - skwitował.

- Zaryzykowałabym stwierdzenie, że takie kobiety nie stanowią żadnego wyzwania.

- Czyżby to była propozycja z pani strony?

- Ależ skąd, ja tylko stwierdzam fakt.

- Aha.

- Musi pan zrozumieć, dlaczego nie potrafię uwierzyć, że chce mi pan pomóc z dobrego serca. Powiedzmy, że nie miałam dobrych doświadczeń z mężczyznami.

Mimo że niespodziewane spotkanie z Trevainem podnieciło ją, wiedziała, że teraz już nie okazałaby takiej uległości jak wobec Archiego.

- Tak trudno uwierzyć, że mężczyzna chce pani pomóc z dobroci serca?

- Mężczyźni, których znam, nie mają serca.

- Może ja jestem inny.

Wątpliwe. Wszyscy mężczyźni są tacy sami.

- Może powinna pani zaryzykować i uwierzyć, że ja chcę się jedynie z panią zaprzyjaźnić.

Zbliżył się do niej. Ariel nie poruszyła się, choć miała ogromną ochotę się cofnąć. Serce trzepotało jej w piersi jak spłoszony ptak.

- Może powinna pani wiedzieć, że według mnie nie ma sensu uciekać na wieś i pozwalać tym obłudnikom decydować o pani życiu.

Ariel uniosła głowę. Jej oczy ciskały błyskawice.

- Może powinna pani wiedzieć, że uważam połowę gości dzisiejszego balu za hipokrytów pierwszej wody. Oczerniają innych, mimo że sami mają na sumieniu o wiele więcej grzechów. - Nachylił się do niej. - Niech im pani nie pozwala wygrać. Jeśli się pani podda, do końca życia będzie pani musiała opędzać się od mężczyzn składających jej nieprzyzwoite propozycje.

Ariel patrzyła na niego w zamyśleniu. Wiedziała, że ma rację. On nie patrzył na nią nieprzyzwoicie tej

nocy, ale inni tak. Ci mężczyźni uważali ją za łatwą zdobycz ze względu na jej nadszarpniętą reputację. Nienawidziła ich za to.

Czekał na odpowiedź, ale Ariel milczała. Była zła na niego. Nic jej nie obchodziły jego głupie spostrzeżenia.

- A może właśnie tego pani chce? - spytał.

Ariel nadal się nie odzywała, choć wiedziała, że takie zachowanie jeszcze bardziej prowokuje Trevaina. Mógłaby zrobić coś nieobliczalnego.

Na przykład pocałować mnie, pomyślała nieoczekiwanie.

- Nie - odparła w końcu.

- Nie? - spytał. - Nie byłbym taki pewien.

Przysunął się do niej o krok. Czuła ciepło bijące z jego ciała, wdychała podniecający, męski zapach. Cofnęła się, za sobą miała już ławkę.

- Interesujący sygnet - zauważyła, starając się zmienić temat.

- Tak? - spytał, podchodząc jeszcze bliżej.

- Tak... a... jaki to kamień? - wykrztusiła.

- Serpentyń.

- Ach, tak. - Co za zbieg okoliczności. Serpentyń w sygnecie mężczyzny, który porusza się jak wąż. - Jeszcze nigdy nie widziałam takiego.

Trevain nic nie odrzekł, ale stał już tuż przy niej. Natychmiast zapomniała o pierścionku.

- Co pan robi? - spytała, wściekła, że drży jej głos.

- Zamierzam zaryzykować.

Zaryzy...

- Och, nie - zaprotestowała, gdy tylko zrozumiała, co miał na myśli. Chciała się uchylić, ale był szyb-

szy. Otoczyły ją silne ramiona i jej protest ograniczył się do słabego „nieee”.

- Tak - odpowiedział i nachylił się do niej.

Poczuła na ustach jego ciepłe wargi. Zakręciło jej się w głowie ze strachu, z wrażenia... i z nagle rozbudzonego pożądania.

I już było po wszystkim. Puścił ją. Odsunął się od niej gwałtownie, jakby przeszedł go prąd.

- Tego właśnie pani pragnie, lady D'Archer? Pocałunków kradzionych potajemnie w ogrodzie? Jeśli takie życie sobie pani wymarzyła, to proszę bardzo. Ale ostrzegam panią, jeśli pani teraz stchórzy, będzie pani żałowała do końca życia.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Patrzyła, jak znikła w ciemnościach, dumnie wyprostowany. Czy był niezadowolony, czy rozczarowany?

A może to ona czuła się rozczarowana? Boże, co się z nią działo? Dlaczego zgarbiła się przygnębiona, patrząc, jak Trevain się oddala? Dlaczego paliły ją wargi? Dlaczego nogi miała jak z waty?

Opadła na ławkę i przycisnęła dłoń do oszalałego serca. Zaczęła myśleć, że mówił prawdę. Mężczyźni zawsze będą ją traktować jak on teraz. Przestraszyła się, że ona z kolei będzie tak samo emocjonalnie reagować na ich zaloty.

Nathan jechał do domu elegancką kareta stryja. Po drodze wyrzucał sobie, że pocałował Ariel.

Zastanawiał się, dlaczego to zrobił. W zamyśleniu potarł lewy policzek. Palcami wyczuł poszarpaną skórę. Przypominała mu ona, że nie warto pożądać pięknych kobiet ani im ufać. Poza tym kobiety po-



kroju Ariel uważały jego twarz za interesującą tak długo, jak długo spełniał ich zachcianki. To właśnie kobieta postrzeliła go i na trwałe zeszpeciła mu twarz. Nie zamierzał jednak w tej chwili wspominać osoby, która go zdradziła, tej kłamliwej dziwki. Musiał zająć się lady Ariel D'Archer.

Nie umiał przestać myśleć o jej kuszących ustach. W ogrodzie ogarnęło go pożądanie, które pogłębiło tylko jego złość, i wtedy jedynym rozsądnym wyjściem wydało mu się pocałować ją.

Rozsądne wyjście! Niech to szlag trafi, zaklął w duchu.

Powóz zakołysał się, gdy wściekły opadł na obite czerwonym aksamitem siedzenie. Zupełnie nie zwracał uwagi na otaczający go przepych. Zacisnął pięści. Nie popełni drugi raz tego samego błędu, o ile ona zechce się jeszcze z nim zobaczyć.

Zaklął na samą myśl, że na tym może się zakończyć ich znajomość.

Gdy spoglądał na pogrążone w mroku ulice Londynu, nie zastanawiał się, jak dalej realizować swój plan. Wspominał jej zmysłowe usta i oczy okolone długimi, ciemnymi rzęsami. W jej twarzy dominowały oczy. Przypominała mu egzotyczną tancerkę, którą kiedyś widział, zaskakującą, tajemniczą, z innego świata.

Właśnie, z innego świata. Zamierzał ją wykorzystać i porzucić, tak jak niewątpliwie postąpiłaby ona, gdyby tylko miała możliwość.

Wzdrygnął się zdenerwowany i otworzył szafkę ukrytą w ścianie powozu. Stała w niej kryształowa karafka z kieliszkiem. Nalał sobie brandy i wypił jednym haustem. Z przyjemnością poczuł palące ciepło w żołądku.

*Wess, przysięgam, że już cię nie zawiodę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię odnaleźć.*

Przede wszystkim musiał zaprzyjaźnić się z lady Ariel D'Archer, córką pierwszego lorda, człowieka, który odmówił pomocy jego bratu, Wessowi Trevainowi. Wessa porwano z pokładu amerykańskiego statku. Przepadł bez śladu, ale Nathan wiedział, że lord Bettencourt zna miejsce pobytu brata. Nie ujawnił go ze względu na przeszłość Trevaina. Mimo że wojna skończyła się ponad pół roku temu, Bettencourt wciąż żywił do niego urazę. Nie wiedział natomiast, że Nathan Trevain, spadkobierca księcia Davenport, jest jednym z najsłynniejszych szpiegów kolonii amerykańskich o pseudonimie Helios. Nie zdawał sobie także sprawy, że w koloniach znano go jako Millsa. Taka ostrożność miała na celu zapobieżenie temu, co się niestety wydarzyło. Nathan musiał walczyć u boku Brytyjczyków przeciwko kolonistom. Zaledwie kilka osób wiedziało o jego powiązaniach z lordem Bettencourtem i tak musiało zostać.

Chyba że lady D'Archer okaże się bezużyteczna i nie da mu okazji do przeszukania domu jej ojca.

Wtedy wszystko się wyda. Tym razem on będzie musiał wykorzystać Angielkę, tak jak Brytyjczycy próbowali wykorzystać inną kobietę do swoich celów przeciwko niemu. Tylko że on nie zamierzał zabijać lady D'Archer, tak jak planowała to zrobić tamta ulicznica. Znów potarł bliznę. Porwie ją, jeśli nie będzie miał innego wyjścia, ale jej nie zabije.

Na razie musiał zdobyć zaufanie lady D'Archer, żeby mieć wstęp do jej domu. A tam za wszelką cenę należało sprawdzić, co znajduje się w pokoju, który zwrócił jego uwagę, gdy włamał się do rezydencji

lorda. W pomieszczeniu tym nie było okien, a drzwi prowadzące do niego były mocniejsze niż inne. Tam na pewno znajduje się to, czego szuka. Jeśli tylko uda mu się na tyle zbliżyć się do łady D'Archer, że zgodzi się mu pomóc...

Powóz zatrzymał się. Jeden ze służących stryja otworzył mu drzwi dokładnie w momencie, gdy pojazd stanął przed domem. Nathan nie zwrócił na to uwagi. Nie zdziwił się też, że pomimo późnej pory w korytarzu czekał na niego lokaj, któremu podał płaszcz, i szybko skierował się do gabinetu, żeby w spokoju przemyśleć plan działania. Po drodze rozluźnił sobie krawat.

- Księżę chciałby rano porozmawiać z panem.

W odpowiedzi uniósł tylko dłoń. Sygnet, który zwrócił uwagę łady D'Archer, rozbłysnął w świetle świec. Powiedziała jej, że to serpentyn. Skłamał. Zielony kamień, co prawda, z łatwością mógłby uchodzić za serpentyn. Jedyne bliższe oględziny ujawniały czerwone plamki charakterystyczne dla krwawnika. Nie zamierzał jednak nikomu zdradzać prawdziwej nazwy kamienia ani związanej z nim tajemnicy.

Lokaj otworzył mu drzwi do gabinetu. Nathan przeszedł obok trzystuletniej wazy umieszczonej na specjalnym stojaku po jego prawej stronie i o mało nie przewrócił dwustuletniego zielonego fotela, bo zbyt szybko próbował go odsunąć. Następnie zdjął buty i oparł stopy na elżbietańskim podnóżku stojącym przy kominku.

- Czy życzy pan sobie czegoś?

- Nie - odparł Nathan, nie podnosząc głowy.

- Jeśli będziemy czegoś potrzebowali, zadzwonimy.

Nathan wyprostował się gwałtownie i odwrócił do drzwi.

- Oczywiście, wasza miłość - odparł służący i z ukłonem wycofał się na korytarz.

W progu stał stryj, z wyglądu bardzo przypominający nieżyjącego ojca Nathana. Trevainowi ścisnęło się serce. Miles Trevain, księżę Davenport, miał siwe włosy i w przeciwieństwie do zmarłego brata był dosyć otyły. Rysy twarzy mieli jednak podobne: szare oczy, kwadratowa szczęka, wydatne kości policzkowe, które u stryja wyraźnie się odznaczały mimo nalanej twarzy.

- Widzę, że wcześniej wróciłeś.

Nathan przytaknął.

- Żadna młoda dama nie zwróciła twojej uwagi?

Trevain stłumił westchnienie. Odkąd pogodził się ze stryjem, ten bezustannie namawiał go, żeby się ustatkował, ożenił i spłodził potomka. Nie przyjmował do wiadomości faktu, że większość młodych kobiet przerażała albo odrzucała blizna bratanka. Nathana tymczasem wcale nie martwił ten fakt, bo nie miał zamiaru zakładać rodziny ani nawet pozostawać w Anglii. Jeśli miał ochotę na igraszki z kobietą, nie brakowało takich, które intrygowała jego blizna i które choćby z ciekawości spędzały z nim noc. Jednonocne przygody zupełnie mu wystarczą, szczególnie jeśli jego niezrozumiałe zauroczenie lady D'Archer szybko nie minie.

- Żadna? - spytał księżę, siadając na krześle obok Nathana.

- Właściwie - zaczął Trevain - poznałem dziś kogoś.

W oczach stryja pojawił się błysk nadziei i Nathana ogarnęły wyrzuty sumienia z powodu kłamstwa.

Szybko jednak przypomniał sobie, jak stryj potraktował ojca. Miles Trevain zmusił brata do opuszczenia Anglii. Od tamtej pory nie kontaktowali się ze sobą ani razu. Dopiero pół roku temu Nathan otrzymał list, w którym stryj prosił o spotkanie. Księżę nie wiedział o śmierci brata ani o ranie odniesionej przez bratanka. Chciał się pogodzić, bo potrzebował spadkobiercy. Był dwukrotnie żonaty, ale nie miał dzieci. W tej sytuacji Nathan najlepiej nadawał się na dziedzica fortuny.

- Kim ona jest? Znam ją?

Nathan uśmiechnął się pod nosem.

- Sądzę, że słyszałeś o niej.

- Jak się nazywa?

- Lady Ariel D'Archer.

Księżę skrzywił się z niesmakiem.

- Ta cygańska czarownica?

Nathan spojrzał na niego zdziwiony.

- Rozumiem, że nie pochwalasz mojego wyboru.

Stryj gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie możesz brać jej pod uwagę. Lepiej skup uwagę na kimś innym. Zapewniam cię, że pomimo blizny wiele kobiet chciałoby, żebyś się nimi zainteresował.

Nathan pociągnął łyk alkoholu z kieliszka, żeby ukryć budzącą się w nim złość. A więc stryj zauważył reakcje niewiast.

- Ale ona mi się podoba. Jest stworzona do rodzenia dzieci. Szerokie biodra, duże piersi.

- Nathanie, wiem, że jesteś w Anglii od niedawna, ale zaufaj mi, chłopcze. Lepiej, żebyś zainteresował się kimś innym.

- Dlaczego?

Stryj zmieszał się.

- Nie słyszałeś, co się o niej mówi?

- Nie.

Rzeczywiście nie słyszał. Informatorzy donieśli mu jedynie, że ma zrujnowaną reputację. Nie potrzebował wiedzieć nic więcej.

- A więc pozwól, że ci opowiem. - Książę wstał, nalał sobie brandy i usiadł. Milczał przez chwilę jak wytrawny gawędziarz przed rozpoczęciem ulubionej historii. - Większość ludzi uważa, że problemy tej dziewczyny zaczęły się od jej matki. Była Cyganką, mówiono, że omotała hrabiego i zmusiła do małżeństwa.

Tyle Nathan słyszał. Dowiedział się także, że zwykle chłodny i nieprzystępny hrabia tak bardzo kochał żonę, że po jej śmierci nie ożenił się ponownie. Ariel była jego jedynym dzieckiem.

- Hrabina, wdowa, kategorycznie sprzeciwiała się małżeństwu. Ostrzegła syna, że jeśli się ożeni z tą dziewczyną, wydziedziczy go. - Stryj zawiesił głos, czekając na komentarz bratanka, ale gdy ten milczał, ciągnął dalej: - Dwa lata po ślubie młoda hrabina powiła córkę, lady Ariel. Niestety zmarła trzy dni po porodzie. Najciekawsze jest to, że bez matki dziewczynka wyrosła na lekkomyślną i zuchwałą. Nikt się nie zdziwił, gdy znaleziono ją w gospodzie z lordem Archibaldem Worthem. Podobno Archie powiedział jej, że się z nią ożeni, ale przecież wszyscy wiedzieli, że planował ślub z kimś innym. Nikt się nie zdziwił, że nie dotrzymał obietnicy, ale hrabia zaskoczył wszystkich, gdy nie zmusił Archiego do małżeństwa ani nie znalazł córce innego męża. Najprawdopodobniej próbował, ale bezskutecznie.

- Więc lady D'Archer jest wyrzutkiem społeczeństwa? Książę przytaknął.

- Właśnie. Prawdę mówiąc, zapomniałem nawet o jej istnieniu, bo przeprowadziła się na wieś.

- Gdzie jest jej miejsce.

Jeśli nawet stryj usłyszał sarkazm w głosie Nathana, nie dał tego po sobie poznać.

- Tak. Ludzie mają pewne swobody w społeczeństwie, ale muszą też przestrzegać określonych zasad. Młoda kobieta o zrujnowanej reputacji pozostanie wyrzutkiem do końca życia. Dziwię się, że odważyła się pokazać w towarzystwie. To tylko dowodzi, że jest taka sama jak jej matka.

Nathan milczał. Martwił się, że pogrzebał szansę zaprzyjaźnienia się z Ariel, gdy ją pocałował. Postąpił głupio i nierozważnie, zauroczony ładną buzią i kuszącym spojrzeniem.

Następnego ranka okazało się, że nie miał się czego obawiać. Dostarczono mu liścik. Jego treść była krótka i zwięzła, zrozumiała tylko dla niego.

*Jeśli podtrzyma pan propozycję, spotkajmy się przy rotundzie Ranelagh dziś o trzeciej.*

Nathan uśmiechnął się mimowolnie. A więc mały ptaszek miał ochotę porozrabiać w gniazdku? Wsporniale.

Jeśli wszystko potoczy się pomyślnie, osiągnie swój cel jeszcze w tym miesiącu.

### 3

Ariel przyjechała do parku Ranelagh podenerwowana. Wytarła spocone dłonie o brzoskwiową spódnicę i poprawiła na głowie kapelusz. Założyła go bardziej po to, żeby ukryć się przed ciekawskimi spojrzeciami niż ze względu na modę, ale i tak wyglądała elegancznie. Z drugiej strony dlaczego w ogóle zastanawiała się, jak wygląda tuż przed spotkaniem z mężczyzną, który miał wczoraj czelność ją pocałować? To pytanie nurtowało ją, gdy wysiadała z dylizansu.

Bo masz się zobaczyć z mężczyzną, o którym myślałaś całą noc - odpowiedziała sobie szczerze.

Nie, nie, poprawiła się szybko. Przyszła tu tylko dlatego, że na samo wspomnienie przyjęcia, z jakim spotkała się wczoraj, oczy napełniały jej się łzami. Co prawda wiedziała, że porywa się z motyką na słońce, ale chciała się odegrać.

Może była małostkowa i niemoralna, ale zamierzała odzyskać należne jej miejsce w społeczeństwie. Wcale nie zbijał jej z tropu fakt, że do tej pory nikomu się to nie udało.

Napisała więc do Trevaina, bo przecież nie szkodziło przynajmniej posłuchać, jakie miał plany.

Jeśli w ogóle jakieś miał.

Znów opadły ją wątpliwości. A jeśli knuł coś złego?



Jeśli chciał ją uwieść tylko ze względu na fortunę ojca? A może zdrada Archiego sprawiła, że ona już nikomu nie będzie w stanie zaufać? Czy zainteresowanie Trevaina mogło być szczere? Ale jeśli tak, to dlaczego ją pocałował? Żeby podkreślić swoje argumenty?

Nie bardzo chciało jej się w to wierzyć. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało i to jeszcze bardziej podsycało jej ciekawość. Kim on tak naprawdę jest? Westchnęła z rezygnacją.

Dzień był ciepły, choć pochmurny. Ostry wiatr przeganiał chmury po niebie. Cienie przemieszczały się po ziemi, gdy tylko wyglądało słońce. Powietrze było wilgotne, najprawdopodobniej dzięki *licznym* kanałom. Po obu stronach ścieżki rosły drzewa i krzewy. Tego dnia zwróciła uwagę na unoszący się wokół zapach. Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Kwiaty, świeża trawa, drzewa. Uniosła powieki. Przed nią przechadzały się pary: kobiety kręciły parasolkami, mężczyźni zdejmowali kapelusze. Pochyliła głowę i ruszyła dalej. Tylko raz za zakrętem ścieżki popatrzyła do góry. Przed sobą zobaczyła rotundę.

Trevain już na nią czekał.

Od razu go rozpoznała, mimo że stał dosyć daleko. W gruncie rzeczy gdyby nie wiedziała, kim jest, pomyślałaby, że lordem, choć formalnie nie nosił tego tytułu. Ubierał się jak arystokrata. Miał na sobie beżową kamizelkę, a na niej ciemnoszary frak, którego poły opadały aż na lśniące czarne buty. Kremowe bryczesy opinały jego muskularne nogi. Tak, nogi miał bardzo męskie. Ariel zaczerwieniła się, gdy uświadomiła sobie, że wpatruje się w uda Trevaina

jak żebrak w złotą monetę. Ruszyła w jego kierunku.

Wyprostował się, gdy zbliżyła się do niego. Nie miał na głowie peruki, więc jego czarne włosy załśniły jak skrzydła kruka, gdy się ukłonił.

- Lady Ariel D'Archer.

- Panie Trevain - przywitała go, zatrzymując się przed nim.

Nie uśmiechnął się. Ariel pomyślała, że pewnie wiedział, iż w świetle dnia jego blizna jest bardziej widoczna. Spojrzała na niego ciepło. Mimo szramy był taki przystojny. Ona sama czuła się pewnie w swoim modnym stroju. Mocno ściśnięta w pasie suknia była ozdobiona koronką wokół dekoltu. Wzrok Trevaina powędrował w dół. Mężczyzna zmrużył zadowolony oczy, podniósł głowę. Przypomniała sobie, że są w miejscu publicznym, i Trevain nie mógłby się jej narzucać w żaden sposób, więc zignorowała jego sugestywne spojrzenie.

- Widzę, że jednak się pani zdecydowała.

- Tak, choć w głębi duszy zastanawiam się, co ja tu, u licha, robię.

Wydawał się zdziwiony jej szczerością, ale zaraz uśmiechnął się szelmowsko.

- Muszę powiedzieć, że bardzo się cieszę, iż pokonała pani swoje wątpliwości.

Ariel żałowała, że nie wzięła ze sobą parasola. Przede wszystkim miałyby czym zająć ręce, a w dodatku mogłyby go wykorzystać jako broń, gdyby Trevain zaczął się nachalnie zachowywać. Postanowiła przyjąć swobodną postawę. Musi wyglądać, jakby codziennie widywała się z nieznanymi mężczyznami. Z drugiej strony chyba jednak nie chciała, żeby odniósł takie wrażenie.

- Dobrze pani zrobiła - dodał. - Jestem z pani dumny.

- To, czy dobrze zrobiłam, dopiero się okaże.

Ukłonił się lekko i uniósł lewy kącik ust w uśmiechu. Ariel nie była pewna, czy to tik, czy może raczej grymas spowodowany blizną.

- Zapewniam panią, że tak.

Ariel rozejrzała się dookoła. Udała, że zainteresowało ją otoczenie. Niespodziewanie dostała gęsiej skórki. Co takiego powiedział, że się przestraszyła? W gruncie rzeczy ten mężczyzna tak właśnie na nią działał. Miał szerokie ramiona, najwyraźniej nawykłe do ciężkiej pracy. Jego dłonie również zdradzały, że nie stronił od wysiłku fizycznego. Jedną z kostek przecinała biała blizna, na palcu wskazującym też widniała niewielka szrama. Ariel pomyślała, że cudownie byłoby poczuć te dłonie na swojej gładkiej skórze...

Ariel! skarciła się natychmiast. Co ci przychodzi do głowy?

Przecież on mógł mieć wobec niej bardzo złe zamiary!

- Przejdziemy się? - zaproponował Trevain.

Ariel z trudem wracała do rzeczywistości.

- Jeśli pan sobie życzy.

Spodobał się jej ten pomysł, bo spacerując, zwracałby na siebie mniej uwagi. Poza tym mogłaby podziwiać przyrodę, a nie tylko urodę swojego rozmówcy.

Podał jej ramię. Nie przyjęła go od razu.

Ariel, nie bądź dzieckiem, dodała sobie otuchy.

Mimo to trochę się bała. Przełknęła ślinę i położyła towarzyszowi dłoń na przedramieniu. Przeszedł ją dreszcz, gdy go dotknęła. Krew pulsowała jej w skroniach.

Trevain uśmiechnął się szeroko. Ariel skamieniała z zachwytu. Jeszcze nigdy nie widziała u nikogo tak doskonałych, równych białych zębów. On chyba wcale nie je słodczy, pomyślała.

- Sama pani widzi, że nie ma się czego obawiać.

Ariel zaczerwieniła się, gdy uświadomiła sobie, że Nathan zauważył jej wahanie. Dumnie uniosła głowę.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

Uśmiechnął się kpiąco, jakby chciał powiedzieć: „kłamczucha”.

Zignorowała go.

- Panie Trevain, spotkaliśmy się, żeby przedyskutować pańską propozycję. Wolałabym od razu przejść do rzeczy, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Najwyraźniej nie miał nic przeciwko, bo zapytał:

- Dobrze, co chciałaby pani wiedzieć?

- Przede wszystkim, dlaczego chce mi pan pomóc.

Zaryzykowała i spojrzała na niego. Nachylił się, żeby popatrzeć na jej ukrytą pod kapeluszem twarz. Jego spojrzenie sprawiło, że zaczęła się denerwować. Odwróciła się.

- Powiedziałem pani wczoraj, jakie są moje motywy.

Ariel zatrzymała się i dla większego efektu oparła dłonie na biodrach.

- A ja panu mówię, że to bzdury.

Trevain zdziwił się.

- Jest inny powód i chcę go teraz poznać.

Na jedną krótką chwilę w jego oczach ukazał się wyraz zdziwienia, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił. Mężczyzna utkwiał w niej wzrok.

- A więc dobrze. Przejrzała mnie pani.

Serce zabiło jej mocniej. Czekwała z zapartym tchem, żeby odkrył się przed nią.

- Stryj zmusza mnie do małżeństwa. - Machnęła wolną ręką. Sygnet załśnił w słońcu. - Mam spłodzić potomka i tak dalej. Nie chcę go rozczarować, ale nie mogę też dać się zastraszyć. Jeśli będę udawał, że jestem w pani zadurzony, upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, stryj zrozumie, że nie może mnie kontrolować, bo już próbował mnie do pani zniechęcić. Po drugie, skandaliczne zaręczyny z panią odstraszą ode mnie matrony, które uparcie narzucają mi towarzystwo swoich nudnych córek.

A więc chciał ją wykorzystać, żeby odstraszyć swatki. Ariel nie miała pojęcia, dlaczego tak zabolęła ją to wytłumaczenie. Przecież powinna była spodziewać się czegoś w tym rodzaju. Trevain najwyraźniej miał o niej takie samo zdanie jak reszta społeczeństwa.

- Myśli pani, że ten plan ma szansę się powieść?

Ariel milczała. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Zrobiło jej się tak smutno, że o mało się nie rozpłakała. Jej naiwna nadzieja, że w Londynie znajdzie mężczyznę, który pokocha ją dla niej samej, była bezpodstawna. Skoro mężczyzna pokroju Trevaina uważał ją za skandalistkę, co musieli myśleć inni?

Spojrzała w bok, żeby popatrzeć na płynący wzdłuż ścieżki strumyk. Płyneła po nim kaczka. Oboroża, którą miała na szyi, załśniła w słońcu. Nagle coś przesłoniło Ariel widok. W oku zakręciła jej się łza.

Nie, nie będzie płakała. Dosyć tego litowania się nad sobą. Odetchnęła głęboko i popatrzyła na Trevaina.

- Dobrze. Wiem, o co panu chodzi. Wpadł pan na świetny plan. - Znów zaczęły ją piec oczy, więc od-

wróciła głowę. - Już widzę, jak moja nadszarpnięta reputacja odstrasza swatki. Może się pan jednak zastanowi, bo kontakty ze mną mogą fatalnie wpłynąć również na pana. Jestem przecież zepsuta do szpiku kości. Nie wiedział pan, że sam mój widok sprawia, że niewinne dziewice stają się ladacznicami?

Wzdrygnęła się, gdy poczuła dłoń na ramieniu. Trevain odwrócił ją do siebie i uniósł jej brodę do góry. Zaparło jej dech w piersiach. Ludzie przechodzili obok, ale ona nie zważała na nich. Najwyraźniej niczym już nie mogła nikogo zaskoczyć.

Mężczyzna patrzył na nią serdecznym, ciepłym wzrokiem.

- Proszę się im nie dawać, Ariel.

Nie poruszyła się. Czuła się jak jagnię w paszczy wilka.

- Nie dawać się? - spytała ochryple.

- Proszę się nie dawać zranić. Zapewniam panią, że jej rodacy nie są warci szacunku.

Ariel zorientowała się, że kolejna łza spłynęła jej na policzek. Trevain starł ją palcem. Dotyk jego szorstkiej skóry sprawił, że zadrżała, że zapragnęła...

Właśnie, czego? Aby jej dotykał dłużej. Przestraszyła się i odsunęła.

W oczach mężczyzny pojawił się wyraz konsternacji, jakby on też intensywniej zareagował na ich bliskość. Przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

W końcu Ariel nie wytrzymała.

- A jaka jest moja rola?

Wciąż nie spuszczała z niej wzroku, ale zauważyła, że jego spojrzenie straciło swoją serdeczność.

- Chciałbym, żeby udawała pani moją narzeczoną.

- Co? - wykrzyknęła zaskoczona.

Uśmiechnął się.

- Moją narzeczoną. Zamknie to usta stryjowi, bo o ile dobrze rozumiałem tutejsze zwyczaje, gdy Anglik oświadcza się kobiecie, tylko ona sama ma prawo zerwać zaręczyny. To da pani swobodę i jednocześnie odstraszy swatki.

- Ach, tak - mruknęła Ariel.

Znów zapadła nieprzyjemna cisza. Ariel rozważyła propozycję. Brzmiała rozsądnie. Utańczyła nosa arystokracji i pokazała wszystkim, że gardzi ich opinią.

- A więc? - spytał. - Co pani o tym sądzi?

Ariel podniosła głowę. Wiedziała, że to, co zaraz powie, może okazać się największym błędem jej życia. Nagle jednak przestało jej zależeć. W gruncie rzeczy nie miała nic do stracenia, przystępując do spisku.

- Dobrze - odezwała się w końcu. - Zgadzam się.

Zastanowił ją błysk, który pojawił się w oczach Trevaina. Zobaczyła w nich triumf, ale także coś więcej, co sprawiło, że zadrżała. Po raz pierwszy, odkąd go spotkała, zauważyła, że wyglądał groźnie. Naprawdę groźnie.

Boże, pomyślała, spraw, żeby to było tylko złudzenie.

## 4

- Ariel, ty chyba nie mówisz poważnie!

Ariel wpatrywała się w niezadowoloną twarz ukochanej kuzynki Phoebe i zastanawiała się, czy dobrze zrobiła, wtajemniczając ją w szczegóły układu z Trevainem. Z drugiej strony nie miała wyjścia.

- Udawanie czyjejś narzeczonej jest śmieszne, a właściwie oburzające.

Ariel spojrzała wymownie w górę i potrząsnęła głową.

- Jakbym musiała się martwić, że kogokolwiek oburzę.

Phoebe zacisnęła w dłoniach materiał swojej zielonej sukni. Spojrzała na Ariel, jakby ta zamierzała podpalić sobie włosy.

- Ależ to wykluczone, Ariel. Gdyby wyszło na jaw, że twoje zaręczyny to z góry zaplanowane oszustwo, będziesz... - Phoebe otwierała i zamykała usta, nie znajdując odpowiedniego słowa.

- Zrujnowana? - odpowiedziała usłużnie Ariel.

Poprawiła się na krześle. Jej rozpuszczone swobodnie czarne włosy lśniły we wpadającym przez okno popołudniowym słońcu. Obie miały na sobie dzienne suknie, bo tego wieczoru ku niezadowoleniu Ariel nigdzie nie wychodziły. Ariel nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć miny ludzi, gdy znów pojawi się w towarzystwie. Z trudem pohamowała uśmiech.



- Tak, i to bardziej niż jesteś.

- Phoebe, nie sędzę, żeby można było mieć reputację mniej lub bardziej zrujnowaną. To tak jak z ciążą: albo się w niej jest, albo nie, nie ma stanu pośredniego. Zrujnowana to zrujnowana, i już. Ja po prostu nie mam nic do stracenia.

- To szaleństwo - zaprotestowała kuzynka. - Chyba postradałaś rozum. Twoja reputacja rzeczywiście jest trochę nadszarpnięta...

- Trochę? - prychnęła Ariel. - To łagodnie powiedziane.

- No dobrze, nie cieszysz się dobrą opinią - przyznała Phoebe. - Po wczorajszym wieczorze chyba nie można myśleć inaczej.

Z tym Ariel z przykrością się zgodziła.

- W każdym razie wprowadzenie w życie planu tego człowieka to czyste szaleństwo. Nawet nie chcę o tym myśleć. Twój ojciec mnie zabije, jak się o tym dowie.

- Mylisz się. - Ariel przesiadła się na krzesło bliżej Phoebe. Nachyliła się i ujęła dłoń kuzynki. - Mój ojciec o niczym się nie dowie, dopóki nie wróci. A do tej pory zaręczyny zostaną zerwane.

- A czy ludzie nie będą się zastanawiać, dlaczego zaręczyłaś się pod nieobecność ojca?

Ariel wypuściła dłoń Phoebe i oparła się wygodnie.

- Nie, bo rozgłosimy, że zaręczyliśmy się przed jego wyjazdem.

- Ale przecież twój ojciec będzie wiedział, że to kłamstwo.

- Tak, ale tym zajmiemy się później.

W gruncie rzeczy Ariel wątpiła, czy jej ojciec przejmie się tą sytuacją. Od kiedy przyłapał ją w gospo-

dzie z Archiem, ich stosunki znacznie się pogorszyły. Nigdy nie byli sobie bliscy, a tamta historia doszczętnie zniszczyła to, co ich łączyło.

- Wszystko masz dokładnie zaplanowane, jak widzę. - Phoebe zmarszczyła brwi.

- Tak.

Kuzynka potrząsnęła głową i przygryzła dolną wargę.

- Nie podoba mi się to, Ariel. Jak możesz ufać temu Trevainowi? To obcokrajowiec. Nie wiemy o nim nic prócz tego, że jest dziedzicem tytułu księcia Davenportu. Może się okazać najgorszym przestępcą.

Ariel pokręciła z politowaniem głową.

- Nie bądź śmieszna, Phoebe.

Kuzynka jednak nie wyglądała na przekonaną.

- Kiedy zamierzasz ogłosić nowinę? - spytała.

- Jutro u Fitzherbertów.

- Jutro? Czy to nie za wcześnie?

Ariel wzruszyła ramionami.

- Jutro, pojutrze, co to ma za znaczenie? Zobaczysz, że wszystko się uda. - Nachyliła się i poklepała Phoebe po dłoni.

Kuzynka jednak okazała się nieprzejednana i jasno dała wyraz swojemu niezadowoleniu. Nie rozmawiała oczywiście z mężem, bo jej dyskusja z Ariel pozostała na zawsze między nimi dwiema, ale gdy były razem, nie kryła swojej dezaprobaty.

- Jesteś lekkomyślna i nierozważna, ale piękna - stwierdziła następnego wieczoru, gdy poprawiała kamieć, zdobiącą szyję Ariel. - Ale mam ochotę udusić cię tą tasiemką. Naprawdę, Arie, nie powinnaś przystawać na ten plan.

Ariel nie odpowiedziała. Po co? Miała już dosyć dyskusji na ten temat. Skupiła się na swoim wyglądzie. Phoebe miała doskonały gust, mimo że była dwa lata młodsza od Ariel. Nie potrafiła jedynie dobrać sobie przyjaciół, czego Ariel była najlepszym przykładem. Ariel wiedziała, że kuzynka ryzykuje własną reputacją, pokazując się z nią w Londynie. Phoebe jednak wcale się tym nie martwiła. Ariel czuła dla niej ogromną wdzięczność i, o ile to możliwe, jeszcze bardziej ją za to kochała.

- Miałaś rację, Phoebe. Myślałam, że ten kolor kasztanowy będzie zbyt krzykliwy, ale ty się nie mylisz w takich sprawach,

Kuzynka nie dała się zwieść komplementem. Chyba tylko znalezienie garnka wypełnionego złotem mogło złagodzić jej nastrój.

- Tak, masz szczęście, że możesz nosić ten kolor. Wyglądasz w nim świetnie. Krawcowa doskonale dopasowała krój do twojej figury.

Rzeczywiście tak było, chociaż Ariel wolałaby, żeby suknia nie była aż tak dopasowana. Turniura dodatkowo pomniejszała talię. Dekolt był głęboko wycięty, może nawet za bardzo, ale krawcowa twierdziła, że to ostatni krzyk mody, podobnie jak ogromne kokardy na sukni. Jedna była umieszczona tuż poniżej dekoltu. Ariel pomyślała, że ozdoba miała przyciągać wzrok mężczyzn do jej łona, i omal nie wzruszyła ramionami. Phoebe ubrała się w suknię o podobnym kroju, ale w spokojniejszym, błękitnym kolorze, pasującym jej do oczu. Ariel stwierdziła, że jeśli wygląda choć w połowie tak elegancko jak kuzynka, może być z siebie w pełni zadowolona. Jakie to jednak miało zna-

czenie, skoro nie chciała na nikim zrobić wrażenia.

Czyżby? A na Trevainie? Wykluczone! skarciła się szybko.

Gdy jednak nadszedł czas, żeby zejść na dół do powozu, denerwowała się tak bardzo, że zaczęły jej się trząść ręce jak starej lady Alberly. Phoebe próbowała dodać jej otuchy i spoglądała na nią zupełnie jak ich guwernantka z dzieciństwa. Doskonale naśladowała mimikę starszej kobiety. Dzięki Bogu, Reggie wolał wybrać się do klubu zamiast na bal. Gdyby wiedział, co się szykuje, na pewno nie odstępowaliby ich ani na krok. Ariel nie miała pojęcia, dlaczego Phoebe nie opowiedziała mężowi o udawanych zaręczynach. Reggie nawet nie podejrzewał, co szykowały jego żona i kuzynka. Ariel z przyjemnością przyłączyłaby się do niego w klubie. Oddałaby wszystko, żeby zapomnieć o dręczących ją troskach.

Dosyć szybko dotarli do Fitzherbertów. Jak na ironię dłużej czekały, żeby wyjść z powozu, niż zajęła im droga na bal. Ariel nie została osobiście zaproszona na przyjęcie. Phoebe natomiast mogła przyjść z osobą towarzyszącą. Ariel nie wątpiła, że to nie o niej myślała gospodyni, gdy przygotowywała listę gości.

Gdy dotarli na miejsce, tańce już trwały. Z domu dochodziły już dźwięki skocznej, żywej muzyki. W środku było tłoczno i ciepło w porównaniu z temperaturą na zewnątrz. Mężczyźni, którzy przyszli sami, stali przy drzwiach i palili. W powietrzu unosił się zapach tytoniu. Młodszy wcale nie ukrywali swojego zainteresowania przybywającymi kobietami. Ariel bardzo starała się nie wyglądać na speszoną, gdy poczuła na sobie ich spojrzenia. Jeden z młodzieńców

pochylił się do towarzysza, coś mu powiedział i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Ariel zaczerwieniła się, bo wiedziała, że mówią o niej, i to nieprzychylnie, sądząc po rozlegających się od czasu do czasu prychnięciach.

- Może powinnam była nalegać, żeby Reggie przyszedł z nami - mruknęła Phoebe, gdy przechodziły obok mężczyzn.

- Nie - szybko odparła Ariel i uniosła głowę. - Lepiej, że go tu nie ma. Gdy ogłoszę zaręczyny, zdenerwowałyby się, że go nie uprzedziłaś.

- Hmm. Chyba masz rację. Oby tylko ta wiadomość nie dotarła do niego do klubu.

Ariel popatrzyła na zachmurzoną twarz kuzynki.

- Czemu mu nie powiedziałaś?

- Stchórzyłam.

Ariel, choć niepewnie, uśmiechnęła się.

- Myślę, że Reggie wcale nie protestowałby tak zdecydowanie, jak sądzisz. W gruncie rzeczy dobrze byłoby go mieć po naszej stronie. Mógłby grać rolę mojego opiekuna, na wypadek gdyby się okazało, że Trevain ma niecne zamiary.

- Myślisz, że może tak być? - zaniepokoiła się Phoebe.

Ariel z chęcią ugryzłaby się w język.

- Nie, nie, nie. Tylko żartuję - skłamała.

Wiedziała, że nie wolno jej już nigdy zaufać żadnemu mężczyźnie. Tę lekcję wzięła sobie do serca. Musiała cały czas mieć się na baczności. Uniosła lekko suknię i ruszyła w stronę, gdzie goście czekali, aby się przywitać z gospodarzami. Nikomu nie da się zwieść. Nigdy.

Szybko jednak zapomniała o swoich obawach. Jeśli poprzedniego wieczoru przyjęto ją chłodno, dziś by-

ło znacznie gorzej. Najwyraźniej wieść o jej powrocie do towarzystwa rozniosła się po mieście. Damy odwracały się do niej plecami, lordowie przypatrywali się jej sponad binokli. Czuła się jak złoczyńca. I chociaż starała się ignorować reakcję gości, dawno nie było jej równie przykro. Najgorsze, że przez nią cierpiała także biedna, niewinna Phoebe. Kuzynka zbladła i zacisnęła pięści. Naszyjnik z szafirów, który założyła na wieczór, błyszczał tak samo jak jej oczy.

- Należałoby ich wszystkich powystrzelać - mruknięta wściekła.

Ariel natychmiast się uspokoiła. Z taką towarzyszką nie musiała się niczego obawiać. Wyciągnęła rękę do Phoebe i uścisnęła ją. Kuzynka spojrzała na nią współczująco. W tym momencie stały się sobie bliższe niż kiedykolwiek. Młodsza od Ariel Phoebe pełniła rolę przyzwoitki ze względu na swój zamężny stan.

- Jesteś kochana, Phoebe.

- Jestem tylko twoją krewną.

- Lepiej nie mogłabym sobie wymarzyć.

Błękitne oczy kuzynki natychmiast złagodniały.

- Gdyby oni znali cię tak jak ja, nie traktowałiby cię w ten sposób.

Ariel nie chciała ryzykować pytania, kim są „oni”, żeby nie skłonić Phoebe do jakiegoś nierozważnego kroku. Mogłaby się na przykład rozpłakać. Ariel odwróciła się i znieruchomiła.

Nathan stał oparty nonszalancko o ścianę przy drzwiach. Goście przyglądali mu się zaintrygowani bliźną. Inni widzieli w nim kogoś, kim miał stać się w przyszłości. Ona również spojrzała na Trevaina. Wpatrywał się w nią hipnotyzującym wzrokiem. Nie

była w stanie się poruszyć. Kolejka gości oczekujących na przedstawienie przesunęła się do przodu. Osoby stojące za Ariel zaczęły chrząkać, ale ona nie zwróciła na to uwagi.

- Kochanie, przesuń się - dotarł w końcu do niej głos Phoebe.

Ariel zamrugała i z trudem odwróciła głowę. Uśmiechnęła się do kuzynki i wykonała polecenie. Dlaczego ten człowiek tak ją fascynował? Czy współczuła mu, czy też było to coś więcej?

- Wybacz mi, Phoebe. Widok Trevaina wytrącił mnie z równowagi.

Kuzynka otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- On tu jest? - spytała cicho.

- Tak. Przy wejściu na salę balową.

Obie spojrzały w tym kierunku. Ariel zeszywniała, bo okazało się, że Trevain już tam nie stał. Zmierzzał w ich stronę. Gdy patrzyła na jego gibkie i zwinne ruchy, znów przyszła jej na myśl pantera. Ogarnął ją niepokój, który odczuwała już wcześniej w jego obecności. Zrobiło jej się gorąco i krew zaczęła jej pulsować w uszach. Zarumieniła się.

- Lady Ariel D'Archer - przywitał się, kiedy znalazł się przy nich.

Para, która stała przed nimi, odwróciła się. Mężczyzna zmierzył Trevaina nieprzychylnym wzrokiem od stóp do głów. Gdy spojrzał na jego twarz, skrzywił się z obrzydzeniem. Ariel oburzyło takie zachowanie, bo twarz Trevaina nie była wcale nieprzyjemna, choć na pewno nie idealna. Ale przecież nikt nie jest idealny.

Ludzie uwielbiają doskonałość, pomyślała. Ją od-

rzucili dlatego, że przestała być nieskazitelna. Wszyscy myślą, że straciła cnotę, a to nieprawda.

Zacisnęła pięści i popatrzyła ze współczuciem na stojącego przed nią mężczyznę. Trevain albo nie zauważył nieprzychylnych spojrzeń, albo je po prostu zignorował. Tak czy inaczej, dobry humor gdzieś zniknął.

- Panie Trevain - powiedziała, żeby jak najszybciej zatrzeć nieprzyjemne wrażenie. - Pozwoli pan, że przedstawię mu swoją kuzynkę, lady Sarrington.

Nathan ukłonił się. Ariel zirytował wyraz twarzy Phoebe. Uprzedziła ją przecież i miała nadzieję, że kuzynka ukryje swoje zdziwienie.

- Lady Sarrington - przywitał się Trevain.

Mimo że nie wychowywał się w Anglii i nie miała na co dzień do czynienia z brytyjskimi zwyczajami i tradycjami, jego manierom nie można było niczego zarzucić. W dodatku ubierał się bardziej elegancko od innych mężczyzn. Miał na sobie ciemnoszarą marynarkę, jasnożółtą kamizelkę i jedwabne beżowe spodnie. Nie założył peruki, dzięki czemu jeszcze bardziej się wyróżniał. Ariel z kolei czuła się nijaka i zaniedbana, i, co gorsza, zapomniała języka w ustach. Nie wiedziała, co zrobić z rękami, i o mało nie zaczęła bawić się kosmykiem sztucznych włosów z peruki.

- Pięknie dziś pani wygląda, Ariel.

Para, która stała przed nimi, znów się odwróciła, najpewniej oburzona, że Trevain odezwał się do niej po imieniu. Ariel było jednak wszystko jedno. Nathan patrzył na nią tak intensywnie, że zaparło jej dech w piersiach. I dźwięk jej imienia w jego ustach...

Ariel, bądź ostrożna, ostrzegła się w myślach. On przecież udaje.



Ale jaki z niego aktor! Ariel nagle zamarzyło się, żeby to była prawda, a nie gra. Żeby Trevain szczerze patrzył na nią w ten sposób. Opuściła głowę, zupełnie zdezorientowana. Nie wiedziała, co myśleć, a co dopiero mówić. Na szczęście Phoebe wzięła sprawy w swoje ręce.

- Muszę przyznać, że czuję ulgę, widząc tu pana dzisiaj.

Ariel zauważyła, że kuzynka opanowała swoją początkową niechęć.

- Obawiam się, że przyda nam się męskie towarzystwo - powiedziała przyjaźnie.

- Tak? - Skierował to pytanie do Ariel. Gdy znów na niego spojrzała, zauważyła szelmowski błysk w jego oczach. - Przecież moje miejsce jest przy narzeczonej.

Ktoś sapnął zaskoczony. Ariel nie wiedziała, kto, ale nie było wątpliwości, że zrobili pierwszy krok. Teraz wieść błyskawicznie rozniesie się po sali. Za chwilę wszyscy się dowiedzą, że jest zaręczona z panem Nathanem Trevainem, spadkobiercą Davenport.

Nie mogła się tego doczekać.

- Proszę wziąć mnie pod rękę - polecił Trevain.

Ruszyli do przodu. Zaraz zostanie ogłoszone ich przybycie. Goście rozstępowali się przed nimi. Oczy wszystkich były okrągłe jak spodki. Musieli tworzyć dziwną parę, oryginał i rozpustnica. Mimo to stała dumnie wyprostowana i gdy rozległy się ich nazwiska, z wdziękiem weszła do sali. Wszyscy wbijali w Ariel ciekawski wzrok. Po raz pierwszy czuła ogromną wdzięczność za obecność mężczyzny u jej boku. Może i nie miał idealnej twarzy, ale w tym momencie był dla niej najpiękniejszy na świecie. Czuła

jego silne ramię, które dodawało jej pewności siebie.

- Zatańczymy? - spytał podobnie jak poprzedniej nocy.

- Chyba powinniśmy poczekać na Phoebe.

- Pani kuzynka nie będzie miała nic przeciwko temu, żebyśmy zatańczyli jeden taniec.

Owszem, będzie, ale Trevain nie pozwolił jej dojść do głosu. Rzuciła więc Phoebe przepraszające spojrzanie i ruszyła w stronę parkietu. Nathan położył sobie jej dłoń na ramieniu. Kamień w sygnecie rozbłysł w świetle. Powiedział, że to serpentyn, ale teraz Ariel zorientowała się, że się pomylił. Serpentyn jest zielony jak wąż i stąd wzięła się jego nazwa. Ten kamień miał czerwone plamki, przywodzące na myśl skórę jadowitego węża albo krew.

No, właśnie! Krwawnik. Tak się nazywa ten kamień. Nie miała żadnych wątpliwości, nawet chciała się z nim podzielić swoim spostrzeżeniem, ale w tym momencie odwrócił ją do siebie. Natychmiast zapomniała o bożym świecie. Muzyka już grała. Stanęli naprzeciwko siebie. Dotyk dłoni mężczyzny sprawiał Ariel ogromną przyjemność, o wiele większą, niż by sobie tego życzyła. Czuła ciepło bijące z jego ciała i drżała jak liść na wietrze. Uniosła głowę.

Tańczyli cały czas blisko siebie, czasem tylko się obracali jak ptaki w tańcu godowym. Taniec godowy. Co za dziwne porównanie.

Od jakiegoś czasu miała takie osobliwe myśli na temat Trevaina. Czyżby wywoływała je jego mroczna uroda? A może fakt, że wydawał się skupiony wyłącznie na niej? Mimo że niekiedy się rozdzielali, nie odrywał od niej wzroku. Ariel tłumaczyła sobie, że nie powinna okazywać zauroczenia tym mężczyzną, bo

to źle wpłynie na jej i tak już nadszarpniętą reputację. Z drugiej strony dlaczego nie pozwolić ludziom myśleć, że ich związek narodził się z miłości?

Co za głupi pomysł, skarciła się szybko. Odwróciła głowę. Chciała powiedzieć coś zwykłego, przyziemnego, żeby zmienić nastrój.

- Jak minęła panu droga na bal?

O mało nie zaklęła. Co za dziecinne pytanie.

Trevain wyglądał na rozbawionego.

- Bardzo przyjemnie. Dziękuję za troskę.

Co mówiła jej guwernantka? Z mężczyzną trzeba rozmawiać o jego zdrowiu i pogodzie. Trevain był zdrowy jak koń, a pogoda z jakiegoś powodu wydała jej się banalnym tematem.

- Kamień w pańskim sygnecie to krwawnik - palnęła bez zastanowienia.

Mężczyzna nagle spoważniał. Ariel poczuła, jak na czoło występują jej kropelki potu.

- Czyżby? - spytał zdziwiony.

- Tak.

- A skąd pani wie?

Rozdzielili się i przez ten czas, gdy byli z dala od siebie, zdenerwowanie Ariel jeszcze wzrosło.

- Czytałam o tym.

- Ach, tak? - spytał. - W czasie pobytu na wsi?

Przytaknęła, dumna ze swojej wiedzy, którą natchmiast postanowiła się pochwalić.

- Tak. Krwawnik jest chalcedonem, znanym również pod inną nazwą, która w tej chwili mi umknęła. Podobno ten kamień ma moc zmieniania koloru słońca na krwawoczerwony, uciszania burz, piorunów i deszczu. Czy to nie zabawne?

Trevain nie wyglądał na rozbawionego, raczej na zaniepokojonego. Znów się rozdzielili. Ariel pomyślała, że jej partner najwidoczniej nie lubi wykształconych kobiet. Jeśli tak, to jest załosny. Kobiety są równie inteligentne jak mężczyźni, choć oni niechętnie to przyznają, co świadczy jedynie o ich ignorancji.

Gdy znów znaleźli się obok siebie, czekała na jakąś pogardliwą uwagę. Tymczasem Trevain uśmiechnął się do niej.

- Pani wiedza mnie zaskakuje - oznajmił niespodziewanie. - Proszę powiedzieć, co jeszcze pani studiowała?

Wzruszyła ramionami. Koniecznie chciała mu za imponować.

- Anatomię człowieka, mitologię grecką, mechanikę pojazdów i inne tego typu zagadnienia.

Nie chciała wspominać, że interesowała się również przebiegiem wojny brytyjsko-amerykańskiej, że by nie psuć nastroju.

- Anatomię człowieka? - uśmiechnął się rozbawiony.

Coś nie dawało jej spokoju, ale nie miała teraz czasu się nad tym zastanawiać.

- W rzeczy samej. To bardzo interesujący temat.

Szczególnie rozmnażanie. W biblioteczkę ojca znalazła wiele pozycji na ten temat.

- A czego konkretnie się pani dowiedziała?

Przysunął się do niej blisko, o wiele bliżej niż wymagały kroki tańca. Ariel chciała się odsunąć, wiedziała, że powinna, ale po chwili i tak się rozdzielili.

- A więc? - ponaglił ją, gdy znów byli obok siebie.

Wziął ją za rękę i spojrzał głęboko w oczy. Zaszło jej w ustach. Boże, co ten mężczyzna robił z nią sa-

mym wzrokiem! Z trudem powróciła do rzeczywistości.

- Czytałam o częściach ciała. O wątrobie, nerkach, sercu.

Sercu, które łatwo złamać, przypomniała sobie. Poczowała, jak miękną jej kolana, i potknęła się. Podtrzymał ją.

- Ostrożnie, moja pani, bo zrobi pani sobie krzywdę.

Ariel szybko się cofnęła. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że muzyka umilkła, a ona nawet tego nie zauważyła.

- Ariel? - spytał zaniepokojony, gdy nie odpowiedziała.

- Muszę chwilę odpocząć - wykrztusiła i odsunęła się od niego.

Teraz Trevain zaniepokoił się naprawdę.

- Czy chce się pani czegoś napić?

Ariel przytaknęła tylko dlatego, żeby na chwilę zostać sama. Popatrzył na nią, po czym niechętnie się oddalił. Odprowadziła go wzrokiem, czując na sobie spojrzenia gości. Spoglądali również na Nathana, choć z innego powodu. Poruszał się jak grecki bóg, z nieprzeniknioną twarzą, pewny siebie jak wojownik. Szedł zdecydowanym, szybkim krokiem.

Ariel opuściła wzrok. Zastanawiała się, co ją tak bardzo w nim pociągało. Czy jeszcze kiedyś zdoła zaufać mężczyźnie? Obawiała się, że nie.

Przypomniała sobie, że zwróciła uwagę na kamień w jego sygnecie. Krwawnik miał jakąś grecką nazwę, coś wspólnego ze słońcem.

Zesztywniała.

Helio, czyli słońce. Ten kamień nazywano również heliotropem. Nathan Trevain, który właśnie przyje-

chał do Anglii z kolonii amerykańskich, nosił heliotrop.

Podejrzewano, że w Anglii przebywa amerykański szpieg Helios.

- Tu jesteś - rzuciła Phoebe, stając obok niej i rzucając jej triumfalne spojrzenie. - Na miłość boską, Ariel, musiałam przeszukać całą salę, żeby cię odnaleźć.

- Muszę zostać sama na chwilę, Phoebe.

- Ja... ty... co? - zdziwiła się kuzynka.

- Proszę, zostaw mnie samą na chwilę. Muszę coś przemyśleć, odetchnąć świeżym powietrzem.

Odwróciła się i skierowała w stronę drzwi.

- Ariel, poczekaj - zatrzymała ją Phoebe. - Co się stało? - zaniepokoiła się.

Ariel potrząsnęła głową. Jak mogłaby wspomnieć kuzynce o strasznym przeczuciu, które właśnie ją ogarnęło?

- Nic takiego. Chcę tylko na chwilę zostać sama.

- Dobrze - zgodziła się Phoebe.

Ariel odeszła, choć wiedziała, że kuzynce będzie przykro. Nie mogłaby jednak podzielić się swoimi wątpliwościami z Phoebe, która od początku była negatywnie nastawiona do Trevaina. Jej obawy szybko się sprawdziły. Wyszła na zewnątrz i z ulgą wciągnęła w płuca zimne, orzeźwiające powietrze.

Helios. Nathan Trevain nosił na palcu heliotrop.

Trudno byłoby zignorować taki zbieg okoliczności.

Krwawnik często występował w przyrodzie, ale raczej nie wykorzystywano go w jubilerstwie. I dlaczego właściwie Nathan skłamał co do nazwy kamienia? Tego, że skłamał, była tak samo pewna jak tego, że w jego sygnecie tkwił krwawnik.

Zatrzymała się przy fontannie. Widać było przepływające pod powierzchnią ryby. Z ust i nosów umieszczonych pośrodku fontanny aniołków tryskała woda. Rozlegało się rechotanie żab i cykanie świerszczy.

Czy aby nie przesadzała? Może nauczona gorzkim doświadczeniem nie potrafiła rozsądnie ocenić sytuacji? I faktycznie, z dala od roztańczonych gości i muzyki, na świeżym powietrzu w ogrodzie, wnioski, które jej się nasunęły, wydawały się przedwczesne.

- Lady D'Archer - rozległ się głęboki, męski głos.

Ariel odwróciła się gwałtownie, wcale nie zdziwiona, że widzi Nathana. Jego czarne włosy lśniły w świetle księżyca. Po dłuższym zastanowieniu stwierdziła, że jej podejrzenia nie były bezpodstawne. On rzeczywiście wyglądał jak szpieg, niebezpieczny i tajemniczy.

Cofnęła się.

- Panie Trevain, niepotrzebnie przyszedł pan tu za mną.

Popatrzył na nią, jakby coś wyczuł.

- Myślałem, że miała pani ochotę się czegoś napić.

Czy mogła mu zdradzić, że się go boi? Że podejrzewa, iż jest szpiegiem? Nie mogła powiedzieć mu tego wprost. Musiała znaleźć inny sposób. Wyciągnęła rękę po szklankę. Trzymał ją w dłoni, na której miał sygnet. Świetnie.

- Skąd pan ma sygnet z krwawnikiem? - spytała i nonszalancko upiła łyk, bacznie obserwując jego twarz.

- To serpentyn - poprawił ją.

Potrząsnęła głową.

- Nie, widać na nim czerwone plamki, to drobiny żelaza. Właśnie one odróżniają serpentyn od krwawnika.

Trevain milczał przez chwilę. W ciemnościach trudno było dostrzec jego oczy.

- Skąd go pan ma? - powtórzyła.

Twarz Nathana nadal nie zdradzała żadnych uczuć.

- Prawdę mówiąc, nie pamiętam.

Ariel zacisnęła palce na szklance. Serce zabiło jej mocniej, bo wiedziała, że musi zadać następne pytanie.

- A wie pan, że ten kamień nazywa się również heliotropem?

Mężczyzna cofnął się o krok. Nawet w tak słabym świetle dostrzegła wyraz zdziwienia na jego twarzy. Z drugiej strony niczego to jeszcze nie dowodziło. Większości kobiet z trudem przychodziło czytanie Biblii, a ona znała się na minerałach.

- Nie, nie wiedziałem o tym.

- Ciekawa nazwa, nie sądzi pan? - spytała od niechcena, obserwując go uważnie. - Pochodzi od greckiej nazwy Helios, bóg słońca.

Nie chciała uwierzyć, że Trevain mógł być szpiegiem. Nie byłaby w stanie się z tym pogodzić. Zauważyła jednak, jak wzdrygnął się na sam dźwięk słowa „Helios”. Gdyby nie spodziewała się takiej reakcji, może nawet by tego nie spostrzegła.

- Skąd pani wie to wszystko?

- Dużo czytałam na wsi. Nazwy różnych kamieni i przypisywane im moce ciekawiły mnie szczególnie.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się głos Phoebe.

- Tu jesteś, Ariel. Bałam się, że nigdy cię nie odnajdę.



Ariel z ulgą przyjęła obecność kuzynki.

- Nie powinnaś tak długo przebywać na dworze - skarciła ją Phoebe. - Jest zbyt chłodno.

Nie było wcale zimno, ale uwaga o pogodzie stanowiła świetny pretekst, żeby opuścić Trevaina. Nagle zapragnęła jak najszybciej się oddalić.

- Rzeczywiście. - Odwróciła się do Nathana, jednak unikała jego wzroku z obawy, by nie zauważył wyrzutu w jej oczach. - Proszę mi wybaczyć, panie Trevain, ale powinnam posłuchać rady kuzynki. - Oddała mu szklanekę. - Dziękuję za napój.

- Lady D'Archer - zawołał, gdy chciała odejść. Ariel niechętnie spojrzała na niego. - Czy pozwoli pani, że ją odprowadzę?

- Nie sądzę, żeby było to stosowne - odparła za nią Phoebe z dezaprobatą w głosie. - Nie powinniście byli w ogóle przebywać sami, a jeśli w dodatku wrócicie razem, będzie to wyglądało podejrzanie. Myślałam, że miał pan pomóc Ariel odzyskać dobre imię, a nie szkodzić jej.

Trevain musiał zgodzić się z tym rozumowaniem. Ariel wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź. Najwyraźniej jednak doszedł do wniosku, że wzbudzenie gniewu Phoebe nie leży w jego interesie i poddał się.

- Zgadzam się z panią, lady Sarrington. Nalegam jednak, aby lady D'Archer obiecała mi jeszcze jeden taniec.

- Może - odrzekła Phoebe. - Tymczasem proszę odczekać chwilę i dopiero potem wrócić do środka.

Nathan kiwnął głową i popatrzył na Ariel. Jako przyzwotka - choć ze względu na wiek Phoebe było to zabawne - kuzynka mogła trzymać pieczę nad li-

stą tańców Ariel. Trevain również o tym wiedział, ale najwyraźniej wcale mu się to nie podobało, podobnie zresztą jak fakt, że interesująca go kobieta potulnie wykonywała polecenia przyjaciółki.

- Do zobaczenia w środku - powiedział, spoglądając prosto w oczy Ariel.

Pokiwała głową i odwróciła się. Nie była w stanie patrzeć na niego, nie teraz, gdy nabrała tylu podejrzeń.

- Chodźmy, Ariel.

Podążyła za kuzynką, cały czas czując na sobie wzrok Nathana. Wiedziała, że jest niezadowolony, ale było jej wszystko jedno. Chciała po prostu jak najszybciej uciec.

- Nie powinnaś była przebywać w ogrodzie sama z mężczyzną - skarciła ją Phoebe.

- Wiem - odparła z roztargnieniem Ariel.

- Więc dlaczego zgodziłaś się potajemnie z nim spotkać?

Kuzynka zadała to pytanie raczej zatroskana niż rozgniewana.

- Nie zgodziłam się. Sam poszedł za mną.

Phoebe wcale nie spodobała się ta odpowiedź.

- Powinnaś trzymać się od niego z daleka, Ariel. Jemu nie można ufać.

- Wiem.

Kuzynka zdziwiła się.

- A więc przyznajesz, że to nierozsądne udawać jego narzeczoną?

Ariel czuła się zagubiona. Zapragnęła jak najszybciej wrócić do domu.

- Chcę już wyjść.

Phoebe spojrzała na nią zaskoczona, ale gdy zorientowała się, że Ariel mówi poważnie, natychmiast odprowadziła ją do wyjścia. Nie kazała jej się żegnać z nikim ani nie zostawiła przepaszającego liściku dla gospodarzy.

Ariel zignorowała pogardliwe spojrzenia rzucone w jej kierunku podobnie jak złośliwe uwagi. Jej myśli zaprzętała jedna sprawa. Jeśli Nathan Trevain był Heliosem, to czego od niej chciał?

## 5

Tymczasem najlepszy plan, który przyszedł jej do głowy, wciąż pozostawiał wiele do życzenia. Stwierdziła mimo to, że miał szanse powodzenia. W gruncie rzeczy pomysł był prosty. Wysłałaby Nathanowi enigmatyczny liścik, który uznałby za pomyłkę, gdyby nie okazał się Heliosem, ale który jednocześnie skłoniłby go do konkretnego działania, gdyby nim był.

Kiedy wieczorem zabrała się do pisania, opadły ją wątpliwości. Ponieważ jednak nadal dręczyło ją wiele pytań, postanowiła posłać Trevainowi wiadomość jeszcze tej nocy. Wiedziała, że nie zaśnie, dopóki się nie przekona, czy jest szpiegiem.

Albo że nim nie jest.

Miała nadzieję, że się myli. Przerazało ją, jak bardzo zaczęło jej zależeć na Nathanie.

Ale dlaczego? Jak to się stało?

Zaczęła mu ufać, a odkąd Archie ją zdradził, traktowała wszystkich mężczyzn bardzo podejrzliwie. Jeśli Trevain rzeczywiście zamierzał ją wykorzystać do jakichś niejasnych celów, ciężko jej będzie się pozbierać.

Drżącą ręką zapieczętowała list i zadzwoniła po pokojówkę. Służąca zjawiła się niemal natychmiast. Było jeszcze w miarę wcześnie. Ariel przyszło do głowy, że Nathan mógł wstąpić do nich do domu, gdy

zorientuje się, że ona i Phoebe wyszły z balu. Z drugiej strony mogło trochę potrwać, zanim zauważy ich zniknięcie.

- Oddaj to jednemu z posługaczy, żeby zaniósł panu Trevainowi. - Pokojówka wyciągnęła rękę po list. Ariel cofnęła dłoń. - Tylko pamiętaj, służący Fitzherbertów nie mogą się dowiedzieć, od kogo jest ta wiadomość.

Pokojówka spojrzała podejrzliwie na Ariel. Najprawdopodobniej myślała, że list zawiera prośbę o potajemną schadzkę. Gdyby tylko wszystko było takie proste!

- Tak, proszę pani. Mój brat John dostarczy to osobście.

Ariel potaknęła i oddała list służącej.

- Jeśli pana Trevaina nie będzie u Fitzherbertów, niech John zaniesie list do domu.

Serce Ariel waliło jak szalone. Jeśli miała rację, Nathan szybko opuści bal. Może nawet już wyszedł. Tak czy inaczej, wszystko wyjaśni się o północy.

- Później będzie mi potrzebny powóz.

Pokojówka spojrzała na nią porozumiewawczo.

- Jak sobie pani życzy.

Ariel niczego sobie nie życzyła. Zrobiłaby wszystko, żeby nigdzie nie wypuszczać się w pojedynek nocą, ale tę sprawę musiała załatwić sama. Łudziła się tylko, że od samego początku nie miała racji.

*Panie,*

*mam informację, której pan szuka. Wiem również, że woli pan, aby nie nazywać go po imieniu. Spotkajmy się więc przy Czarnym Łabędziu o północy, aby*

*spokojnie porozmawiać bez obaw, że zostaniemy rozpoznani.*

Nathan przeczytał liścik raz, potem drugi. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach.

Wiadomość była bezsprzecznie przeznaczona dla niego. Nie było również wątpliwości, że autor znał jego prawdziwą tożsamość. W górnym rogu drobnymi literkami napisał słowo „Helios”.

Na liście nie widniało żadne nazwisko.

Zacisnął szczęki na myśl o lady D'Archer. Nie miał pojęcia, dlaczego uciekła, ale dowie się. Nie dzisiaj jednak, bo tej nocy musiał zająć się listem.

Kolejny raz uważnie przyjrzał się pergaminowi. Autor znał jego prawdziwą tożsamość, ale nie chciał, żeby ta informacja wpadła w niepowołane ręce. Niestety z paru enigmatycznych zdań nie wynikało, czy pisząca je osoba jest jego przyjacielem, czy wrogiem.

Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że człowiek ten jest mu przyjazny, bo inaczej od razu doniósłby na niego i doprowadził do aresztowania.

- Wiesz, kto to dostarczył? - spytał służącego.

- Nie, proszę pana - odparł mężczyzna ze wzrokiem utkwionym gdzieś ponad głową Trevaina.

- A kiedy został dostarczony?

- Dziś wieczorem, proszę pana. Nie wiemy dokładnie kiedy.

Nathan zerknął na zegar na półce nad kominkiem. Nagłe zniknięcie Ariel z przyjęcia wyprowadziło go z równowagi. Dopiero teraz nieco się uspokoił. Ten wieczór nie pójdzie jednak na marne.

- Każ przyprowadzić powóz.

Nawet jeśli służący uważał, że była to dziwna proś-

ba, starannie ukrył swoje odczucia. Za to właśnie mu płacono.

Sporo czasu zajęło zaprzęgnięcie koni do powozu, a potem jazda na wyznaczone miejsce. Do Czarnego Łabędzia Nathan dotarł kilka minut przed północą.

Co dziwne, zajazd wcale nie mieścił się w złej dzielnicy miasta. Najwyraźniej informator Trevaina nie pochodził z plebsu. Z doświadczenia Nathana wynikało, że ludzie raczej przestawali z równymi sobie.

Budynek gospody był duży. Przez oszklone okna na ulicę padało światło. Biały szyld nad drzwiami miał kształt łabędzia. Mimo późnej pory wewnątrz wciąż bawili się goście.

Czy któryś z dochodzących z gospody głosów mógł należeć do osoby, która pomoże mu odnaleźć brata? Zacisnął pięści. Spraw, Boże, żeby tak było, modlił się w duchu.

Drzwi okazały się ciężkie. Gdy je uchylił, twarz owionęło mu gorące powietrze. Zamrugał oślepiiony światłem. Głosy ucichły na chwilę, po czym znów rozbrzmiały z pełną siłą. Jak się zorientował, gości było niewiele.

Nerwy miał napięte jak postronki. Czekał, aby ktoś do niego podszedł albo dał mu jakiś znak, ale nic takiego się nie wydarzyło.

Wszedł głębiej do środka. Usiadł przy wypolerowanym stole. Lśniący blat również świadczył o tym, że gospodę odwiedzali zamożni goście. Rozejrzał się dookoła. I rzeczywiście. Wszyscy mężczyźni byli elegancko ubrani. Nathan popatrzył na każdego, ale nikt nie zareagował.

Zdenerwował się. O co w tym wszystkim chodzi-

ło? Czyżby autor liściku zrezygnował ze spotkania?

Ariel D'Archer jednak przybyła na miejsce. Wyglądała przez okno powozu Phoebe. Serce boleśnie ścisnęło się jej na widok wysiadającego z karety Nathana. Czuła się upokorzona i boleśnie zraniona.

Łotr. Niegodziwiec. Kłamca.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Ruszaj - poleciła woźnicy.

Zobaczyła już wszystko to, co chciała. Nathan Trevain, jej „przyjaciół”, był nikim innym jak sławnym Heliosem, najgroźniejszym szpiegiem z kolonii.

Znów dała się podejść mężczyźnie.

Wytarła oczy. Po co ronić łzy, skoro sama była sobie winna? Na szczęście nie straciła zupełnie głowy i intuicja podpowiedziała jej, że niespodziewana propozycja pomocy pana Trevaina nie jest do końca bezinteresowna. Najgorsze w tym wszystkim było to, że wbrew rozsądkowi zaczęła go szczerze lubić. Zacisnęła pięści. Poczuli, że robi jej się niedobrze.

Weź się w garść, dziewczyno, skarciła się. Teraz przynajmniej znasz prawdę.

Ale co to za pociecha? Mężczyzna, który wydał jej się sympatyczny, okazał się gorszym łotrem od Archiego.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko. Dwa razy pozwoliła z siebie zakpić. Po raz drugi zaufała mężczyźnie, który nie uszanował jej uczuć.

Wbiła paznokcie w szary materiał płaszcza. Jej ciało bezwładnie poddawało się ruchom pojazdu. Najgorsze było nie to, że Nathan Trevain jest szpiegiem, ale to, że nie przypadkiem zainteresował się właśnie nią, córką pierwszego lorda Admiralicji. Powoli nabrała powietrza w płuca.



A więc zamierzał ją wykorzystać.

Tylko do czego? zastanawiała się. Uświadomiła sobie, że ojciec będzie wiedział. A może nie? Najwyraźniej wcale nie domyślał się prawdziwej tożsamości Trevaina. Gdyby było inaczej, Amerykanin na pewno już siedziałby za kratkami. Co wobec tego powinna zrobić? Doprowadzić do konfrontacji z Nathanem? Zdemaskować go? Ta myśl nawet się jej spodobała. Z przyjemnością wypomniałaby mu jego kłamstwa, a potem Spoliczkowała. Albo ugodziła nożem w serce. Albo jeszcze lepiej - zastrzeliła.

Ulicą przejechała dorożka. Ariel odprowadziła ją niewidzącym wzrokiem. Gdyby odważyła się go zdemaskować, ryzykowałaby własne życie. Dlatego raczej zgłosi swoje odkrycie Admiralicji. Tak, to najstosowniejsze wyjście. Jednak na potwierdzenie swoich podejrzeń nie miała żadnego dowodu. Czy wobec tego jej uwierzą? Przygryzła wargę. Od razu wyobraziła sobie lorda Howella, jak klepie ją pobłażliwie po głowie i każe wracać do domu z jej głupiutkimi teoriami.

Tak samo postąpiliby inni admirałowie. Musiała zdobyć dowód, żeby ich przekonać. Może uda jej się przyłapać Heliosa, jak kradnie dokumenty, po które przyjechał.

Spodobał jej się ten pomysł. Została upokorzona i nigdy tego nie daruje. Nie ma mowy. Przysięgła sobie, że Trevain zapłaci za zniewagę, jakiej się dopuścił.

## CZEŚĆ DRUGA

Wzdychaj, panno, ale po co łyzy?  
Mężczyzna to zagadka:  
Czy charakter dobry ma, czy zły,  
Coś niesie w dal gagatka.

William Shakespeare, *Wiele hałasu o nic*, w: *Wiele hałasu o nic, Wieczór Trzech Króli albo co chcecie*, tłum. Stanisław Barańczak. „W drodze”, Poznań 1994.

## 6

Sama myśl o spotkaniu z Nathanem po tym, czego się dowiedziała, napawała ją odrazą. W dodatku przez całą noc nie zmrużyła oka, bo bez przerwy przypominała sobie przebieg ich spotkań. Helios przygotował misterny plan, żeby osiągnąć ceł. Jej powrót do Londynu na pewno przyjął jak łaskę niebios. Z każdą chwilą, gdy coraz więcej szczegółów przychodziło jej do głowy, dobry nastrój opuszczał ją nieubłaganie.

Rozgniewanego przedstawiciela rodu D'Archer należało się obawiać. Oprócz cygańskiej krwi i ojcowskiego zamiłowania do walki Ariel odziedziczyła po rodzicach skłonność do utarczek. A Nathanowi Trevainowi wypowiedziała wojnę.

Gdy poprosił o kolejne spotkanie, odmówiła. Jeśli chciał się bawić w kotka i myszkę, proszę bardzo.

Dopiero po dwóch dniach zgodziła się z nim zobaczyć, i to tylko dlatego, że umówili się wśród ludzi.

- Pójdiesz? - spytała Phoebe.

- Tak - odparła i jeszcze raz przeczytała liścik. - Będzie jeszcze kilku innych gości u jego stryja. To najodpowiedniejszy moment, żeby mu powiedzieć, że nie chcę go więcej znać.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mu po prostu wysłać listu.

Rzeczywiście Phoebe mogło się to wydawać dziwne, ale Ariel nie zamierzała kuzynce niczego tłumaczyć. Nie chciała chwalić się upokorzeniem, jakie ją spotkało. Nie zniosłaby współczucia Phoebe.

Później tego wieczoru wybrała złotą, satynową suknię, która kolorem idealnie pasowała jej do oczu. Tuż poniżej talii suknia ozdobiona była szeroką ciemnobrązową kokardą. Tym razem dekolot miała skromny. Ariel upięła włosy z tyłu głowy. Nienawidziła peruk i postanowiła postąpić wbrew modzie. Musiała wyglądać jak najlepiej i być odważna. Wiele mogłaby zyskać, gdyby udowodniła, że Nathan Trevain jest szpiegiem. Osobistą satysfakcję, a może nawet przebaczenie towarzystwa.

Trzymaj się, powtarzała sobie, gdy schodziła ze schodów. Trevain czekał na nią na dole. Razem mieli iść na kolację do księcia. Spociły jej się dłonie. Wcale nie była pewna, czy gdy się spotkają, nie rzuci się na niego z pazurami. Zaciśnęła pięści, żeby się opanować.

- Dobry wieczór, panie Trevain - przywitała go spokojnym tonem, chociaż bała się, że nie zdoła rozewrzeć zaciśniętych szczęk.

Stał przy oknie w salonie. Blizna na policzku pozostawała w cieniu.

Możesz to zrobić, możesz, powtarzała sobie zdenerwowana. Tego wieczoru Nathan wyglądał na stuprocentowego szpiega. Przyjrzała mu się spod przymrużonych powiek, żeby zweryfikować pierwsze wrażenie. Miał na sobie ciemny strój. Domyśliła się, że dzięki niemu łatwiej może przemykać się niezauważony nocą po ulicach miasta. Założył zupełnie niemodne czarne bryczesy. Nie wydawał się jednak zmartwiony

tym *faux pas* wobec najnowszych wskazań mody. Może dziś zamierzał włamać się do czyjegoś domu. Na przykład do rezydencji jej ojca.

- Lady D'Archer - odezwał się zatroskanym i... poirytowanym tonem.

Ariel z satysfakcją przyjęła jego zły nastrój. Wiedziała, że tego dnia jeszcze nie raz zagra mu na nerwach.

- Muszę przyznać, że kamień spadł mi z serca, gdy zgodziła się pani ze mną dziś zobaczyć.

Nic dziwnego.

- Rzeczywiście, proszę mi wybaczyć, ale ostatnio nie czułam się najlepiej. Czyżby Phoebe nie przekazała panu tej informacji?

- Owszem, przekazała - mruknął, ale jego oczy wyraźnie powiedziały jej, że nie uwierzył w ani jedno słowo kuzynki.

- Ale teraz już jest lepiej i jestem gotowa udać się z panem na przyjęcie do stryja.

Trevain dłuższą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa. Ariel obawiała się, że odgadnie jej wszystkie myśli.

- Ślicznie pani wygląda - stwierdził.

- Czyżby? - rzuciła niegrzecznie. Wystarczająco ślicznie, żeby chciał ją uwieść?

Oczy Nathana ześliznęły się w dół po jej ciele. Czy to wyobraźnia spłatała jej figła, czy rzeczywiście spojrział na nią serdeczniej?

- Dobrze pani w tym kolorze.

Tak, skromny dekolt zdobył u niego uznanie. Pewnie oceniał w duchu, czy łatwo rozluźni zapęczenia, żeby pocałować ją w najczulsze z miejsc.

Zaczerwieniła się i zacisnęła pięści. Nigdy. Za nic nie dopuści do tego.

- Tak, tak, dziękuję. - Uśmiechnęła się z trudem. - Ruszamy?

Odniosła wrażenie, że zmrużył oczy, i natychmiast się zreflektowała. Nie powinna denerwować go teraz, gdy zależy jej, żeby jak najbardziej zbliżyć się do niego.

Mimo wszystko nie było to łatwe. Kilka razy próbowała nawiązać rozmowę, ale stać ją było jedynie na krótkie, ostre odpowiedzi. Nie była pewna, czy Nathan zwrócił na to uwagę. Wieczór już zaczynał się jej wymykać spod kontroli.

Przed rezydencją księcia stało kilka powozów. Najwyraźniej dzisiejsze przyjęcie nie było skromną kolacją.

Ariel założyła tego wieczoru rękawiczki. Dłonie już zdażyły jej się spocić. Tylko z największym trudem opanowała drżenie kończyn. Spojrzała na Trevaina.

Na Heliosa.

Wyprostowała się zdecydowanie. Zrobi to. Wzięła głęboki oddech, gdy kilka minut później pomagał jej wysiąść z karety. Niechętnie położyła mu dłoń na przedramieniu, kiedy wchodzili po schodach do rezydencji.

Jasne światło o mało jej nie oślepiło, kiedy przekroczyła próg domu. Wewnątrz paliło się mnóstwo świec, których blask można było przyrównać do blasku słońca. Szarobiała marmurowa podłoga lśniła wypolerowana. Korytarz zdobiły meble z rzadkiego czerwonego drewna.

Pary zebrały się w pokoju po prawej stronie. Lustro i portrety oprawione były w bogato zdobione ramy. Ariel przestała podziwiać wnętrza, gdy zorientowała się, że na ich widok goście zamilkli. Powiodła

więc dumnym wzrokiem po zgromadzonych w pomieszczeniu osobach.

W tak strasznym przyjęciu jeszcze nie uczestniczyła. Najwyraźniej księżę postanowił ją upokorzyć. Nie raczył nawet przywitać się z nią. Ariel przyjrzała mu się. Miał na głowie perukę, na ramiona opadały mu długie loki. Mimo upudrowanej twarzy jego podobieństwo do Nathana aż uderzało. Gdyby nie tusza i stara, pomarszczona twarz można byłoby go pomylić z Trevainem.

Popatrzyła dookoła. Kobiety i mężczyźni przyglądali jej się nieprzychylnym wzrokiem. Ariel odechnęła głęboko.

- Stryju, czy mogę ci przedstawić lady Ariel D'Archer?
- Możesz - rzucił księżę.

Ariel zacisnęła usta. Ogromna peruka i naburmuszona mina księcia sprawiły, że miała ochotę dźgnąć księcia w opasły brzuch.

- Wasza miłość - przywitała się i dygnęła. Nie na darmo była córką hrabiego; w niczym nie ustępowała zebranych gościom. - Ma pan piękny dom.

- Owszem. Szkoda, że najnowsze dodatki w ogóle do niego nie pasują.

Ariel zeszywniała urażona. Od razu odgadła, że księżę mówił o niej. Najchętniej natychmiast wyszłaby z pokoju, ale Trevain chyba zrozumiał, co jej chodzi po głowie, bo przykrył jej dłoń swoją i poklepał ją.

- Jeśli wszyscy już przybyli, stryju, może przejdziemy do jadalni?

Zwykle taka propozycja padała z ust gospodarza, ale Nathan najwyraźniej nie przejmował się takimi drobiazgami. Był zdenerwowany. Zmusił Ariel, żeby

się odwróciła i, nie czekając na odpowiedź stryja, wyprowadził ją z pokoju, jakby miał się za nimi posypać grad kul.

- Bardzo mi przykro - szepnął i opuścił głowę. - Nie sądziłem...

- Proszę nic nie mówić - przerwała mu. - Jeśli ktoś usłyszy pana przeprosiny, będzie jeszcze gorzej.

Zaryzykowała i spojrzała na niego. Zdziwiła się, bo wyglądał na szczerze zmartwionego. Sprawiał wrażenie, jakby się przejął, ale Ariel nie dała się zwieść. Żaden mężczyzna, który ma sumienie, nie obmyśliłby tak ohydneho planu. Tymczasem skruszony Nathan szukał dla niej miejsca przy stole. Przy każdym nakryciu stała karteczka z nazwiskiem. Okazało się, że Trevaina posadzono z daleka od niej. Początkowo przeraziła się, ale po chwili uspokoiła. W gruncie rzeczy do czego potrzebny był jej ten szubrawiec? Poradzi sobie bez trudu, pobierała przecież lekcje etykiety u największych specjalistów.

Usiadła i wyprostowała się. Jeśli goście spodziewali się przedstawienia, to je dostaną.

Księżę zajął miejsce u szczytu stołu, trzy krzesła przed nią. Inni goście poszli w jego ślady. Szybko potwierdziło się przypuszczenie, że nie była tu mile widziana.

- Moja droga lady D'Archer - powiedziała kobiecie, która usiadła po jej lewej stronie. - Jak miło znów panią widzieć. Nie sądziłam, że ten dzień kiedykolwiek nastąpi.

Ariel spojrzała na nią.

- Muszę przyznać, że i ja jestem zdziwiona.

Kobieta zmierzyła ją nieprzyjemnym wzrokiem,



po czym odwróciła się. Prawdopodobnie nie zamierała się już odzywać do Ariel tego wieczoru.

Ariel postanowiła zdać się na los. Była córką hrabiego i będzie zachowywać się, jak na hrabiankę przystało. Choć innym gościom nie podobała się jej obecność na przyjęciu, postanowiła nie dać im żadnego powodu do plotek. Gdy więc ktoś napomknął coś o mezaliansie, udała, że nie słyszy tej uwagi. Rzeczywiście była półkwi Cyganką, ale szczyciła się tym. Nie skomentowała również stwierdzenia jednej z dam, którą oburzyła jej obecność. W miarę upływu czasu coraz trudniej jednak znosiła przytyki, choć co prawda nie wszyscy ją atakowali. Nathan obserwował ją z troską w oczach ze swojego końca stołu. Co z tego, skoro wystarczyły dwie osoby, żeby sprawić jej przykrość. Zacisnęła palce na widelcu. 2 trudem utrzymywała wyprostowaną postawę, ale wytrwała do końca kolacji. Kiedy kobiety wstały, modliła się, aby ustały przykre komentarze.

- Wszystko w porządku? - spytał ktoś niskim głosem.

Ariel drgnęła zaskoczona. Nathan podszedł do niej, żeby odsunąć jej krzesło. W pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć; wprost bała się otworzyć usta, żeby nie wyrwało jej się coś niemiłego.

- Ariel? - powtórzył serdecznym tonem.

Wstała powoli i odetchnęła głęboko, zanim spojrzała mu w twarz.

- Kolacja była wyśmienita, panie Trevain.

Jego oczy wyraźnie mówiły, że wiedział, iż kłamie. Na pewno dotarła do niego część kąśliwych uwag, podobnie jak do wszystkich zebranych gości.

- Jest pani bardzo odważna - oznajmił Nathan i,

nie do wiary, jego głos brzmiał szczerze. Niestety, dobrze wiedziała, że chodzi mu tylko o to, by ją do siebie przyjaźnie nastawić.

Ale on jej jeszcze za wszystko zapłaci.

- Lady D'Archer, czy mógłbym z panią zamienić słowo?

Oboje z Nathanem odwrócili się. Za nimi stał stryj Trevaina. Uśmiechał się uprzejmie, ale jego oczy pozostawały zimne.

- Stryju, lady D'Archer nie czuje się najlepiej. Chyba powinienem odwieźć ją do domu...

- Nie - przerwała Ariel i wyprostowała się. Księżę nie mógł jej zranić bardziej niż złośliwe komentarze, którymi szczerze zasypano ją w czasie kolacji. - Mogę porozmawiać z pana stryjem. Jestem przekonana, że nie będzie to długa dyskusja.

Nathan zacisnął usta.

- Wobec tego zostanę z wami.

- Wolałbym porozmawiać z nią w cztery oczy, jeśli pozwolisz - groźnie odparł księżę.

- Dobrze - zgodził się w końcu Nathan. - Ostrzegam cię, stryju... - dodał cicho, żeby nie usłyszeli go wychodzący z pokoju goście.

- Nathanie - przerwała mu Ariel i dotknęła jego ramienia. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo wyprowadziła ją z równowagi dzisiejsza kolacja. - Twój stryj na pewno jest gościnnym gospodarzem.

Trevain nie wyglądał na przekonanego. Ariel podzielała jego wątpliwości, ale nie zamierzała się poddać. Żeby utrzymać znajomość z Nathanem, musiała pozyskać aprobatę księcia przynajmniej do momentu, gdy zdemaskuje Trevaina - Heliosa.

Podbudowana uśmiechnęła się i podążyła za księciem do jego prywatnego gabinetu. Gdy zamknęła drzwi, przestali słyszeć gwar panujący w salonie. Ariel uświadomiła sobie, że ksiązę wybrał bibliotekę na miejsce ich spotkania, żeby ją przestraszyć.

Wysokie półki z książkami miały jej przypomnieć, że jest tylko głupią kobietą, która nie potrafi korzystać z dobrodziejstw nauki. Ciekawe, co jego miłość pomyślałaby, gdyby wiedział, że przeczytała większość tomów stojących u niego na półkach. Pewnie by nie uwierzył.

- Czy goście księcia nie mają nic przeciwko temu, że ksiązę ich opuścił? - spytała, bo zdawał się lubować niezręczną ciszą, która zapadła, gdy zamknęła drzwi. W pokoju rozlegał się jedynie trzask płomieni w kominku. Zapach świec był przytłumiony zapachem książek. Ksiązę spoczął w ogromnym fotelu. Skóra zaskrzypiała, gdy siadał.

- Moi goście rozumieją, że mam sprawę do załatwienia.

- Chce mnie ksiązę odstraszyć? - spytała i usiadła naprzeciwko gospodarza, chociaż jej nie zaprosił. - Przypomnieć mi, jaką jestem zakałą społeczeństwa, i uświadomić, gdzie jest moje miejsce?

Ksiązę zmrużył oczy.

- Nie lubi pani owijać spraw w bawełnę?

- Ksiązę na pewno też nie.

Mężczyzna nie odpowiedział. Najwyraźniej ocenił jej elokwencję.

- A więc dobrze - odezwał się w końcu. - Nie będę niczego owijać w bawełnę.

Ariel zebrała się w sobie. Znała strategię walki, nie

na darmo była córką admirała. Czekwała na atak, który w końcu nadszedł.

- Nie pochwalam pani związku z moim bratankiem.

Ariel spojrzała na niego zdziwiona.

- Nie oczekiwałam innej reakcji.

- Na pewno wie pani dlaczego.

Uśmiechnęła się chłodno.

- Uważa mnie księżę za towar drugiej jakości.

Gospodarza zaskoczyła jej szczerość.

- Rzeczywiście - mruknął.

- I poprosi mnie księżę o zerwanie zaręczyn? - zasugerowała.

Tym razem nie okazał zdziwienia.

- Zerwie je pani?

- Nie - rzuciła.

Jeśli wcześniej był zły, to teraz się wściekł.

- Nie - powtórzył, jakby usłyszał to słowo pierwszy raz w życiu. Może zresztą tak było. Niewiele osób odważyłoby się odmówić księciu.

- Nie.

Nonszalancko oparła dłonie na oparciu fotela.

- A jeśli powiem, że wydziedziczę Nathana, gdy pani będzie się upierać przy małżeństwie?

- Przypomnę księciu, że pomimo braku zasad moralnych mam swój własny majątek.

Mężczyzna spurpurowiał.

- Ty zdraдлиwa kusicielko.

Ariel roześmiała się. Natychmiast opadło z niej napięcie. Już dawno nie czuła tak wyraźnej przewagi nad swoim rozmówcą.

- Tak księżę o mnie myśli?

- Dziwi to panią? Zawraca pani w głowie mojemu

bratankowi do tego stopnia, że się pani oświadcza po kilku zaledwie dniach znajomości. Musiała mu się pani oddać, żeby podjął taką decyzję.

Ariel znów wybuchnęła śmiechem. Gdyby tylko ksiązę znał prawdę!

- Ależ czy wasza miłość sądzi, że ktokolwiek mógłby zmusić Nathana do zrobienia czegoś, na co nie miałby ochoty?

- Trudniej mi uwierzyć, że postanowił związać się z kimś pani pokroju.

Kimś pani pokroju. Zabołały ją te słowa, ale nie dała niczego po sobie poznać.

- A co bardziej księcia drażni? Fakt, że nie daję się księciu zastraszyć? Czy też uważa ksiązę, że jestem bezczelna, uznając, że mimo zrujnowanej reputacji nadaję się na panią na Davenport?

Mężczyzna zacisnął zęby.

- A może chodzi o coś innego? - ciągnęła nieubłaganie, choć wiedziała, że ksiązę z trudem utrzymuje nerwy na wodzy. - Może o moje pochodzenie? Pewnie przeszkadza księciu, że w moich żyłach płynie cygańska krew. Obawia się ksiązę, że zacznę uczyć dzieci czarnej magii?

- Wynoś się stąd! - ryknął ksiązę, zrywając się z krzesła. - Wynoś się stąd natychmiast! Mam dosyć tego zuchwalstwa.

- Ja pańskiego również.

- Jest pani gorsza od ulicznicy, najnędzniejszej dziwki...

- Jestem córką hrabiego - wtrąciła Ariel.

- O moralności Cyganki - odgryzł się.

- Dosyć tego! - rozległ się czyjś stanowczy głos.

Ariel podskoczyła. Oboje się odwrócili. W drzwiach stał Nathan. Wściekły zaciskał i rozluźniał pięści, jakby bał się, że może uderzyć stryja.

- Ariel, chodźmy. Chcę panią zabrać do domu.

„Z deszczu pod rynnę?” - o mało nie zapytała Ariel. W tym jednak momencie nawet taka pomoc była jej na rękę.

- Zostań! - ryknął książę.

Odwrócili się do rozwścieczonego gospodarza.

- Ty zostaniesz, Nathanie.

- Nie, jeśli zamierzasz nadal obrażać moją narzeczoną.

Ariel nie wierzyła własnym uszom. Trevain jej broił. Z drugiej strony niczego innego nie powinna się spodziewać. Zależało mu przecież na pozyskaniu jej zaufania.

Zrobiło jej się przykro. Gdyby wstawił się za nią bezinteresownie! Ale ona nie była na tyle naiwna, żeby się tego spodziewać. Nauczyła się już, że mężczyźni to urodzeni kłamcy.

- Twój gość będzie traktowany tak, jak na to zasłużył.

- To nie wystarczy, stryju. - Nathan spojrział na Ariel rozgorączkowanym wzrokiem. - Chodźmy - powtórzył.

- Jeśli stąd teraz wyjdiesz, wydziedziczę cię.

Nathan jeszcze raz odwrócił się do stryja.

- Jeśli to zrobisz, oddasz mi przysługę.

Ariel przemknęło przez myśl, że mówił to poważnie. Sprawiał wrażenie szczerego. Stwierdziła, że musi być świetnym aktorem.

Ruszyli do wyjścia. Nathan otworzył jej drzwi.

Nawet się nie obejrzał, gdy przekraczał próg. Odezwał się dopiero, gdy usiedli naprzeciwko siebie w książęcym powozie.

- Nie miałem nic wspólnego z tym, co wydarzyło się przed chwilą - usprawiedliwił się.

Luksusowe wnętrze karety oświetlała umieszczona na zewnątrz lampa. Pachniało świeżymi cytrynami. Pewnego dnia ten powóz będzie należał do łotra, z którym jechała.

- Wie pani o tym, prawda?

Dopiero teraz spojrzała mu w twarz. Wyglądał na zatroskanego. Parsknęła krótkim, ironicznym śmiechem. Owszem, wierzyła mu. Bałby się zdenerwować ją takim przedstawieniem.

- Nie spodziewałem się tego po stryju. Jego słowa są godne najwyższego potępienia.

„Takiego samego jak twoje własne?” - chciała spytać. Milczała jednak.

Poczuła, jak zaczynają piec ją oczy.

- Bardzo mi przykro, Ariel.

- Czyżby? - burknęła.

Spodziewała się, że Nathan powie coś miłego, żeby poprawić jej nastrój. Tymczasem bez słowa nachylił się i ujął jej dłoń. Zaskoczyło ją, że tak dużą przyjemność sprawił jej jego dotyk.

Chciała wyrwać rękę, ale trzymał mocno. Drażniło ją, że jej ciało reagowało na bliskość Trevaina zupełnie inaczej, niż by sobie tego życzyła.

Nathan wyraźnie zmartwiony wyrzwał przez okno powozu. Nie dało się ukryć, że miał powody do obaw. Zastanawiał się, czy ona jeszcze kiedykolwiek zgodzi się z nim spotkać.

Ni stąd, ni zowąd Ariel zrobiło się przykro, że Nathan był takim łotrem. Odwróciła się, żeby nie dostrzegł rozczarowania w jej oczach.

- Nie potraktowali pani zbyt uprzejmie, prawda?

Spojrzała na swojego towarzysza zdziwiona, że wyglądał na zasmuconego. Na pewno udawał.

- Jeśli mówiąc „oni” ma pan na myśli gości księcia, to tak, nie okazali się szczególnie mili.

- Czy zawsze tak było?

- Nie rozumiem.

Trevain zmieszał się, zupełnie jakby toczył jakąś wewnętrzną walkę.

- Czy młodą kobietę o zrujnowanej reputacji zawsze traktuje się w ten sposób?

- Tak, zawsze. Rozdrażniłam wszystkich swoim powrotem do Londynu.

- A więc oczekuje się, że nigdy nie wyjdzie pani za mąż ani nie będzie miała dzieci?

- Owszem.

- Nawet jeśli padła pani ofiarą oszustwa?

- Ależ według nich ja wcale nie zostałam oszukana. Oni sądzą, że jesteśmy z Archiem jednakowo winni. Twierdzą, że takie rzeczy ma się we krwi.

Mimo że obiecała sobie zachować spokój, poczuła, że pod powiekami zaczynają jej się zbierać łzy. Odwróciła się do okna. Noc była tak ciemna, że poza własnym odbiciem nie widziała w szybie niczego.

- Ma pani na myśli swoją matkę?

Ariel uniosła głowę i spojrzała na niego.

- Wie pani o niej?

- Od stryja - wyjaśnił.

- Aha. A co panu powiedział?



Powóz zakołysał się na jakiejś nierówności.

- Że pani ojciec zakochał się w kobiecie niższego stanu. W Cygance.

- To prawda. - Odwróciła wzrok. - Słyszałam, że bardzo ją kochał - dodała niespodziewanie dla samej siebie.

Bardziej niż mnie, dodała w myślach.

- Czy brakuje pani matki?

Powozem znów szarpnęło. Ariel dla równowagi złapała uchwyt.

- Bardzo chciałabym wiedzieć, jaka była. Zmarła tuż po porodzie. Ojciec starał się mnie wychować najlepiej, jak mógł, ale mimo wszystko nie układa się między nami. - Zmarszczyła brwi niezadowolona, że tak wiele odkryła przed obcym człowiekiem. - W dodatku ja zrujnowałam sobie reputację w wieku osiemnastu lat.

- A zatem ojciec nie jest pani bliski?

Ach, więc jednak go to interesowało? Nic dziwnego.

- To zbyt wiele powiedziane - odparła, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego dzieli się z Trevainem tyloma przemyśleniami. Powinna przecież spróbować zmienić temat, na przykład na jego życie w koloniach. Być może dzięki temu udałoby jej się poznać prawdziwy cel jego wizyty w Anglii.

- Dlaczego ojciec pani nie wybaczył? - spytał, gdy milczenie przedłużało się.

- Na pewno nie chce pan usłyszeć mojej opinii na ten temat.

- Ależ chcę.

Uścisnął jej dłoń. Ariel w pierwszym momencie wzruszyło jego szczere spojrzenie. Zaraz jednak przypomniała sobie, kim tak naprawdę jest Trevain. Mi-

strzem wśród szpiegów. Tak dobrze potrafił się maskować, że Admiralicja uważała go za jednego z najgroźniejszych szpiegów kolonii amerykańskich. Ona była jedynie jego ostatnią ofiarą.

- A sam nie umie się pan domyślić?

Nawet jeśli zdziwił go jej arogancki ton, nie dał tego po sobie poznać.

- Ma pani za złe, że przyniosła pani wstyd rodzinie.

- Właśnie. Mój ojciec nie toleruje głupców, a ja okazałam się wyjątkowo naiwna.

Szczególnie w obecnej sytuacji odczuła prawdę tych słów.

Płomień zamigotał w lampie na ostrzejszym zakręcie. Ariel zauważyła, że Nathan wciąż trzymał jej dłoń. Chciała ją zabrać, ale ścisnął mocniej. Skręcali i Ariel przechyliła się na stronę Trevaina.

- Czy sądziła pani, że jest zakochana w tym człowieku?

Ariel miała nadzieję, że przeboleła już przykrość, którą sprawił jej Archibald Worth, ale myliła się.

- Ariel?

- Tak - rzuciła krótko. - Sądziłam, że jestem w nim zakochana. Ufałam mu. Twierdził, że mnie kocha, ale chciał mnie tylko uwieść. Byłam dla niego ciekawym wyzwaniem, córka hrabiego i w dodatku w połowie Cyganka. No i miałam posag. Oczywiście nie tak duży jak lady Mary Carew, jak się okazało, ale gdyby lady Mary nie zdecydowała się na ślub, nie pozostałby z pustymi rękami. Więc sam pan rozumie, dlaczego ojciec mnie nienawidzi. Ja sama siebie nienawidzę za własną głupotę. Teraz jednak już żadnemu mężczyźnie nie pozwolę się tak wykorzystać.

Trevain popatrzył na nią zdziwiony. Miał dziwne wrażenie, że Ariel kierowała swe słowa bezpośrednio do niego. Może tak było, może zrobił coś, co wzbudziło jej podejrzenia...

Niespodziewanie ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Po raz pierwszy zaczął wątpić w skuteczność swojego planu. Z jednej strony miał nadzieję, że osoba, która wczoraj posłała mu liścik, ujawni się. Z drugiej zastanowił go stosunek społeczeństwa do Ariel. Kiedy dowiedzą się, że została ponownie wykorzystana, ich nienawistna pogarda ją zniszczy.

Nie chciał o tym myśleć. Po raz pierwszy odkąd ją spotkał, zrobiło mu się jej żal. Była co prawda arystokratką, ale podejrzewał, że od pozostałych angielskich dam różniła się tak, jak światło od ciemności.

- Czyżby zabrakło panu słów, panie Trevain?

- Nathanie. Proszę się do mnie zwracać po imieniu.

Odniósł dziwne wrażenie, że zmrużyła oczy. Tak, na pewno to zrobiła. Niech to diabli, nie ufa mu.

- Dobrze, Nathanie. Czyżbym pana zaskoczyła?

- Nie - odparł szczerze. - Podziwiam pani bezpośredniość.

- Bezpośredniość? Tak to się teraz nazywa?

- Tak. Albo szczerłość. Sama niech pani wybierze określenie, które bardziej się pani podoba. Tak czy inaczej, bardzo cenię pani uczciwe odpowiedzi.

Ariel zmrużyła oczy. Dlaczego tak ją zirytował?

- Nie wątpię - mruknęła. - Szkoda, że pan nie jest ze mną równie szczerzy.

Nathan kolejny raz odniósł wrażenie, że Ariel przejrzała jego podwójną grę. Patrzyła na niego podejrzliwie. Zmysłowe usta zacisnęła w wąską linię.

Choć starała się przed nim to ukryć, dostrzegł, że w prawej pięści ścisnęła materiał sukni.

- Ariel, ja nie chcę pani oszukać.

Kobieta prychnęła z niedowierzaniem.

- Nie?

Po raz pierwszy głos uwiązł mu w gardle i nie potrafił skłamać. Co się z nim, u licha, działo?

Zauroczyły go śliczne oczy, w których odbijało się głębokie rozczarowanie.

- Do diabła - zaklął. Puścił jej dłoń i przetarł sobie twarz. Odwrócił wzrok. Czuł się podłe. - Nie wierzy mi pani.

- Nie.

Spojrzał na nią. Miała taki szczególny wyraz oczu. Spostrzegł w nich ból, złość i rozgoryczenie. Pomyślał, że coś musiało się zmienić w ich stosunkach od poprzedniej nocy.

Wyprostował się zaniepokojony. Niemożliwe, żeby dowiedziała się o jego zamiarach.

Niespodziewanie przypomniał sobie, że wczoraj, co prawda w innym kontekście, wspomniała jego pseudonim. Czy był to tylko przypadek? Czy zbiegiem okoliczności był również fakt, że liścik otrzymał tego samego dnia? Jeśli jednak odgadła jego tożsamość, dlaczego do tej pory nie został zatrzymany? Na pewno poinformowałyby Departament Wojny o swoich podejrzeniach. Niemożliwe, żeby wiedziała. Reagowała w ten sposób, bo sądziła, że miał coś wspólnego z zachowaniem stryja.

- Wygląda pan na zirytowanego, panie Trevain.

- Nathanie - poprawił ją odruchowo.

- Nathanie - zgodziła się.

- Bo jestem.

- A dlaczego?

- Bo mi pani nie ufa i zastanawiam się, co zrobić, żeby zmieniła pani zdanie.

Ariel popatrzyła na niego uważnie, po czym nachyliła się do przodu. Nathana owionął zapach kobiecych perfum. Ulotny, prowokacyjny, kuszący.

- Proszę zjeść ze mną jutro kolację - zaproponowała niespodziewanie. - Będziemy sami u mojego ojca w rezydencji. Wyjechał i nikt nie będzie nam przeszkadzał. Udowodni mi pan, że mogę mu zaufać.

Trevain nie wierzył własnym uszom. Zaprosiła go do rezydencji? Takiej okazji nie wolno przegapić, pomyślał podekscytowany.

- Dobrze, przyjmuję wyzwanie.

Ariel kiwnęła głową. Powóz zwolnił. Okazało się, że byli na miejscu. Kilka chwil później pomagał jej wysiąść.

- A więc do zobaczenia jutro? - spytała.

Nathan uniósł jej dłoń do ust i uśmiechnął się.

- Oczywiście.

Ariel nie odwzajemniła uśmiechu, nie odwróciła się nawet, gdy odchodziła. Zastanawiał się, czy rzeczywiście chciała go tylko sprawdzić, czy też miała jakiś inny powód, aby wystąpić z takim zaproszeniem.

Wiedziała czy nie, kim on jest? Nie mógł się opędzić od wątpliwości.

Jutro wieczorem wszystko się wyjaśni.

## 7

Ariel denerwowała się już przed poprzednim spotkaniem z Nathanem, ale tego wieczoru nie mogła usiedzieć na miejscu. Nerwowym krokiem przechadzała się po salonie. W pustym, zamkniętym przez dłuższy czas domu powietrze było trochę zatęchłe. Nie chciała przyjeżdżać do rezydencji z Nathanem, bo chciała spokojnie przygotować się do konfrontacji. Co prawda wolałaby mieć przy sobie Phoebe, ale wiedziała, że jej dzisiejsze spotkanie z Nathanem będzie ostatnim.

- Proszę pani, przyjechał.

W drzwiach salonu stał jeden z niewielu służących, którzy pozostali, aby zajmować się domem.

- Świetnie, wprowadź go.

Lokaj ukłonił się i wyszedł.

- Wszystko gotowe? - krzyknęła za nim.

- Tak, proszę pani - odparł.

- Dobrze, zjemy za pół godziny.

Gdy służący odchodził, znów miała ochotę go o coś zapytać, ale nie chciała odwlekać momentu spotkania.

To już ostatni raz, pocieszała się.

Czegokolwiek szukał Nathan, miało to związek z jej ojcem i rezydencją. Inaczej dlaczego miały się

z nią zaprzyjaźniać? Jeśli chodziło mu o dokumenty, widocznie nie był w stanie sam ich zdobyć. Nie wątpiła, że jako profesjonalista spróbował wszystkiego, zanim postanowił ją wykorzystać.

- Dobry wieczór.

W drzwiach stał Nathan. Miał na sobie czarny płaszcz. Tego wieczoru jego blizna bardziej niż zwykle rzucała się w oczy. Czarny diament w krawacie zamigotał w świetle świec.

- Pan Trevain. Miło mi pana widzieć.

Wszedł do środka. Serce Ariel bilo coraz szybciej z każdym jego krokiem.

- Naprawdę?

Flirtował z nią. A może nie? Patrzył na nią tak przenikliwym wzrokiem, jakby chciał odgadnąć jej *myśli*. Czego chciał się dowiedzieć?

- Bałem się, że zmieni pani zdanie - powiedział i zatrzymał się przed nią.

Ariel podniosła wzrok na jego opaloną twarz. Spoglądał na nią błyszczącymi z emocji oczami.

- Jak pan widzi, nie zmieniłam.

Nathan ujął jej dłoń i delikatnie pocałował. Ariel zrobiło się przykro, gdy ją wypuścił.

Cofnął się, splótł dłonie z tyłu i rozejrzał po pokoju.

- Śliczny dom.

- Dziękuję.

- Może później mogłaby pani mnie oprowadzić?

Ariel popatrzyła na niego podejrzliwie. Od razu zrobiła się czujna.

- Oczywiście. Napije się pan czegoś?

Trevainowi spodobała się ta propozycja.

- Z przyjemnością, ale sam naleję. - Podeszedł do la-

dy, na której stały trzy butelki i cztery kieliszki. - Ma pani ochotę na wino?

- Tak - odparła, choć wiedziała, że nie powinna pić alkoholu.

Rzadko raczyła się winem, ale dziś potrzebowała czegoś mocniejszego. Żałowała, że nie napiła się brandy przed przyjazdem gościa. I to z dziesięć kieliszków.

- Co widać przez to okno? - spytał przez ramię, nalewając.

Ariel patrzyła, jak kieliszek napełnia się płynem.

- Dom przylega do jednego z parków jego królewskiej mości.

- Musi być piękny.

Zerknęła na szybę, jakby mogła coś przez nią zobaczyć.

- Jest.

Nathan odwrócił się do niej i podał jej kieliszek.

- Za zaufanie - mruknął i pociągnął łyk.

Ariel poszła w jego ślady. Wino miało cierpki, nieznaną smak. Mężczyzna patrzył na nią tak uważnie, że się zaczerwieniła. Upiła jeszcze trochę, żeby ukryć zdenerwowanie.

- Czy miał pan przyjemną podróż?

Było to głupie, banalne pytanie, ale musiała coś powiedzieć, żeby przerwać niezręczną ciszę.

- Bardzo przyjemną, dziękuję.

Hmm. Co teraz? Ariel usiadła na sofie i ucieszyła się, gdy Trevain zajął miejsce naprzeciwko niej.

- A pański stryj? Rozmawia z nim pan po wczorajszym przyjęciu?

Gość skrzywił się.

- Niestety tak.



Ariel upiła kolejny łyk. Alkohol rozgrzewał jej żołądek.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało.

Nic dziwnego.

- Nie szkodzi. Wiem, że to nie pana wina.

Ariel zaczęła czuć działanie alkoholu, którego przecież nie piła od kilku lat.

- Rozumiem, że nie powiedział mu pan, że nasze zaręczyny to oszustwo?

- Nie.

Pokiwała głową, zastanawiając się, jaki temat teraz poruszyć.

- Wygląda pani na zdenerwowaną - powiedział niskim głosem.

- Ja? - udała zdziwioną. - A czym miałabym się denerwować?

- Jest pani ze mną sama.

Ariel usiadła wygodniej. Nagle poczuła się trochę osowiała.

- Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym. Raczej nie widuję się z obcymi mężczyznami sam na sam. - Zmarszczyła brwi. - W każdym razie nie robiłam tego, dopóki nie spotkałam pana.

Nachylił się i oparł łokieć na kolanie.

- A czy spotkanie ze mną okazało się katastrofą?

Pokiwała głową, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Spotkanie z panem znajduje się na mojej liście tuż za dniem, w którym mój koń zgubił podkowę w majątku Archibalda Wortha.

- Co za komplement.

- No tak, przynajmniej koń nie ucierpiał.

- Za to pani tak.

Machnęła ręką, w której trzymała kieliszek. Rozlała trochę wina, ale nie zwróciła na to uwagi.

- Dopiero później i tylko moje serce. Ale naprawdę, cóż znaczy złamane serce przy zrujnowanej reputacji?

- I to tak panią martwi?

- Nie - wymamrotała. Mówienie zaczęło jej sprawiać trudność. - To mnie nie martwi, raczej irytuje i boli, gdy widzę, jak ludzie na mnie patrzą. Najgorzej, że czasem przenoszą swoją niechęć na moją kuzynkę. Zawsze jednak powtarzam sobie, żeby się tym nie przejmować. Przecież ci ludzie to banda przemądrzałych snobów.

- A co myśli pani o mnie?

Ariel utkwiała wzrok w kieliszku. Nie wypła dużo, a czuła się pijana. Ale nie tylko kręciło jej się w głowie, czuła się też ociężała i nie była w stanie jasno myśleć.

- Co to za wino? - spytała.

- Z winogron - odparł.

Ariel zaczerwieniła się.

- Och, dziękuję panu za tę pouczającą informację.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Podniosła głowę i mrugnęła kilka razy, żeby odzyskać ostrość widzenia.

- Może nie chcę odpowiedzieć.

Trevain uśmiechnął się. Boże, pomyślała, jaki ten mężczyzna ma czarujący uśmiech.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę pana obrazić.

Gość uśmiechnął się szerzej.

- Proszę odpowiedzieć, co pani o mnie myśli, szczerze.

- Dobrze. Myślę, że jest pan kłamliwym, obrzydliwym łotrem.

Nathanowi zrzędała mina. Nic dziwnego. Większość ludzi nie byłaby zachwycona, słysząc takie inwektywy.

- Dlaczego tak pani o mnie myśli?

Ariel miała odpowiedź na końcu języka: Bo jest pan szpiegiem. W ostatniej chwili jednak opamiętała się.

- Bo wszyscy mężczyźni to łotry.

Wyglądało na to, że uwierzył, choć przyglądał jej się spod oka.

- Nie wszyscy.

- Nie? Niech pan poda choć jednego, który zasługiwałby na mój podziw.

- Pani ojciec.

Ariel prychnęła, naprawdę prychnęła. Zupełnie nie kontrolowała własnych odruchów.

- Mój ojciec to najzimniejszy człowiek, jakiego znam. Nigdy nie zrozumiem, jak związał się z matką.

- Dlaczego tak pani mówi?

Wzruszyła ramionami. Rozluźniła się i przymknęła oczy.

- Wszyscy o tym wiedzą. W Admiralicji nazywają go Bettencourt Góra Lodu.

- Więc nie mówi dużo? Nie dzieli się z panią żadnymi państwowymi tajemnicami?

Ariel zaniepokoiło to pytanie, ale rozkojarzona nie bardzo wiedziała dlaczego.

- O, nie. Mam szczęście, jeśli usłyszę od niego choć dwa słowa, gdy już raczy się ze mną zobaczyć. Szkoda. Weźmie ze sobą do grobu swój sekretny sposób wiązania krawata.

Gdy spojrzała na niego, zauważyła, że się uśmiecha. Dziwne, ale nie pamiętała, żeby wcześniej uśmiechał się równie szczerze.

- Czy kiedykolwiek mówił pani, co znajduje się w jego ukrytym pokoju?

Potaknęła, zanim zorientowała się, co robi. Zaczęło jej szumieć w głowie.

- Co tam jest?

Wzruszyła ramionami. Coś jej się nie podobało w tym przesłuchaniu. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegął ją przed Trevainem.

- Ariel?

Z trudem zebrała myśli. Nie pamiętała już nawet pytania.

- Co znajduje się w tym pokoju?

Ariel zamrugała i zmrużyła oczy.

- Dosypał mi pan czegoś do wina.

- Tak - przyznał.

- Dlaczego? - wymamrotała.

- Potrzebuję od pani informacji. Uznałem, że w ten sposób najłatwiej je uzyskam.

Ariel wyprostowała się. Nie była jednak w stanie usiedzieć sztywno i kiwała się na boki.

- Hmm. Co za błyskotliwy pomysł. Dziwne, że nie wypróbował go pan wcześniej. Szkoda, że ja na niego nie wpadłam pierwsza.

- Dlaczego?

- Bo pan - wskazała na jednego z dwóch Trevainów, którzy siedzieli przed nią - jest szpiegiem.

Nathan zeszywniał. Chyba wstał z sofy, ale nie była pewna, bo widziała coraz niewyraźniej.

- Skąd pani wie, kim jestem?

Ariel zaczęła niebezpiecznie przechylać się na bok. Rzucił się do niej, żeby nie upadła.

- Ariel, proszę mi odpowiedzieć, skąd pani wie?

- Pański sygnet. - Uśmiechnęła się triumfująco. - No i to, jak pan zareagował na mój liścik do Heliosa.

Puścił ją i Ariel natychmiast opadła na oparcie sofy. Chciała zamknąć oczy choć na sekundkę, ale jej nie pozwolił.

- Niech to szlag - usłyszała.

Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

- Jak mogę się dostać do prywatnego pokoju pani ojca?

A więc o to chodziło. O dostęp do ukrytego pokoju. Śmieszne.

- Ariel.

- Muszę się przespać - wymamrotała. - Tylko chwilkę. Potem zajmę się panem i pana podstępami.

- Ariel!

Zamknęła oczy i natychmiast zapadła w sen.

## 8

- Co pan mi zrobił? - spytała dwie godziny później lady Ariel D'Archer. Ręce miała przywiązane do zagłówek łóżka własnego ojca.

Nathan popatrzył na nią z góry. Siedział w fotelu naprzeciwko niej. W kominku trzaskał ogień, okno przysłaniały namarszczone różane zasłony. Widok Ariel leżącej na pościeli w tym otoczeniu sprawił mu przyjemność, choć wcale nie chciał się do tego przyznać. Miał okazję do woli przyjrzeć się jej, gdy spała, i podziwiać jej niespotykaną urodę. Włosy ułożyły się na poduszce jak czarne, aksamitowe wstążki. Ciemne rzęsy przypominały smugi atramentu na alabastrowej skórze. Tak rozluźnionej i spokojnej jeszcze jej nie widział.

Teraz jej oczy ciskały błyskawice, a blade przed chwilą policzki nabrały kolorów. Nathan poczuł budzące się w nim pożądanie. Ariel była nie tylko jego wrogiem, ale i kobietą równie podstępna jak ta, która zostawiła mu pamiątkę w postaci blizny. Mimo to jego podniecenie nie malało. Uświadomił sobie, że zawsze będzie pragnął Ariel D'Archer, chociaż nigdy, przenigdy nie dopuści do romansu z tak kłamliwą kobietą.

- Słucham - ponagliła go.

- Ależ ja tylko przyniosłem tu panią, kochanie. - Ariel

chciała usiąść, ale więzy krępowały jej swobodę ruchów. - Proszę się nie szarpać, bo to nic nie pomoże.

- Więc będę krzyczeć.

- Nikt pani nie usłyszy. Zwolniłem waszych służących do domu. Są przekonani, że mamy potajemną schadzkę. Kilkoro z nich widziało, jak wnoszę panią na górę.

- Ty łajdaku.

- Dziękuję.

- Czuję się jak idiotka. Już dawno powinnam była przejrzeć pańskie nieczne plany.

- To ostre słowa jak na kobietę, która potrafi kłamać co najmniej równie dobrze jak ja.

- Na nic innego pan sobie nie zasłużył.

- A dlaczego właściwie spotykała się pani ze mną, mimo że wiedziała, kim jestem?

- Chciałam się dowiedzieć, czego pan szuka. Poza tym, gdy zrozumiałam, że pan tylko udawał przyjaźń, postanowiłam się zemścić.

Popatrzyła na niego z wyrzutem. Nathan odwrócił się. Tłumaczył sobie, że nie powinien czuć się winny, bo Ariel chętnie przecież przystąpiła do gry. Utwierdziła go jedynie w przekonaniu, że niczym się nie różni od innych kobiet. Wszystkie są mistrzyniami w oszukiwaniu.

- Chyba nie zaprzeczy pan, że chciał mnie wykorzystać?

Odwrócił się do niej.

- Nie - odparł zdecydowanie.

Ariel uniosła brodę.

- Tak myślałam - szepnęła.

Nathan odniósł wrażenie, że jakaś jej część do tej

pory łudziła się, że on szczerze pragnął się z nią zaprzyjaźnić.

O mało nie powiedział jej, że nie ma czasu na szczerość. Ugryzł się jednak w język i utkwiał wzrok w jej smutnej, złej i rozczarowanej twarzy.

- Skoro teraz oboje wiemy, na czym stoimy, może zechciałby mnie pan rozwiązać?

- Niestety nie, szczególnie że jestem przekonany, iż będzie pani próbowała uciec.

- Łajdak - powtórzyła.

Uśmiechnął się.

- Ależ skąd, jestem jedynie ostrożny.

Ariel szarpnęła rękami, sprawdzając, jak mocno jest przywiązana. Była wyraźnie speszona jego wzrokiem.

- Co zamierza pan ze mną zrobić?

Nathan z trudem powrócił do rzeczywistości. Wszystko przez te przekłete cygańskie oczy. Czuł się podle.

- To zależy od pani.

- Jak to? - spytała podejrzliwie.

- Jeśli będzie pani ze mną współpracowała, zniknę z pani życia w ciągu godziny. W przeciwnym razie będę zmuszony użyć bardziej drastycznych środków.

- Czego pan chce?

- Informacji.

- Już to słyszałam, natomiast nie bardzo wiem, co takiego użytecznego może znajdować się w tym pokoju.

- Pozwoli pani, że ja będę o tym decydował.

- A jeśli nie powiem?

- Nie odpuszczę.

- Co mi pan robi? Weźmie mnie jako zakładniczkę?



- Nie wiem, czy sprawy zajdą aż tak daleko, ale przyznaję, że to fascynujący pomysł.

Ariel zacisnęła usta.

- Łotr. Zbój. Szubrawiec.

- Dziękuję.

- Jeśli jest pan za głupi, żeby zrozumieć, to niech pan pozwoli, że go uświadomię, iż to nie był komple-  
ment.

Nathan wzruszył ramionami, z zaciekawieniem obserwując rosnącą wściekłość Ariel.

- Pana trzeba zastrzelić.

- Doprawdy? A więc niech pani zrobi to jak naj-  
szybciej, bo dłużej nie zniosę tego trajkotania.

- Ty... ty...

- Cisza - zarządził.

Ku jego zdziwieniu Ariel zamknęła usta.

- Jak dostać się do pokoju pani ojca?

Ariel uniosła dumnie brodę.

- Nie powiem.

- Nie pomoże mi pani?

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby pana po-  
wstrzymać.

- A więc zapłaci mi pani za to.

Wstał powoli. Ariel otworzyła szeroko oczy ze strachu, ale uparcie milczała. Nachylił się nad nią tak nisko, że czuł jej zmysłowy zapach.

- Niech się pan odsunie - poleciała.

- Nie.

Spojrzała na niego groźnie.

- Nie pozwolę panu tego zrobić.

- Myśli pani, że jest wystarczająco silna, żeby mnie powstrzymać? - spytał z ironicznym uśmiechem.

- Spróbuję.
- Proszę bardzo.

Sięgnął do jej ramion i szybko rozwiązał sznur. Ariel chyba myślała, że chciał ją udusić, bo zaczęła się szarpać.

Przytrzymał ją. Zaczęła ciężko dyszeć. Jej piersi unosiły się i opadały kusząco. Nathan starał się zignorować ten widok, ale nie udało mu się.

- Jak dostać się do tego pokoju? - spytał groźnie i z trudem podniósł wzrok na jej twarz. Miał prężną ochotę nachylić się i pocałować jej pełne usta i pieścić gładką skórę. Skan Anula43, przerobienie pona.

- Nie powiem.
- Sama pani tego chciała.

Krzyknęła przestraszona, gdy wziął ją na ręce i przerzucił sobie przez ramię.

- Co pan robi? - wykrztusiła.

Zaczęła uderzać go pięściami po plecach.

- Porywam panią.

Zdziwił się, bo wyczuł, że się rozluźniła. Ruszył do drzwi. Ariel najwyraźniej sądziła, że zamierza ją zgwałcić, a on przecież nigdy nie zachowałby się tak podle. Gdy jednak leżała przewieszona przez jego ramię zwrócona do góry pośladkami i jej piersi ocierały mu się o bark, do głowy przychodziły mu różne myśli.

- Tak, porywam, bo jeśli nie ułatwi mi pani wejścia do tego pokoju albo przynajmniej nie powie, co się w nim znajduje, pozostaje mi tylko szantaż.

- Szantaż? - krzyknęła.

- Ma pani kłopoty ze słuchem? - spytał, wychodząc z pomieszczenia. - Czy też zawsze powtarza pani słowa swoich porywaczy?

- Niech mnie pani postawi - poleciła ostro i znów zaczęła się szamotać. - Nie chcę, żeby mnie pan porywał.

- Wielka szkoda, moja pani.

Na korytarzu nie był pewien, w którą stronę się udać. W końcu ruszył na prawo.

- Niech mnie pan postawi na podłodze.

- Dopiero jak powie mi pani to, czego muszę się dowiedzieć.

- Dobrze, powiem.

Natychmiast zdjął ją z ramienia. Stęknęła, gdy jej stopy dotknęły ziemi. Nathan odetchnął z ulgą. Ariel niebezpiecznie go podniecała, szczególnie kiedy wyglądała tak jak teraz, z rozwichrzonymi włosami i roziskrzonymi oczami. Stała przed nim dumna i wyzywająca.

Nathan uwielbiał wyzwania. W gruncie rzeczy cieszył się, że gra wreszcie się skończyła. W ciągu ostatnich kilku dni zbrzydło mu udawanie przyjaźni. Teraz wreszcie doszło do konfrontacji twarzą w twarz.

- Pokażę panu, jak dostać się do pokoju, ale nie więcej.

- Dobrze.

- Musi mi pan obiecać, że potem puści mnie wolno. Zmrużył oczy.

- Obiecuję.

Ariel nie wyglądała na przekonaną, ale nie zdziwiło go to.

- Niech pan idzie za mną - poleciła.

Nathan posłusznie ruszył za nią, rozbawiony jej władczyim zachowaniem. Z drugiej strony czego właściwie oczekiwał?

Zeszli ze schodów. Służba zostawiła na ścianach zapalone świece. Widocznie spodziewali się, że on i Ariel po spędzeniu upojnych chwil wrócą do salonu. Zafraszany zmarszczył brwi, gdy uświadomił sobie, że jego potajemna schadzka z lady D'Archer będzie jutro na ustach wszystkich mieszkańców Londynu.

Nie powinno go to obchodzić, ale z jakiegoś powodu obchodziło. Po dzisiejszej nocy miał ją zostawić i wyjechać z Anglii po brata. Po raz pierwszy od miesiący poczuł rodzący się w nim optymizm.

Dotarli na miejsce. Jego podniecenie wzrosło, gdy Ariel wyjęła świecę z lichtarza i weszła do gabinetu ojca.

- Niech się pan odwróci.
- Po co?
- Nie chcę, żeby pan zobaczył.
- Co?
- Jak to robię.

Nathan skrzyżował ramiona na piersi. Ariel wprowadziła go z równowagi swoją idiotyczną prośbą.

- Chyba nie zdaje sobie pani sprawy, że w pani sytuacji nie można rozkazywać. Proszę otwierać.
- Niech się pan odwróci - powtórzyła uparcie.
- Niech pani wreszcie otworzy te drzwi! - wrzasnął zdenerwowany.

Ariel podskoczyła ze strachu, o mało nie gasząc płomienia. Zaciśnęła usta i podeszła do przeciwległej ściany. Otworzyła szklane drzwi zegara i przesunęła wskazówki na dwunastą.

I już. Coś zachrobotało i Ariel bez wysiłku pchnęła ścianę przed sobą, jakby to były drzwi. Ogarnęło go radosne podniecenie, gdy w świetle świecy ukazało się wnętrze tajnego pomieszczenia.

- Do środka - polecił.

Ariel posłusznie przestąpiła próg. Nathan ruszył w jej ślady. Kiedy jednak zajrzał do środka, ryknął jak zraniony lew.

Wino, setki butelek wina.

- Chyba nie sądził pan, że mój ojciec trzyma jakieś ważne dokumenty w domu?

Nathan dopiero teraz naprawdę zrozumiał, co to znaczy stracić grunt pod nogami.

Pół godziny później Ariel zaczęła się niecierpliwić.

- Przecież mówiłam panu, że to tylko wino.

W zasadzie mogłaby siedzieć i czekać, aż Nathan sam się o tym przekona, ale skrępował jej z tyłu ręce, a ją samą przywiązał do monstrualnego krzesła, które odpychająco śmierdziało tłuszczem i cytrynami. Wcześniej znienawidziła Trevaina, ale teraz zaczęła nim gardzić. Ten łotr był gorszy od Archiego. Archie przynajmniej nie traktował jej jak więźnia.

- Muszą tu być - mruknął pod nosem.

Ariel co najmniej dwadzieścia razy bezskutecznie próbowała odsunąć krzesło od dębowego biurka ojca.

- Jeśli powie mi pan, czego szuka, może będę mogła pomóc. - Znów spróbowała rozluźnić więzy, ale na próżno. Dłonie miała unieruchomione między własnymi plecami i oparciem krzesła. - Przecież mieszkam tu podczas nieobecności ojca.

Głowa Nathana wychyliła się z piwnicy. We włosach tkwiła mu pajęczyna.

- Wątpię, żeby mogła pani pomóc - odrzekł.

- Więc po co w ogóle mieszał mnie pan w tę sprawę? - spytała rozdrażniona.

Wzruszył ramionami.

- Sądziłem, że najłatwiej będzie wyciągnąć z pani informacje, gdy rozkocham panią w sobie.

- Rozkocha pan? - Spojrzała na niego wściekła. - Zamierzał pan całować mnie do utraty zmysłów, a potem spytać, jak wejść do tego pokoju?

- Mniej więcej.

Ariel prychnęła pogardliwie.

- Wy, mężczyźni. Myślicie, że kobietom można zawrócić w głowie pięknymi słówkami i namiętnymi pocałunkami.

- Jak na razie nie skarżyła się pani na moje pocałunki.

- Nie, ale ja też udawałam przed panem.

Skłamała oczywiście, ale nie mogła pozwolić, żeby domyślił się, jak działał na nią jego dotyk. Nathan rzucił jej nienawistne spojrzenie, po czym skrył się w piwnicy.

- Nie ma ich tutaj.

- To pani tak twierdzi.

Ariel westchnęła zniecierpliwiona. Zaczęły jej drętwieć ręce.

- Dlaczego nie chce mi pan powiedzieć, czego szuka? - powtórzyła płaczliwie. - Boże, będziemy tu siedzieć do rana.

Głowa Nathana znów wysunęła się z piwnicy, a po niej reszta ciała. We włosy zaplątała mu się jeszcze jedna pajęczyna. Miał zakurzone dłonie. Ariel z trudem pohamowała kichnięcie. Trevain otrzepał ręce. Trochę pyłu osiadło mu na ubraniu. Nadal miał na sobie marynarkę. Ariel dopiero teraz domyśliła się, dlaczego ubrał się na czarno. Najwyraźniej często ukradkiem myszkował po domach.

Zmrużyła oczy. Co za łotr i oszust! Już ona dopilnuje, żeby zapłacił za swoje zbrodnie.

- Szukam brata - wyznał w końcu.

Ariel spojrzała na niego zdziwiona.

- Mogę pana zapewnić, że nie ma go w piwnicy mojego ojca.

- Wiem - odparł sarkastycznym tonem. - Szukam dokumentów, które pomogą mi w odnalezieniu go.

- Tutaj? - spytała z niedowierzaniem. - Dlaczego sądzi pan, że ojciec trzymałby takie dokumenty w swoim domu?

- Bo nie ma ich w jego biurze w Admiralicji.

- Skąd pan wie?

- Bo je przeszukałem.

- Włamał się pan do siedziby Admiralicji?

- Owszem.

W pierwszej chwili Ariel była pełna podziwu dla odwagi Trevaina, ale zaraz się skarciła. Przecież tylko zdrajca mógł się dopuścić takiego czynu, a trudno zdrajcę nazywać odważnym.

- Jakiego rodzaju są to dokumenty? - spytała.

Nathan wyszedł z piwnicy do pokoju. Wplątane we włosy pajęczyny kołysały mu się przy każdym kroku.

- Takie, z których dowiedziałbym się, na którym statku uwięziony jest mój brat.

- Został wzięty do niewoli?

- Tak, przez brytyjską flotę.

Ariel zrobiło się przykro. A więc brat Trevaina został zmuszony do służby na rzecz Anglii. Tak niestety się zdarzało i ona sama często się zastanawiała, co działo się z pojmanymi marynarzami. Nie wiedziała

nawet, czy jeńcy mogli kontaktować się ze swoimi najbliższymi. Ogarnął ją smutek, bo przecież to jej ojciec stał na czele Admiralicji.

- Kiedy to się stało? - spytała.

- Cztery lata temu.

- Od tamtej pory prowadzi pan poszukiwania?

- Tak.

- I nikt nie chce panu zdradzić miejsca pobytu brata? Nawet mimo to, że wojna się skończyła?

Nathan prychnął pogardliwie.

- Mnie? Powiedzieć okrytemu złą sławą Nathana Trevainowi, gdzie jest jego jedyny brat? Raczej strzeliliby sobie w łeb.

Ariel musiała się zgodzić z takim rozumowaniem. Ten mężczyzna potrafił zależeć za skórę, a przecież znała go zaledwie od kilku dni. Wolała nie myśleć, jakie zdanie miała o nim Admiralicja.

- Ile ma lat?

Trevain zacisnął zęby.

- Co za różnica?

- Żadna, po prostu chcę wiedzieć.

- Dwadzieścia jeden.

Ariel otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Brat Nathana był zaledwie rok od niej młodszy. Czyli miał...

- Siedemnaście lat, gdy go porwano - dopowiedział Trevain, najwyraźniej podążając za tokiem jej myśli.

Siedemnastolatek, którego porwano, aby służył na statku i wykonywał polecenia ludzi, którzy nim gardzili i nie pozwalali mu zobaczyć się z rodziną ani wrócić do domu.

- Może on nie żyje? - spytała bezwiednie.



Nie spuszczała wzroku z twarzy Nathana i natychmiast zauważyła, jak zacisnął szczęki i zmrużył oczy.

- Może, ale nawet tego mi nie zdradzą.

- Może sami nie wiedzą. Ojciec twierdzi, że dane marynarki wojennej są bardzo nieściste. Rzadko się zdarza, żeby odnaleźć choćby pełną listę załogi danego okrętu.

Trevain najwyraźniej nie to chciał usłyszeć.

- Wobec tego odnajdę plany rejsów, na przykład mapę, na której będą zaznaczone statki odpływające z Wirginii w tysiąc siedemset siedemdziesiątym dziewiątym roku.

- Rzeczywiście można je znaleźć, ale nie tu.

- Skąd pani wie?

Ariel spróbowała wzruszyć ramionami, choć było to trudne ze względu na krępujące ją więzy.

- Mój ojciec nie spędza tu wiele czasu. Gdy nie jest na morzu, woli być na wsi. Chyba lubi zapach ziemi po miesiącach spędzonych na statku.

- Na pewno?

- Oczywiście. Rzadko się widzimy, ale jest przecież moim ojcem.

Nathan nie odpowiedział.

- Wyznaczył pan sobie niewykonalne zadanie. Szuka pan dokumentów, które znajdują się w posiadaniu Admiralicji. Nigdy ich pan nie odnajdzie.

- O czymś jednak pani zapomina, moja droga.

Przysunął się do niej. Ariel ani trochę nie spodobał się wyraz jego twarzy. Skrępowana nie mogła się cofnąć, odchyliła więc głowę do tyłu najdalej jak mogła.

- O czym?

- Mam coś, czego chce pani ojciec.

Ariel naprawdę niechętnie zadawała to pytanie.

- Co mianowicie?

- Panią.

Serce zamarło jej w piersi.

- A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Niby nic, ale jestem pewien, że pani rodacy zrobią wszystko, aby włos nie spadł z głowy córce pierwszego lorda.

Ariel uświadomiła sobie, że tego właśnie się obawiała.

## CZEŚĆ TRZECIA

Nie żałuj małej Leonii,  
Którą uwiódł francuski markiz.  
Cnotę co prawda straciła,  
Lecz francuskiego się nauczyła.

Harry Graham

## 9

A więc porwał ją. Zniknął na mniej więcej godzinę, po czym wrócił rozklekotaną dorożką i wrzucił ją do środka jak worek z kukurydzą. Powóz trząsał się na wyboistej drodze. Spod siedzenia Nathana wystawał kawałek wyściółki.

Nathan, szpieg i porywacz.

Najchętniej wydrapałaby mu oczy, ale nie mogła, bo nadal miała związane ręce.

- Dokąd mnie pan zabiera?

Nie odpowiedział. Siedział odwrócony do niej prawą stroną, więc widziała jego zdrowy policzek. Tresem sprawiał wrażenie pochłoniętego podziwianiem krajobrazu za oknem. Ariel stwierdziła, że kompletna ciemność, jaka panowała na zewnątrz, może zachwycić jedynie człowieka o równie czarnej duszy.

- Dokąd? - powtórzyła, gdy milczenie przedłużało się.

Wtedy spojrzał na nią pociemniałym wzrokiem. Może zresztą tylko tak jej się wydawało w świetle zakurzonej lampy.

- To nie pani sprawa.

- Pozwoli pan, że się nie zgodzę. Ponieważ jestem ostatnią ofiarą pańskich machinacji, mam chyba prawo wiedzieć, co mnie czeka.

Nathana zaczęła irytować jej bezczelność. Ona natomiast nie potrafiła uwierzyć, że Trevain ośmielił się uprowadzić ją z jej własnego domu.

- Wkrótce się pani dowie. Tymczasem proponuję, żeby siedziała pani cicho.

- Byłoby mi łatwiej, gdybym nie została umieszczona na zepsutej sprężynie.

Nathan uniósł kącik ust do góry. Jego blizna znów stała się bardziej widoczna.

- I naprawdę wolałabym, żeby rozwiązał mi pan rękę. Na każdym zakręcie boję się, że się przewrócę.

- Gdybym panią rozwiązał, na pewno próbowałaby pani uciec.

- Z jadącej dorożki? Niech pan nie żartuje. Połamałabym sobie wszystkie kości.

- Gdyby należał do nich pani język, byłoby to dla mnie błogosławieństwem.

- Ale język nie jest kością - oznajmiła z wyższością.

Zirytowany Nathan zmarszczył brwi.

- Więc niech już pani przestanie nim mleć.

- Panie Trevain, zawrzyjmy układ. Uciszę się, jeśli rozwiąże mi pan rękę.

Dorożka skręciła i Ariel umyślnie przechyliła się niebezpiecznie na bok.

- No już dobrze - zdenerwował się i sięgnął do jej dłoni.

Nie wiadomo skąd w jego rękę znalazł się nóż. Ariel otworzyła szeroko oczy ze strachu.

Jednym pewnym cięciem przeciął więzy, ale sznur położył obok siebie. Boże, co będzie, jeśli później znowu ją zwiąże? Nie, nie pozwoli mu na to. Uciek-

nie. Zaczęła nawet rozważać możliwość wyskoczenia z powozu.

Na pewno by się potłukła i poraniła. Może więc lepiej poczekać na bardziej odpowiedni moment? Tak, tak będzie najlepiej.

Jechali bardzo długo. Ariel przypuszczała, że Nathan zabiera ją na wieś. Droga stawała się coraz bardziej nierówna i wyboista, a koleiny głębokie. W końcu konie zaczęły zwalniać.

- Jesteśmy na miejscu.

Tak, ale gdzie dokładnie? Ariel odgadła to chwilę później, gdy drzwi powozu otworzyły się. Trevain wysiadł pierwszy. Pozbawił ją wszelkich nadziei na ucieczkę, bo na nowo związał jej ręce, zanim pozwolił opuścić dorożkę. Ariel czuła, jak jej rozdrażnienie rośnie. Właśnie została porwana, i to w dodatku przez dziedzica fortuny. Czyżby cofnęli się do średniowiecza?

- Za mną - rozkazał, odsuwając się od powozu.

Ariel chciała stawiać opór, naprawdę chciała, ale Trevain nie był w nastroju do przekomarzania się. Rzucił jej tak groźne spojrzenie, że nawet w nikłym świetle księżycy jego ogromna sylwetka i cień blizny na policzku zrobiły na niej przerażające wrażenie.

- Natychmiast - rzucił sucho.

Ariel przewróciła oczami, po czym posłusznie wykonała polecenie. Złościło ją, że ma związane ręce, bo najchętniej zacisnęłaby mu je na gardle. W dodatku ten łotr wcale nie pomógł jej zachować równowagi.

Dokąd właściwie przyjechaliśmy? zastanawiała się, rozglądając dookoła.

Musiała zadać to pytanie na głos, bo Trevain jej odpowiedział.

- Gdzieś, gdzie będzie pani bezpiecznie ukryta, dopóki nie skontaktuję się z pani ojcem.

- Ach, tak.

Światło księżyca padało na posesję z ciemnoszarego kamienia z płaskim, rozsypującym się dachem i ciemnymi oknami. Dom otaczały wysokie, sękaty drzewa. W nozdrza uderzył ją zapach zgnilizny. Uświadomiła sobie, że nie było to gniazdko miłosne Trevaina, tylko jakaś ruina. Z prawej strony budynku znajdował się mętny staw. Podjazd tak gęsto zarosły chwasty, że musieli wysiąść na drodze. Ponury dom wyglądał jak siedziba złego bohatera z opowiadania dla dzieci.

Ariel spojrzała na swojego porywacza. Zmarszczyła brwi, gdy dostrzegła za nim niskiego mężczyznę w wysokich butach. Po jego ubraniu zorientowała się, że to woźnica. Trevain zatrzymał się. Mężczyzna wyciągnął latarnię i stanął obok nich, z zaciekawieniem przyglądając się Ariel.

- Ktoś jechał za nami? - spytał Nathan.

Stanął przed Ariel i zasłonił ją przed wzrokiem woźnicy.

- Raczej nie.

- Dobrze.

Ariel wyrzała zza Trevaina. Woźnica oddał mu latarnię, rzucił jej ostatnie ciekawskie spojrzenie i odszedł, kuśtykając. Nathan odwrócił się gwałtownie, o mało jej nie przewracając. Przeraził ją zimny, ponury wyraz jego twarzy.

- Idziemy - zarządził.

Ariel nie ruszyła się z miejsca. Do tej pory nie najlepiej kończyły się jej spotkania sam na sam z męż-

czynnami. Kątem oka dostrzegła, jak woźnica wdrapuje się do dorożki.

- Odjeżdża? - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- Tak.

- Są w środku jacyś inni służący?

Trevain zmarszczył brwi.

- Nie. Niestety nikt nie będzie tam czekał na pani rozkazy.

Wcale nie o to jej chodziło. Bała się zostać z Nathanem sam na sam.

- Idziemy - powtórzył.

Ariel stała jak wryta. Chciała pobiec za dorożką, błagać woźnicę, żeby zawrócić.

- Możemy to zrobić bezboleśnie, ale jest inne wyjście, jeśli będzie pani nieposłuszna.

Ariel spojrzała na niego wyzywająco. Miała ochotę wybrać tę drugą możliwość. Ciekawe, jak by się zachował. Pewnie zarzuciłby ją sobie na plecy i zaniósł na miejsce. Wolała nie ryzykować, bo poprzednim razem, gdy ją podniósł, czuła się co najmniej dziwnie.

- A więc?

- Ja... - zająknęła się i zacisnęła pięści - ja... już idę, Trevain.

- Proszę tak do mnie nie mówić - rzucił zły.

- Jak?

Chwycił ją za ramię tak mocno, że jęknęła.

- Po nazwisku, jakbym należał do angielskiej arystokracji.

Cóż, nie dało się zaprzeczyć pochodzeniu Nathana, nawet jeśli jego maniery pozostawiały wiele do życzenia.

- Ale przecież pan jest Anglikiem.



- Proszę się do mnie zwracać „panie Trevain”, tak jak mówią do mnie w Ameryce.

Ach, tak. Odsunęła się od niego. Zacieśnił uścisk.

- Niech mnie pan puści - jęknęła - panie Trevain.

Wtedy posłuchał. Ariel cofnęła się. Oddychała ciężko. Stojąc w pewnej odległości od swego prześladowcy, poczuła się znacznie lepiej.

- Dostyc tego. Wchodzimy do środka, nawet jeśli będę tam musiał panią wnieść.

Boże, nie. Chwycił ją za ramię i zaciągnął przed drzwi. Mocno nacisnął klamkę i uniósł latarnię. W jej świetle ukazało się wnętrze równie ponure, jak fasada budynku. Wszędzie pełno było pajęczyn. Na podłodze walały się kawałki połamanych mebli.

- Niech to szlag trafi - zaklął pod nosem.

- Chyba trzeba będzie zatrudnić innego dekoratora wewnątrz - zauważyła Ariel.

Trevain wciągnął ją do środka.

- Nie - zaprotestowała.

Podłoga była tak zakurzona i brudna, że jej pantofle zostawiły na niej dwa wąskie ślady.

- Nie - powtórzyła, próbując się wyrwać.

- O co, do diabła, pani chodzi?

- A jak pan myśli? Zostałam porwana.

- Nie zamierzam pani skrzywdzić.

- Tak pan teraz twierdzi, ale wcześniej nie miał pan skrupułów, gdy mnie oszukiwał.

- Tym razem nie kłamię. Chodźmy.

- Ale ja nie chcę tam wchodzić.

- Jak sama pani słusznie zauważyła, została pani porwana. W związku z tym nie ma pani wyboru i musi mnie słuchać.

- A dokąd idziemy?

- Do środka tej rudery.

- Dobrze, ale do jakiego pokoju?

Jeszcze nigdy Ariel nie widziała go tak zniecierpliwionego.

- A co to, u licha, ma za znaczenie? - ryknął wściekły.

- Dla mnie ma.

Trevain nie odezwał się. Ariel zauważyła, jak zaciskał i rozluźniał pięści, żeby się uspokoić. I bardzo dobrze, pomyślała. Zasługiwał na wszystko, co najgorsze. W końcu odwrócił się do niej.

- Zabieram panią do głównej sypialni.

- Do sypialni? - pisnęła. Znow łóżko, sznur, on nachylający się nad nią. Boże, nie.

- Tak - przytaknął i ruszył w stronę schodów.

Ariel stała w miejscu.

- Nie, proszę. Wolałabym zostać na dole, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Mam.

- Ma pan?

Chyba zrozumiał, że Ariel próbowała wyprowadzić go w pole, bo rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie i pociągnął stanowczo w stronę schodów. Czuła się zupełnie jak pudel lady Chalmer. Trevain też nie wyglądał na zachwyconego. Mocno postawił stopę na pierwszym stopniu.

Schodek rozpadł się na pół.

Nathan zacisnął zęby. Ariel spojrzała przerażona na zgniłe drewno, po czym przeniosła wzrok na swojego porywacza. Ten, zupełnie niezrażony, pociągnął ją za sobą.

Wszedł na kolejny stopień, który też strzaskał.

Tym razem puścił jej ramię i przytrzymał się balustrady dla zachowania równowagi.

Ona także się złamała. Upadając na podłogę, wznieciła chmurę kurzu.

Ariel spoglądała na przemian to na Trevaina, to na poręcz, to na miejsce, gdzie powinna się ona znajdować. Nathan wyglądał teraz o wiele mniej groźnie.

- Do diabła - zaklął. - Czy tej nocy nic mi się nie uda?

Ponieważ raczej nie oczekiwał, że odpowie mu na to pytanie, odważyła się zapytać:

- Czy to znaczy, że mogę wrócić do domu?

Trevain odwrócił się do niej. Ariel skurczyła się ze strachu, gdy spojrzał na nią skrzącymi się ze złości oczami. Uświadomiła sobie, że stał przed nią zupełnie inny mężczyzna niż ten, którego poznała kilka dni temu. Ten był bezwzględny, okrutny. Wyglądał przerażająco.

- Idziemy - warknął. - O ile dobrze pamiętam, pomieszczenia dla służby są tam.

Pomieszczenia dla służby? Ariel znowu się zaniepokoiła.

- Panie Trevain - wyrzuciła z siebie, drepcząc za nim - o ile nie sprawi to panu różnicy, wolałabym zostać w korytarzu.

Nathan całkowicie ją zignorował. O mało nie przewróciła się o kawałki połamanych schodów rozrzuconych na podłodze. W świetle latarni ujrzała przed sobą drzwi. Z framugi zwisało mnóstwo pajęczyn. Ariel wzdrygnęła się.

Trevain popchnął drzwi. Upadły z hukiem na ziemię.

Ariel z trudem opanowała wybuch śmiechu. Ta

noc rzeczywiście roiła się od katastrof, i to nie tylko z jej punktu widzenia.

- Myśli pan, że jak mocniej dmuchnę, to zawałą się ściany?

Zmartwiała, gdy Nathan spojrział na nią. Natychmiast pożałowała swoich słów, choć dogryzła mu z przyjemnością. Dopiekł jej do żywego, próbując ją wykorzystać, a potem porywając. Przestraszyła się, że wybuchnie, ale w ostatniej chwili się pohamował. Szkoda, że jej ojciec nie mógł się pochwalić taką wewnętrzną dyscypliną.

Jęknęła, gdy chwycił ją za łokieć.

- Pani - wycedził przez zaciśnięte zęby - pójdzie ze mną.

Ariel zerknęła na drzwi i zbladła. Nathan niechętnie zauważył, że potargane włosy dodają jej uroku. Nie mógł uwierzyć, że znajdujący się pod opieką stryja jego dom znalazł się w tak opłakanym stanie. Ojciec twierdził, że po wyjeździe do Ameryki rodzina znienawidziła go i przestała dbać o ich dobra. Tej nocy przekonał się na własnej skórze, jak prawdziwe były to słowa. Mogli zatrudnić jakiegoś zarządcę. Stryj miał dość pieniędzy, żeby zapłacić służbie.

Pociągnął Ariel za sobą, ale ona nie ruszyła się z miejsca.

- Moja pani - warknął. - Albo zrobi to pani po dobroci, albo zmuszę panią siłą.

- Chyba po dobroci nie oznacza przywiązania mnie do kuchennego stołu?

Boże, skąd jej to przyszło do głowy? Po co miałyby to robić?

- Albo innego mebla. - Przełknęła ślinę. - Byle nie do łóżka.

Dopiero teraz Nathan zrozumiał, co miała na myśli. Wyprostował się. Ta trzpiotka myślała, że on chce ją zgwałcić. Nie wiedział, czy powinien śmiać się, czy płakać. Co prawda była piękna, ale on wołał już iść do łóżka ze żmiją niż z kolejną Angielką, szczególnie tak fałszywą jak ona.

- Proszę mi uwierzyć, że nie zamierzam pani zaciągnąć do łóżka. Ani teraz, ani nigdy.

- Obiecuje pan?

Omiał nie wrzasnąć, że tak, ale zorientował się, jak absurdalną rozmowę prowadzi. Kiedy właściwie stracił kontrolę nad swoim więźniem?

Gdy zobaczył strach w jej oczach.

Co z tego, powiedział sobie. Lady D'Archer może sobie o nim myśleć, co chce. Czy zresztą nie zauważyła, że nawet jeśli wcześniej jej pożądał, ochłódtł, gdy dowiedział się o jej podwójnej grze?

- Obiecuje - wycedził mimo wszystko.

Ariel trochę się uspokoiła.

Trevain chwycił ją znów za ramię. Zignorował cichy jęk i skierował się do drzwi. Gdy uniósł latarnię, stanął jak wryty.

Główny korytarz był co prawda zaniedbany i zniszczony, ale wąskie przejście do pokojów służby przypominało grobowiec. Pajęczyny zwisały do samej ziemi, słychać było popiskiwania szczurów.

- Ja tam nie pójdę.

Nathan wcale się nie zdziwił, gdy usłyszał te słowa. Nawet żołnierze nie chcieliby tam zejść. Do diabła, dlaczego wcześniej nie sprawdził, w jakim stanie jest ta posesja?

Bo się spieszył. Bo był zły. Nie myślał, tylko reago-

wał. A zdenerwowany mężczyzna działa nieskutecznie, zaniedbuje szczegóły. Zapomniał o jednej ze swych kardynalnych zasad.

W tej sytuacji nie pozostawało mu nic innego, jak trzymać Ariel w głównej części domu, choć przebywając na parterze, miała większą możliwość ucieczki. Wzruszył ramionami. Cóż, nie widział innego wyjścia. Zresztą mógł przecież przywiązać Ariel do siebie na noc. Pociągnął ją do drzwi wejściowych.

- Idziemy stąd?

- Nie - uciał.

Z głównego korytarza odchodziło czworo drzwi. Trevain skierował się do najbliższych. Powiew wiatru poruszył pajęczyny. Nathan zignorował je. Szybkie oględziny zawiasów wykazały, że metal zardzewiał. Następne drzwi okazały się równie słabe, dopiero te znajdujące się na końcu korytarza sprawiały wrażenie mocnych. Zmarszczył brwi i spróbował je wyważyć. Stały niewzruszone, więc odwrócił się zadowolony do swojego więźnia, żeby kazać mu wejść do środka.

Tymczasem Ariel zniknęła.

Nathan nie wierzył własnym oczom.

- Co do...

Gdzie ona się podziała?

Uciekła, ty głupcze! skarcił się w myślach. Nie powinno go to dziwić, ale zdziwiło.

- Ariel! - ryknął na całe gardło.

Dowód jej perfidnej ucieczki kłuł go w oczy: ślady drobnych stópek prowadzące do wyjścia.

Co za wcielony diabeł!

Ariel doskonale zdawała sobie sprawę, że jakakolwiek próba oddalenia się od domu z rękami wciąż związanymi z tyłu jest szczytem głupoty, ale musiała przecież spróbować. Ciągle nie mogła uwierzyć, że została porwana.

Szła więc uparcie naprzód, mimo że stopy bolały ją od chodzenia po nierównej powierzchni, a gałęzie drzew uderzały ją po twarzy. Co gorsza, zdawała sobie sprawę z hałasu, który robiła. Trevain musiałby być głuchy jak lord Sinclair, żeby jej nie słyszeć. Ona jednak chciała tylko jednego - uciec. To słowo nieustannie rozbrzmiewało w jej uszach: uciec, uciec, uciec.

- Ariel!

Zamarła. Głos rozległ się tuż za nią.

- Ariel!

Rzuciła się na oślep do przodu. Dlatego pewnie nie zauważyła, że staw jest tak blisko. Zorientowała się, kiedy było już za późno. Jak dziecko wskazujące latem do jeziora zbiegła wprost do lodowatej wody.

Głowa zanurzyła się jej wcześniej niż stopy. Zaczęła chwytać ustami powietrze. Na powierzchni stawu ukazały się bańki. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że powinna była zachować powietrze w płucach tak długo, jak się da. Nie mogła poruszać rękami, a spódnica pętała jej nogi. Pomyślała, że utonie.

Szkoda.

Dziwne, ale wcale się nie przeraziła, choć w głębi duszy sądziła, że powinna. Słyszała, że w takich momentach ludzie często widzą całe swoje życie. Ona tymczasem zastanawiała się, dlaczego biedronki nazywano bożymi krówkami. Przecież wcale nie przypominały krów. I gdzie właściwie odlatywały muchy

w czasie deszczu? Gdy tylko spadały pierwsze krople, wszystkie gdzieś zniknęły.

Wtedy z radością usłyszała plusk i po chwili ktoś znalazł się przy niej.

Nathan.

No, nie, skarciła się w myślach. Kiedy Trevain znów stał się dla niej Nathanem? W chwili, gdy został jej wybawicielem.

Objął ją w pasie i pociągnął na powierzchnię. Ich głowy jednocześnie wynurzyły się z wody. Ariel oddychała łapczywie. Nathan długo ją obejmował, czekając, aż dojdzie do siebie. Musiała się czuć podobnie jak ryba wyjęta z wody.

Trevainowi udało się w końcu wydobyć ją na brzeg. Podtrzymawał ją od tyłu silnymi ramionami.

No, tak. Nie popisała się tą ucieczką.

Chciała odsunąć się od niego, gdy tylko uświadomiła sobie, w jakiej ułożyli się pozycji. Jego nogi przylegały do jej boków, a ramiona obejmowały ją w talii. Ciężko oddychał prosto w jej ucho. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu odczuwała to jak pieczętę. Natychmiast usiadła. O, nie, nie pożądała go, to niemożliwe. Ten mężczyzna był największym łotrem na świecie.

Porwał ją!

Spróbowała się odsunąć, ale Trevain tylko zacieśnił uścisk. Dopiero teraz zorientowała się, czego dotyczyły jej dłonie.

Ułożyły się na jego członku.

Zaczerwieniła się. Zaczęła się wiercić, ale na próżno.

- Niech się pani przestanie ruszać - polecił.

- Proszę mnie rozwiązać.

Spojrzała na niego przez ramię. Oczy Nathana prócz



wściekłości wyrażały coś jeszcze, czego nie chciała widzieć. Przecież nie mógł czuć pożądania po tym, co się właśnie wydarzyło.

- Nie ma mowy, lady Ariel - wycedził. - Już nie spuszczę pani z oka.

Odsunął się od niej, ale zatrzymał dłoń na jej ramieniu.

Ariel odetchnęła z ulgą, gdy się rozdzielili.

- Jak długo zamierza mnie pan więzić?

- Aż poznam miejsce pobytu brata.

- A jeśli mój ojciec nie będzie mógł panu pomóc?

Nie odpowiedział, ale wyczuła rozterkę, która musiała go ogarnąć. Natychmiast zapomniała o ich wcześniejszej bliskości i gorączce, jaką wywołała ona w jej ciele. Po raz pierwszy zastanowiła się, jak to jest stracić brata. Czy ona nie zrobiłaby wszystkiego, co w jej mocy, żeby ocalić Phoebe? Była tylko jej kuzynką, ale kochała ją jak siostrę.

Zerknęła na Trevaina. Ich spojrzenia spotkały się. Jego było zimne jak woda, z której ją wyratował.

Ale dostrzegła coś jeszcze w jego oczach. Desperację? Może.

- Bardzo mi przykro - powiedziała, ogarnięta współczuciem, zanim uświadomiła sobie śmieszność tych słów.

Nathan zmrugał oczy.

- Bardzo mi przykro, że pański brat został uwięziony na jakimś statku - ciągnęła. - To straszne nie wiedzieć, gdzie jest i czy w ogóle żyje.

Gdyby wiedziała, jaki skutek odniosą te słowa, wypowiedziałyby je dużo wcześniej. Trevain odsunął się od niej i pociągnął ją na nogi.

W milczeniu popchnął ją w kierunku domu.

## 10

Kilka minut później dotarli do budynku. Ariel droga ciągnęła się w nieskończoność. Była przemoczona do suchej nitki, a co gorsza, nie miała żadnej sukni na zmianę. Istniała realna groźba, że do rana zamarźnie na śmierć.

- Nie sądzę, żeby wziął pan dla mnie zapasowe ubranie - wykrztusiła, szcękając zębami.

Nathan nie odpowiedział.

- A może chociaż dla siebie ma pan płaszcz na zmianę.

Który pożyczylaby na noc.

Znów cisza.

- A koce?

- Są w domu.

Chociaż tyle. No i ogień, ciepły, przyjemny ogień w kominku.

Trevain zatrzymał się na chwilę w drzwiach, żeby podnieść torbę z zapasami, której Ariel wcześniej nie widziała. Nawet na nią nie spojrział, tylko chwycił jutowy worek jedną ręką, drugą złapał ją za ramię i wprowadził do środka. Porzucona wcześniej latarnia stała przy wejściu. Ariel zamrugała oślepiona jasnym światłem. Trevain puścił ją przed sobą i lekkim pchnięciem łokcia skierował do pokoju.

Wewnątrz pomieszczenie wyglądało koszmarnie, czego się zresztą spodziewała. Przyćmione światło księżycy wydobyło z mroku gołe ściany, na których pozostały ślady wiszących tam niegdyś portretów. W pokoju nie było żadnych mebli. Z żyrandola zwiślały pajęczyny. Ariel zastanawiała się, czy to dobrze, że nie widzi pełzających po pomieszczeniu pajaków.

- Tutaj.

Odwróciła się do Trevaina i uderzyła twarzą w coś, czego nie mogła złapać, bo ręce miała związane z tyłu na plecach.

- Dziękuję - mruknęła.

Nathan wymamrotał coś pod nosem. Schylił się i podniósł koc, który jej rzucił.

- Niech się pani odwróci.

Posłuchała go. Trevain tylko dotykał jej palcami. Przez ciało Ariel przebiegł dreszcz, taki sam jak w czasie gwałtownej burzy. Odetchnęła głęboko. Boże, ciągle go pożądała. Głupia geś, skarciła się w myślach. Najwyraźniej sprawiało jej przyjemność przebywanie w towarzystwie mężczyzn, którzy ją poniżali.

Nathan wziął jej westchnienie za wyraz bólu, bo zaczął się z nią obchodzić delikatniej. Szeptał jej do ucha uspokajające słowa, które jak pieszczota zsuwały się po jej szyi. Miał słodki oddech, zupełnie jakby niedawno jadł owoce.

Szarpnął ostatni raz za sznur i po chwili obie ręce miała wolne. Odwrócił ją do siebie i wziął się za masowanie jej obolałych nadgarstków.

Niepotrzebnie to zrobił. Zupełnie niepotrzebnie.

Najwyraźniej Bóg uznał, że Ariel zgrzeszyła jeden raz za dużo, bo Trevain wciąż jej dotykał. Chciała

się wyrwać, ale nie potrafiła. Za nic nie mogła pozwolić, aby dowiedział się, jak bardzo działa na nią jego dotyk.

- Rozpalimy ogień? - spytała z nadzieją, że Nathan ją puści.

Spojrzał jej w oczy. Z jakiegoś powodu miał znacznie łagodniejszy wyraz twarzy niż wcześniej.

- Jeśli rozpalę ogień, okoliczni mieszkańcy mogą odkryć naszą obecność.

- A tego by pan nie chciał.

Nie odpowiedział, ale to Ariel wcale nie zdziwiło. W ciągu ostatnich kilku godzin Trevain po mistrzowsku nauczył się przekazywać swoje myśli odpowiednim spojrzeniem. Jedno mówiło: jesteś tylko cholerną arystokratką, inne - zamknij się, bo cię zaknebluję. Teraz nie miała wątpliwości, co wyraża jego wzrok - nic mu nie obchodzi, że twój tyłek przymarznie do ściany. Westchnęła zrezygnowana. Z jej ust wydobyła się para. I pomyśleć, że dawno, dawno temu uważała go za swojego przyjaciela. A powinna była wiedzieć, że dawno, dawno temu zdarza się tylko w bajkach.

Wzdrygnęła się.

- Czemu pani drży?

- Bo mi cholernie zimno - odparła.

Zmarszczył brwi.

- Panie Trevain, mnie naprawdę będzie potrzebny ogień.

- Żadnego ognia.

- Więc będę musiała zdjąć suknię.

- Dobrze - rzucił.

Ariel znieruchomiała. Jej ciałem znów wstrząsnął dreszcz.

- Co to znaczy: dobrze?
- Niech pani zdejmie suknię.
- Słucham? - Nie wierzyła własnym uszom.

Nathan spojrział na nią niecierpliwie.

- Sama to pani zaproponowała. Skoro jest pani takim zmarzluchem, proszę bardzo.

Ugodził ją jej własną bronią. Gdy jednak dreszcze nie ustępowały, zaczęła na poważnie rozważać zrzućcenie sukni.

- A więc dobrze. Niech się pan odwróci, żebym mogła się rozebrać.

Spojrzał na nią podejrzliwie, zastanawiając się, czy może jej zaufać.

- Nie będzie pani próbowała uciec, jak się odwrócę?

- Jeśli to zrobię, jutro rano znajdzie pan na drodze moje zsiniałe, martwe ciało.

Nie była pewna, ale wydało jej się, że w jego oczach dostrzegła błysk rozbawienia. Odwrócił się jednak od niej.

- Najpierw będzie mi pan musiał pomóc ze sznurowaniami.

Tym razem wyraźnie się zniecierpliwiał.

- Niech się pani odwróci.

Ariel posłusznie stanęła do niego tyłem. Było jej tak zimno, że chętnie pokazałaby mu swoje nogi, gdyby dzięki temu pozbyła się sukni. Drżała cały czas, zaczęła nawet szczękać zębami.

- Proszę się po-posspieszyć - wyjąkała.

Jak *to* możliwe, że choć przemókł tak samo jak ona, miał gorące dłonie? Nie mogła tego zrozumieć, ale chętnie przyciskałaby je sobie po całym zziębniętym ciele, nie tylko szyi.

- Pani się trzęsie!
- W-wiem - wykrztusiła.

Poczuła, jak jego ręce zsuwają się niżej, a sukienka się rozchyła. Była tak nieprzytomna z zimna, że nawet nie mrugnęła okiem, kiedy dotknął jej dekoltu. Przez cały czas, gdy ściągał suknię z ramion, stała nieruchomo. Zamknęła oczy. Zimno, przenikliwie zimno.

Nathan szarpnął materiał do dołu.

Ariel otworzyła szeroko oczy.

- Co pan robi?
- Zdejmuję pani suknię.
- Sama mogę to zrobić.
- Czyżby?

Przytaknęła, ale Nathan zorientował się po dreszczach wstrząsających jej ciałem, że nie była świadoma, jak bardzo się wyziębiła. On przeżył wystarczająco dużo burz śnieżnych, żeby rozpoznać groźne objawy. Tylko jak ona mogła w tak krótkim czasie doprowadzić się do podobnego stanu?

- Proszę zdjąć halkę i krynolinę - polecił.
- Ale...
- Żadnych ale.

Odwrócił się, żeby jej nie krępować. Słyszał szelest materiału. Do diabła, kobiety nosiły mnóstwo warstw ubrań.

- Już?
- T-tak - odparła cichym głosem.

Stała przed nim, w samej koszulce i gorsecie, drżąc na całym ciele. Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby on mógł cokolwiek dojrzeć przez gruby materiał. W gruncie rzeczy Ariel nie powinna się wcale martwić, że zobaczyłby coś przez gorset. Niepokojący

był fakt, że mógł podziwiać rozkoszne kształty jej ciała.

Zacisnął zęby ze złością. Przecież ona nic dla niego nie znaczyła. Na wszelki wypadek jednak odwrócił głowę, gdy zdejmował płaszcz.

- C-co pan r-robi?

- Muszę panią rozgrzać.

Ariel chciała się odsunąć, ale była tak skostniała z zimna, że nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nathan przytrzymał ją, zanim zdążyła się przewrócić, i przyciągnął ją do siebie. Ariel czuła się jak bryła lodu. Nie mogła uwierzyć, że temperatura jej ciała tak szybko spadła.

- Tutaj - polecił, kierując się do ściany.

Stwierdził, że jeśli oprą się o nią, będzie chroniła ich plecy od nieprzyjemnego, chłodnego powiewu nieświeżego powietrza. Ariel z trudem się poruszała, więc wziął ją na ręce. Nie protestowała. Mokra loki uderzyły go w ramię. Nawet jedwabiste kosmyki miała zimne jak lód.

Położył ją delikatnie na ziemi i poszedł po koc. Ariel znów przymknęła oczy, była blada jak papier. Gdy wrócił, okrył ją jednym kocem, a drugim zaczął wycierać włosy. Nadal miała zamknięte oczy. Zaniepokoił się.

- Ariel.

Brak reakcji.

- Ariel - powtórzył i potrząsnął nią.

- Co? - krzyknęła ze złością i uniosła powieki.

Nathan odetchnął z ulgą. Oczywiście tylko dlatego, że nie zapadła w śpiączkę, a nie dlatego, że zależało mu na niej. Nie mógł przecież troszczyć się o kobietę, która go oszukała.

Z drugiej strony *on też* nie był bez winy.

Zresztą, co za różnica. On przynajmniej robił to dla brata, a ona bez powodu. Po prostu taką miała parszywą naturę, jak zresztą wszystkie kobiety. Jak on w ogóle mógł ją polubić?

- Chciałem tylko sprawdzić, czy nie wyzionęła pani ducha - wyjaśnił.

- Z-zapewniam p-pana, że nawet z za grobu b-będę go straszyć.

Trevain zignorował jej pogrożki. Stan zdrowia tej złośnicy był bardzo niebezpieczny.

Zerwał z niej koc. Chciała zaprotestować, ale w tej chwili Nathan ułożył się przy niej. Wziął ją w ramiona i przykrył ich oboje. Kiedy poczuł, że od ściany też ciągnie chłód, wsunął ramię między plecy Ariel i boazerię.

Co za głupia kobieta. Mogła umrzeć i zniweczyć jego plany.

Tymczasem jej bliskość sprawiała mu ogromną przyjemność. Pomyślał, że tak samo jest z opium. Daje zadowolenie, ale w nadmiarze może zabić.

Ale przecież Ariel nie miała serca morderczyni, raczej zdrajczyni. I, jak się przekonał, leżąc przy niej, ciało, któremu nie sposób się oprzeć.

- Jest pan taki c-ciepły - mruknęła.

- Tak, a pani zimna - odparł.

Ariel przytaknęła, ale już po kilku chwilach nie trzęsa się już tak gwałtownie. Trevain przyciągnął ją jeszcze bliżej, oczywiście tylko po to, żeby ją ogrzać. Nie zaprotestowała, nawet wsunęła rękę między jego ramię i bok. Nawet gdyby wcześniej czuł się podniecony, a wmawiał sobie, że tak nie było, ta mroźna dłoń ochłodziłaby jego zapał.



Powoli, zbyt powoli jak dla pobudzonego Nathana ciałem Ariel przestały wstrząsać dreszcze. On już od jakiegoś czasu był świadomy jej uda przyciśniętego do swojego i jej oddechu na szyi. Wbrew zdrowemu rozsądkowi i własnej woli poczuł, jak krew spływa mu w dolne partie ciała. Rozgoryczony zacisnął powieki. Jak mógł pożądać tej kobiety po tym wszystkim, co mu zrobiła?

Już zbierał się, by wstać, gdy usłyszał jej głos.

- Nathanie?

- Tak? - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Skąd ma pan tę bliznę?

Odskoczył od niej jak oparzony. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy.

- Nie chciałam pana urazić. Chciałam tylko...

Trevain odrzucił na bok koc i wstał.

- To pytanie nie jest na miejscu.

Ariel przełknęła ślinę i potaknęła.

- A skoro już tak sobie gawędzimy, wyjaśnijmy parę spraw. Jest pani moją zakładniczką. Okazywałem pani uprzejmość tylko po to, żeby oszukać panią, że jestem jej przyjacielem. Ale nim nie jestem i nigdy nie będę.

Sądził, że Ariel się obrazi i zdenerwuje, ona tymczasem wyglądała, jakby sprawił jej przykrość.

- Ach, tak - mruknęła. Uniosła brodę do góry, zupełnie jak podczas kolacji u stryja, gdy naigrywano się z niej. - Dziękuję, że mi pan to uświadomił. Muszę wyznać, że kamień spadł mi z serca, bo miałam właśnie zaproponować, abyśmy na znak przyjaźni zjedli beczkę soli, a ja nie znoszę soli.

Nathan nie pozostał obojętny wobec jej sarkazmu. Podobał mu się jej cięty język.

- Lepiej niech pani zapamięta sobie moje słowa - ostrzegł ją.

- Zapamiętam, Nathanie Trevain, na pewno je zapamiętam.

Kilka minut później znów związał jej ręce. Opatulił ją mocno kocem i zdecydowanie zagroził, żeby nie próbowała uciekać, po czym położył się obok niej.

Ariel posłuchałaby go z miłą chęcią, ale było jej bardzo niewygodnie. Zaczęła się wiercić, żeby rozluźnić więzy. Niestety skrępowane dłonie drastycznie ograniczały swobodę ruchów.

Na zewnątrz padał deszcz. Mimo że Nathan wstawił z powrotem drzwi, w pokoju nadal unosił się zapach zgniłych liści. Ariel znów zrobiło się zimno. Halka jeszcze nie wyschła i z każdą minutą Ariel coraz bardziej marzła. Spróbowała wygodnie ułożyć się pod kocem, ale w końcu tylko bardziej zaplątała się w materiał.

- Niech się pani przestanie wiercić - warknął Trevain.

Ariel zdmuchnęła sobie sprzed oczu wilgotny kosmyk włosów i znieruchomiała. Jej porywacz nawet się nie poruszył. Było mu wyjątkowo wygodnie. Koszula zdążyła mu wyschnąć, bo nie miał na sobie innych mokrych ubrań, na przykład halki i gorsetu.

Gdy spostrzegła, że na nią patrzy, rzuciła mu pełne oburzenia, zniecierpliwione spojrzenie.

- Z największą przyjemnością posłuchałabym pana rady, ale nie jest mi wygodnie ze związanymi wszystkimi kończynami z wyjątkiem uszu.

- Więc proszę o tym nie myśleć.

- Czy pan zwariował?

Nathan nadal leżał nieruchomo.

- Nie miałem pojęcia, że Angielki są takie delikatne - wypalił.

Na te słowa Ariel poczuła się obrażona, najprawdopodobniej zgodnie z jego zamiarem. Delikatna, myślałby kto. Przecież kiedyś spędziła cały wieczór poza domem. Wówczas, co prawda, niechcący zatrzaśnęła sobie drzwi od zewnątrz, ale co to ma do rzeczy. Znów się poruszyła.

- Czy pani nie może przestać się wiercić?

- A pan nie może siedzieć cicho?

Nathan otworzył oczy i odwrócił się do niej.

- Niech pani idzie spać, lady D'Archer. Jutro czeka nas długi, ciężki dzień.

- Jeśli pan sądzi, że łatwo jest spać w takiej pozycji, to niech pan sam spróbuje.

- Ja już tak spałem.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem.

Trevain zmrużył oczy.

- Byłem jeńcem wojennym przez kilka miesięcy, moja pani. - Ostatnie słowa wypowiedział z wyraźnym obrzydzeniem. - Gościem armii jego wysokości króla Anglii w Charlestonie. Tam nauczyłem się kochać pani rodaków za ich wyjątkową życzliwość.

Ariel otworzyła usta ze zdziwienia. Z jednej strony mógł tę historyjkę wymyślić na poczekaniu, z drugiej - w czasie wojny bierze się przecież jeńców.

- Tam nauczył się pan dobrych manier?

- Nie, tam nauczyłem się nienawidzić wszystkiego, co angielskie - uciał i położył się.

Ariel popatrzyła na niego ze złością. Co za łotr. Nikczemnik.

Gdy zamknęła oczy, w jej głowie znów rozbrzmiały jego słowa: Tam nauczyłem się nienawidzić wszystkiego, co angielskie.

Czy właśnie wówczas został okaleczony? Czy coś się wydarzyło, gdy przebywał w więzieniu?

Ariel poprawiła się pod kocem, tłumacząc sobie, że nie ma znaczenia, jak i kiedy to się stało. Do diabła z nim. Zasłużył sobie na wszystko, co go spotkało.

Mimo złości potrafiła przyznać, że Nathan był człowiekiem, którego brat zaginał, on zaś przepłynął ocean, aby go odnaleźć. Wmawiała sobie, że wcale nie powinna Trevainowi z tego powodu współczuć, ale jakaś jej część rozumiała jego ból.

Co za głupi człowiek.

Odwróciła głowę i zaczęła mu się przyglądać. Był do niej zwrócony zdrowym policzkiem. Nadal zaciśkał powieki, udawał, że śpi. Miał silnie zarysowaną brodę, zupełnie inaczej niż Archie. Według Phoebe Archie miał szczęki jak sum i takie same wargi i wąsy. Ale kuzynka zawsze w taki sposób mówiła o Archie. Nienawidziła go za to, co zrobił Ariel.

Przekręciła się całkiem na bok, żeby lepiej widzieć Nathana. Wiedziała, że nie powinna się tak zachowywać, ale nie mogła się powstrzymać. W pierwszej chwili uderzyło ją, że leżał cichy i spokojny. Żadnych zmarszczek na czole, zaciśniętych czy skrzywionych warg. Z rozluźnioną twarzą wyglądał łagodniej i młodziej.

Uderzyło ją, że Nathan Trevain, dziedzic Davenport, był naprawdę przystojnym mężczyzną. Nie pięknym jak posąg Apolla, który widziała w jakiejś książce, ale przystojny w dziki, nieokiełznany sposób.

Nagle Nathan poruszył się przez sen. Ariel wstrzy-

mała oddech. Przewrócił się na bok i leżał teraz twarzą do niej. Boże, jego usta prawie dotykały jej warg, tak był blisko. Zaczęła się modlić, żeby nie otworzył oczu, ale jak zwykle, gdy czegoś pragnęła, zdarzyło się coś dokładnie odwrotnego.

Trevain otworzył oczy.

- Do diabła - wykrzyknął i usiadł na pościeli. - Dlaczego się pani tak blisko do mnie przysunęła?

- J-ja... - zająknęła się. - Ramiona mi zdrętwiały, więc się przewróciłam na bok.

Oczywiście skłamała i on dobrze o tym wiedział. Nawet królowa Karolina by się domyśliła.

- Niech się pani przewraca na drugi bok - warknął.

Zamrugnęła przestraszona. Widok potężnej sylwetki Nathana nachylającego się nad nią przyprawiał ją o dreszcze. Nagle odniosła wrażenie, że jest zbyt ciasno otulona kocem.

- Niech pani idzie wreszcie spać.

Ariel chętnie usłuchałaby jego rady...

Mężczyzna znów się położył i odwrócił do niej plecami. Ariel zastanawiała się, jak przetrwa tę noc. Słyszała jego oddech i mimo że zamierzała zignorować tego łotra i kłamcę, nie potrafiła tego zrobić. Wilgoć z zewnątrz dostawała się do środka i wzbudzała lekki ruch powietrza, który przynosił zapach Trevaina do jej nozdrzy. Pachniał wyjątkowo, od razu przypominały jej się chwile, które spędzili razem w parku.

Jęknęła. Działo się coraz gorzej, skoro urzekął ją zapach Trevaina. Powinna go przecież nie znosić, podobnie jak wszystkiego, co z nim związane. Tymczasem była coraz bardziej świadoma bliskości tego mężczyzny. Wsłuchiwała się w jego oddech, rozkoszowała cie-

płem jego ciała. O tym, że twardo spał, świadczył sposób, w jaki rytmicznie wciągał i wypuszczał powietrze. Ten dźwięk wydal jej się tak wspaniały, że mogłaby się w niego wsłuchiwać bez końca.

Uciekaj! coś jej podszeptało. Właśnie, co za świetny pomysł. Bez dłuższego zastanowienia przeturlała się dalej od niego.

Wysunęła się z koca i wstała ostrożnie, żeby nie zbudzić Nathana albo, co gorsza, nie stracić równowagi i upaść na niego. Bóg jeden wie, do czego by się posunął, gdyby znów przyłapał ją na próbie ucieczki.

Koc spadł na podłogę. Ariel pokonała tę przeszkodę, cały czas zerkając na swojego porywacza. Odsunęła się jeszcze dalej. Miała wrażenie, że porusza się jak ośmiornica ze związanymi kończynami. Przemieszczała się w ślimaczym tempie. Przyszło jej do głowy, że zanim zbliży się do drzwi, wstanie słońce i zaczną śpiewać ptaszki.

Znów spojrzała na Trevaina. Na czole pojawiły mu się duże krople potu. Ciekawość nie pozwoliła jej odwrócić wzroku. Nagle wzdrygnął się. Ariel ogarnął lęk, szybko jednak przypomniała sobie, że on śpi. Był to niespokojny sen, ale jednak sen. Zastanawiała się, co go gryzie. Zresztą zasłużył sobie na wszystkie koszmary, które go teraz dręczyły.

Odwróciła się i wtedy chwycił ją za rękę. Zmusił, żeby spojrzała na niego.

Ariel ścisnął się żołądek. Trevain musiał chyba w ciągu jednej sekundy skoczyć na równe nogi. Wyglądał na zupełnie przytomnego.

- Bezczelna pannica - rzucił wściekły.
- Niech mnie pan rozwiąże.

- Przecież próbowała pani uciec - odparł oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście. Porwał mnie pan, więc muszę próbować uciec.

Zbiła go z tropu swoją logiką. Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu.

- Proszę się położyć - polecił w końcu.

- Jeśli to panu nie sprawi różnicy, to wołałabym spać na stojąco.

- Proszę się położyć! - ryknął.

Ariel podskoczyła przestraszona.

- Ale ja...

- No już! - warknął. - A może pani woli, żebym ją położył?

- Nie - zaprotestowała.

Nie chciała, żeby znów jej dotykał. Cofnęła się i powoli opadła na podłogę. Czuła się jak owca prowadzona na rzeź. To wrażenie jednak minęło, gdy tylko Trevain uniósł rąbek jej halki. Szarpnęła się przestraszona.

- Co pan robi?

- Przywiązuję panią do siebie.

- Słucham?

Uniósł do góry sznurek.

- Jeden koniec sznura przymocuję do pani kostki, a drugim obwiążę się w pasie, żeby nie mogła pani próbować uciekać.

Niech to diabli wezmą. O ucieczce już nie ma co marzyć.

- A więc dobrze - stwierdziła zrezygnowana. - Zgadzam się, aby uniósł mi pan halkę.

Nathan popatrzył na nią ze złością, zacisnął zęby i przywiązał jej sznur wokół kostki.

Gdy skończył się obwiązywać w pasie, wyprostował się.

- Niech się pani postara wypocząć.

Wykluczone, pomyślała Ariel, zamykając powieki. Jak mogłaby zasnąć u boku takiego łotra? Na pewno przez całą noc nie zmruży oka.

Przewróciła się na bok i natychmiast zasnęła.



## 11

Śmierć zbliżała się nieuchronnie.

Wessowi Trevainowi ta myśl powinna sprawić ból, ale cierpiał tak bardzo, że było mu wszystko jedno.

- Przyłóż mu jeszcze raz - krzyknął ktoś.

Wess napiął mięśnie w oczekiwaniu na kolejne uderzenie, ból przeszywający jak oparzenie meduzy.

I nadeszło. Dzięki ogromnej sile woli nie krzyknął. Nigdy by nie dał tym cholernym Anglikom powodu do satysfakcji. Porwali go z pokładu jego statku i zmusili do służenia w ich marynarce. Odebrali mu dom, rodzinę, ojczyznę. Nie usłyszą jego krzyku. Nie udało mu się jednak powstrzymać jęku.

Wśród zgromadzonej ciżby przeszedł pomruk zadowolenia, choć niektórzy stali w milczeniu. Z tymi zawarł tymczasowy pokój kilka miesięcy temu. Ich mógł nazywać przyjaciółmi, mimo że przymuszono go do służby na *HMS Destiny*.

Bat kolejny raz spadł na jego zakrwawione plecy.

Znów nie był w stanie pohamować udręczonego jęku. Ból przeszył mu całe ciało, aż do nagich stóp. Ktoś wykrzyknął ucieszony, ale zaraz uciszyli go stojący naprzeciwko oficerowie.

Kolejne uderzenie.

Jeszcze dwadzieścia.

Piętnaście.

Teraz już krzyczał z bólu i z oczu ciekły mu łzy. Nagle poczuł, że ktoś przecina mu więzy. Jego ciało opadło bezwładnie na pokład.

- Przepędzić go przez kije - rozkazał kapitan.

W tłumie rozległo się szemranie. Wess doskonale wiedział dlaczego. Kije zwykle były zarezerwowane dla złodziei, podobnie zresztą jak chłosta. A on nie był złodziejem, tylko dezercerem i zgodnie z Kodeksem Wojennym powinien stanąć przed sądem wojennym. Najwyraźniej jednak kapitan Pike nie szanował przepisów Kodeksu.

Nawet jeśli wcześniej Wess miał niewielką nadzieję na ocalenie, teraz ją stracił. Za jakieś dziesięć, piętnaście dni w rany na pewno wda się infekcja. Może też czekać go śmierć głodowa, gdy wrzucą go do komórki, aby „przemyślał swoje zbrodnie”.

Podeszło do niego dwóch mężczyzn i podniosło go. Z jego ust znów wyrwał się niechciany jęk. Mężczyźni usadzili go na wózku i przypięli pasami, po czym pociągnęli w stronę załogi. Wess wiedział, co teraz nastąpi. Patrzył, jak bosman wręcza bicz stojącemu najbliżej członkowi załogi. Wess dobrze znał tego brutala. Nikt go nie lubił, może z wyjątkiem jego kilku rodaków.

- Cholerny patriota - mruknął osiłek i podniósł bicz.

Skóra opadła na plecy z Wessa z większą siłą niż którykolwiek z razów bosmana. Ból już go nie opuścił. Nie nadszedł moment, w którym mija i człowiek obojętnieje. Wess czuł każde rozrywające skórę uderzenie. Starał się z całych sił zająć myśli czymś innym,

przypomnieć sobie sprawy przyjemne i drogie. Ojca, brata.

Wciąż łudził się nadzieją, że Nathan żyje.

- Ty łotrze - krzyknął inny mężczyzna i uderzył. -  
Twoi kamraci zabili mi tatę.

- Wasze wojsko wymordowało mi rodzinę.

Kolejne uderzenie.

Wess stracił rachubę, ile otrzymał razów. Mnóstwo.

Nagłe nastąpiła przerwa. Modlił się, żeby był to koniec.

- Nie mogę - usłyszał znajomy, stary głos.

Wess uniósł głowę. Stał nad nim człowiek o pomarszczonej twarzy bez dwóch przednich zębów. Samuel.

- Nie każcie mi tego robić - błagał mężczyzna, który nauczył Wessa wiązać jego pierwszy węzeł.

- Musisz - wychrypiał Wess.

- Nie mogę, kapitanie - szlochał Samuel. - Boże, jak patrzę, co oni ci zrobili...

- Bij - rozkazał mężczyzna, prowadzący wózek.

„Bij” - mówiły oczy Wessa. Obaj wiedzieli, co by się stało, gdyby Samuel nie posłuchał. Czekaliby go podobny los, a nawet gorszy, bo Anglicy nie tolerowali niesubordynacji.

Samuel drżącą ręką podniósł bicz.

- Przepraszam - szepnął ze łzami w oczach.

Bicz opadł na plecy Wessa. Nie był to silny cios, ale wystarczył, by pozbawić Wessa przytomności.

Słona woda przywróciła mu zmysły. Spływając po świeżych ranach, przyniosła nowe fale bólu. Czekał na kolejne razy, ale najwyraźniej kapitan już z nim skończył. Uniósł dłoń i zwrócił się do załogi.

- Niech to będzie nauką dla tych z was, którym nie podoba się służba na moim statku. - Splótł ręce na plecach. - Nie będę tolerował dezerterów. Następny uciekinier zostanie ukarany w ten sam sposób. - Zawiesił na chwilę głos, po czym spojrzał na Wessa. - Zabierzcie go na dół.

## 12

Następnego ranka Ariel przekonała się, że spanie na zakurzonej podłodze, kiedy człowiek jest owinięty w koc jak kiełbasa, niekorzystnie wpływa na dobry nastrój. Nocą udało jej się zaledwie zdrzemnąć, bo nie mogła znaleźć sobie wygodnej pozycji. Co gorsza, Trevain obudził się świeży i wypoczęty, jakby spał co najmniej osiem godzin. W tej sytuacji pocieszała ją jedynie myśl, że wkrótce będzie go oglądała zakutego w kajdany. Na szczęście rozwiązał jej ręce i nogi. Krew nie krążyła w nich jeszcze swobodnie, ale zaczynała przynajmniej mieć w nich czucie. Po prostu cudownie.

Przyjrzała się swojemu porywaczowi. Narzucił płaszcz, który, jak się przekonała w świetle dnia, nie był wcale czarny, tylko ciemnoszary. Sięgnął mu do kolan. Przykurzone bryczesy wpuścił w wysokie buty. Pomimo raczej niewyszukanego stroju przez mgnienie oka pomyślała, że wygląda całkiem przystojnie. Gdy jednak spojrział na nią, znów przybrał zacięty i zły wyraz twarzy. Tak jej się przynajmniej wydawało.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytała.

- Wcale.

- Jak to? - zdziwiła się.

Nathan wzruszył ramionami.

- Więc dokąd pójdziemy?

- Do Bettenshire.

- Do Bettenshire! Przecież ja tam mieszkam.

- Wiem - odparł, wpatrując się w nią przenikliwym wzrokiem.

Dopiero teraz Ariel zrozumiała jego intencje.

- Chce pan przeszukać mój dom.

- Owszem.

- Dziwi mnie, że do tej pory pan tego nie zrobił.

Jest pan przecież mistrzem wśród szpiegów.

- Skąd pani wie?

- Pytałam w Admiralicji.

- Co za dbałość o szczegóły.

Ariel przytaknęła skinieniem głowy.

- Więc może panią zainteresuje wiadomość, że już przeszukałem ten dom, ale nie tak dokładnie, jak bym sobie życzył. Przeszkadzała mi obecność służących. Teraz na szczęście mam panią. Odprawi pani służbę, a potem pomoże mi w poszukiwaniach.

- Nie - warknęła.

Trevain podszedł do niej. Jego zeszpecona blizną twarz znów zaczęła ją przerażać.

- Pomoże mi pani, bo jeśli nie, wydam polecenie, aby porwano pani kuzynkę i zlikwidowano ją.

- Ciekawe, jak pan to zrobi?

- Zwyczajnie - odparł. - Umówiłem się z kimś, żeby się tym zajął na moje polecenie.

Ariel otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

- Na wojnie nauczyłem się brać pod uwagę każdą ewentualność. Przyszło mi do głowy, że może pani nie zechce ze mną współpracować, i ubezpieczyłem się na wszelki wypadek. W dzisiejszych czasach wca-

le nie jest trudno o gotowego na wszystko łotra pod warunkiem, że się go sownie wynagrodzi.

Ariel pomyślała, że Trevain nie odważyłby się na taką niegodziwość. Z drugiej strony nie miał skrpułów, żeby ją porwać. Zadrżała, ale wyprostowała się i spojrzała na niego odważnie. Postanowiła z godnością znieść chwile, które musiała z nim spędzić.

- A więc dobrze. Zrobię, jak pan każe.

Zaczęli mierzyć się wzrokiem i to nie Ariel pierwsza odwróciła głowę. Trevain podniósł z podłogi torbę z zapasami.

- Kiedy wyruszamy? - spytała.

- Jak tylko będzie pani gotowa.

- Jestem.

- Najpierw zjemy śniadanie.

- Nie jestem głodna.

Cierpliwość Nathana wyczerpała się. Postąpił na przód. Ariel spięła się w sobie. Gdy stanął przed nią, wysoki i potężny, ogarnął ją strach.

- Będzie pani jadła, gdy jej każę.

Oczywiście, czemu nie.

- Dobrze - pisnęła. - Ale co jest na śniadanie?

- To - odparł i podał jej coś, co przypominało suszone patyki.

Ariel chciała wyciągnąć przed siebie rękę, ale nie była w stanie tego zrobić.

- Niech pani otworzy dłoń - polecił zniecierpliwiony.

- Próbuję - zdenerwowała się Ariel. - Gdyby nie związał mi pan tak mocno nadgarstków, może byłabym w stanie ich teraz używać.

- Czego używać?

- Ręk. Całkiem mi zdrętwiały. Za mocno mi je pan związał.

Ariel odniosła wrażenie, że na krótką chwilę w jego oczach pojawiło się poczucie winy.

- Proszę mi je pokazać - polecił i wsunął sobie suszoną wołowinę do kieszeni.

Widząc to, Ariel stwierdziła, że nie zje dziś śniadania. Ciekawe, co jeszcze nosił w kieszeni.

Jęknęła, gdy ujął jej nadgarstki w dłonie.

- Są posiniaczone - zauważył.

- Co za spostrzegawczość.

Dotykał jej zaskakująco delikatnie, ona zaś miała tak zdrętwiałe ręce, że nie poczułaby, nawet gdyby ktoś walił po nich kijem.

- Dlaczego nie pani nie powiedziała?

- Bo zauważyłam siniaki, dopiero jak zdjął mi pan więzy.

Trevain pokiwał głową. Ariel zaskoczył wyraz jego twarzy. Wyraźnie złagodniał i spoglądał na nią ze szczerą troską. Hmm. Zaczął masować jej dłonie. O mało nie jęknęła, ale wcale nie dlatego, że sprawił jej przyjemność - broń Boże - tylko dlatego, że nadgarstki naprawdę ją bolały.

- Dlaczego pan przestał? - spytała.

Trevain ukląkł przed nią.

- Sprawdzam, w jakim stanie są pani kostki.

- Ach, tak.

O mało nie podskoczyła, gdy uniósł jej halkę. Jego dotyk poczuła w całym ciele. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie dotykał jej kostek. Patrzyła z góry na jego pochyloną głowę i stwierdziła, że nadszedł świetny moment na ucieczkę. Nathan klęczał przed nią.



Gdyby tylko udało jej się znaleźć odpowiedni przedmiot. Rozejrzała się szybko.

W tym momencie Trevain spojrział do góry, zupełnie jakby czytał w jej myślach.

Ariel poczuła się przyłapaną na gorącym uczynku.

- Nie radziłbym tego robić.

- Czego? - spytała niewinnie.

Jak to możliwe, że z taką łatwością odgadł jej zamiary?

- Tego, co pani knuje.

- Cóż ja mogłabym knuć?

Przyszło jej do głowy, że gdyby udało jej się złapać go za szyję, mogłaby go udusić. O, tak. Sprawiłoby jej to ogromną przyjemność po wszystkim, co jej zrobił.

Tymczasem Nathan wstał, zanim zdążyła wprowadzić w życie swój plan. Kostki swędziały ją w miejscach, gdzie jej dotykał. Poruszyła palcami u nóg. Zbrodnicze myśli opuściły ją, gdy zorientowała się, że i ręce ma sprawniejsze. Zresztą i tak nie miałyby siły go udusić.

- Ręce będą mniej panią bolały, gdy zaczniesz ich pani używać.

- Tak?

- Tak, ale ostrzegam panią, jeden niewłaściwy ruch i od nowa panią związę.

Boże, nie. Zdenerwowana przełknęła ślinę. Wciąż snuła plany ucieczki, ale przytaknęła Nathanowi. Była przecież zakładniczką, a zakładnicy mają prawo knuć przeciwko porywaczom. Na razie jeszcze nie wiedziała, jak się za to zabrać, ale słońce dopiero co wzeszło. Trzeba tylko poczekać, aż nadarzy się odpo-

wiednia okazja. Trevain był przecież mężczyzną, a wszyscy mężczyźni popełniają błędy.

Uzbroiła się więc w cierpliwość i założyła swoje wilgotne ubrania.

- Chodźmy - rozkazał, gdy skończyła.

Wziął do ręki torbę i ruszył do wyjścia, nie oglądając się za siebie.

Ariel podążyła za nim. Całe ciało miała obolałe po nocy spędzonej na podłodze. Ruch jednak dobrze jej robił. Rozgrzewał. W pokoju było chłodno. Z zewnątrz budynek robił znacznie gorsze wrażenie. W świetle dziennym wyglądał na jeszcze bardziej zapuszczony niż nocą. Gdyby zobaczyła go za dnia, nigdy nie zgodziłaby się spędzić nocy pod jego zniszczonym dachem, który w każdej chwili mógł im się zwalić na głowę.

Na szczęście ktoś czuwał nad nimi.

Słońce musiało wzejść jakieś pół godziny temu, sądząc po panującej na dworze szarówce. Niebo przykrywały grube chmury. Powietrze było chłodne i pachniało wilgocią.

Ariel roztarła sobie ramiona i podążyła za Nathaniem, który przedzierał się przez wybujałe chaszczce. W pewnym momencie obejrzała się za siebie i stanęła jak wryta. Dom miał rzeczywiście ładny kształt - po jednej stronie kwadratowe, po drugiej okrągłe wieżyczki. Nic więcej pochlebnego nie dało się jednak o nim powiedzieć. Na dachu kominy groziły zawaleniem się. Pobliska oficyna zupełnie zapadła się po jednej stronie, a granit, z którego wzniesiono ściany, leżał porozrzucany wokół na ziemi. Fasadę zasłaniały przerośnięte drzewa.

- Mam wrażenie, że patrzę na odkopane Pompeje.
- Witam w moim domu rodzinnym, lady D'Archer.
- To pana dom? - spytała i szybko podbiegła, żeby go dogonić.

Trevain przytaknął, wyraźnie zdegustowany ruiną, w jaką popadła posesja. Ariel pomyślała, że to bardzo niesprawiedliwe, żeby jego oczy tak pięknie wyglądały w świetle dnia. Szary, błękitny i czarny stapały się w jednolity świetlisty kolor. Jej oczy na pewno były przekrwione z niewyspania.

- Należał do mojego ojca.

- Czy pański ojciec lubił horrory?

- Nie, nie interesowało go ani to miejsce, ani nic, co miało coś wspólnego Davenport. Gdy ojciec wyjeżdżał z Anglii, mój stryj przysiągł, że nawet nie kiwnie palcem w sprawie tej posiadłości.

- Rozumiem, że pana ojciec i stryj nie spotkali się osobiście?

Nathan spojrział na nią z góry.

- Dobrze pani rozumie.

Ariel nie mogła pohamować ciekawości.

- Dlaczego tak się stało?

- To nie pani sprawa.

- Rzeczywiście, ale skoro już tak sobie spacerujemy, moglibyśmy porozmawiać.

Ominęła kolejny przerośnięty krzak. Przyjrzała mu się bliżej i okazało się, że to krzew ozdobny, tylko dawno nie przycinany. Kiedyś to miejsce musiało być piękne. Szkoda, że zostało doprowadzone do ruiny.

- Panie Trevain?

Nathan zatrzymał się. Omal nie wpadła na jego plecy.

- Jeśli pani powiem, czy obieca mi pani, że będzie siedziała cicho do końca podróży?

Ariel cofnęła się zaintrygowana.

- Chyba...

- Dobrze.

Spojrzał przed siebie. Przez dłuższą chwilę milczał, aż zaczęła się zastanawiać, czy nie zmienił zdania, ale w końcu odezwał się.

- Gdy zaczęło się mówić o możliwym wybuchu wojny między koloniami i Anglią, mój stryj stanowczo sprzeciwiał się udziałowi w niej rodziny.

Ariel zrobiło się przyjemnie, że zechciał się z nią podzielić tą historią.

- Księżę wysłał ojcu list, w którym stwierdził, że jeśli plotki o naszym przystąpieniu do kolonistów okażą się prawdziwe, to on ma nadzieję, że Anglicy odstrzelą nam nogi w pierwszej potyczce.

- To nieładnie z jego strony - zauważyła Ariel.

- Rzeczywiście. Stryj zawsze miał tupet. Gdy przeprowadziliśmy się do kolonii, traktował mojego ojca, swojego brata, jak żebraka. Odebrał mu pensję, przysługującą ojcu z racji pochodzenia, ale nie mógł zabrać mu tytułu.

Ariel otworzyła szeroko oczy.

- Więc w pana rodzinie nie jest pan jedyną czarną owcą? Trevain zmarszczył brwi, ignorując ten przytyk.

- Jednym słowem, ich stosunki nie układały się najlepiej. Ojciec zdziwił się, gdy otrzymał ten list, stryj bowiem wcześniej skontaktował się z nim tylko raz.

- To musi być straszny człowiek.

- Jest. Dlatego właśnie tak drażniła go niesubordynacja ojca. - Zacisnął zęby. - Postanowiłem więc mu

pokazać, jak mało obchodzą nas jego decyzje. Poprosiłem kucharza o piszczel krowy...

- Och, panie Trevain, naprawdę? - W mig zrozumiała, co zamierzał zrobić.

- Naprawdę. Przymocowałem do tej kości plakietkę. - Odwrócił się do Ariel. - I wie pani, co na niej napisałem?

Ariel poczuła, jak uśmiech ciśnie się jej na usta. Dziwnie było tak dobrze się bawić w towarzystwie własnego porywacza. Dobry nastrój zniknął natychmiast.

- Że wolimy być patriotami z jedną nogą niż rojalistami z dwoma.

Ariel patrzyła na niego z niedowierzaniem, ale po chwili odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem. Po prostu nie mogła się powstrzymać.

- Panie Trevain, to straszne.

- Rzeczywiście, ale potem jeszcze przez kilka tygodni śmiałem się do rozpuku, gdy wyobrażałem sobie minę stryja, jak otwiera paczkę. Niestety nie pochwaliłem się ojcu, co zrobiłem. Parę miesięcy później otrzymał list napisany najwyraźniej w ataku szału.

- Co w nim było?

- Jakieś okropności, ale ojciec nigdy nie powiedział mi, co dokładnie. Myślałem, że będzie na mnie zły, ale ku memu zdziwieniu on jedynie poklepał mnie po plecach i pochwalił, a potem wyprawił w drogę.

Ariel popatrzyła na Trevaina, po czym znów wybuchnęła śmiechem.

- Chyba polubiłabym pańskiego ojca.

Nathan spowaźniał, jakby ktoś wylał na niego kubek zimnej wody.

- Zginął w bitwie pod Trenton.

- Bardzo mi przykro.

Dotarli do głównej drogi. Ariel zastanawiała się, gdzie są konie. Myślała, że może stoją gdzieś przywiązane, ale nie.

Trevain zatrzymał się i spojrzał na nią groźnie.

- Jeśli spróbuje pani zatrzymać jakiegoś przechodnia, źle się to dla pani skończy.

Dobry nastrój prysnął natychmiast.

- Nie sądzę, żebym zdołała zwrócić czyjaś uwagę, jeśli będziemy szybko jechać.

- Nie będziemy jechać.

Ariel wzruszyła ramionami.

- Obiecuję, że nie będę wyskakiwać z żadnego powozu.

- Nie będzie powozu.

- A jak dotrzemy do Bettenshire?

- Na piechotę.

- Na piechotę?

- Tak.

- Czy pan zwariował?

Nathan uśmiechnął się ironicznie. Na ten widok Ariel miała ochotę rzucić się na niego z pięściami.

- Udam się do najbliższej wioski i zdobędę dla nas konia.

Ariel uspokoiła się.

- Pójdzie pan?

- Tak.

- A co ze mną?

- Pani zostanie.

Ariel zeszywniała przerażona.

- Panie Trevain, musi być jakiś lepszy sposób...

Nathan chwycił ją mocno za ramię.

Przywiązał ją do drzewa.

Przebrzydły łotr. Ohydny niegodziwiec. Przywiązał ją do drzewa na tyle daleko od drogi, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć. Przynajmniej w ciągu ostatniej pół godziny udało jej się trochę poluzować knebel, który wcisnął jej w usta. Teraz będzie mogła trochę pohłasować. Przy odrobinie szczęścia ktoś ją usłyszy. Wcale nie przejęła się groźbą Trevaina, że ma być cicho. Co gorszego mógł jej zrobić niż to, przez co już przeszła? Nabrała w płuca powietrza, ale przez śmierdzącą szmatę wydobyło się zaledwie niezrozumiałe bulgotanie. Tak bardzo się zdenerwowała, że zaczęła się szamotać z całych sił.

- Proszę, proszę. Co za widok.

Ariel znieruchomiała. Długie kosmyki włosów zakrywały jej twarz. Potrząsnęła głową i uderzyła nią w pień. Trevain przywiązał ją do ogromnego dębu. Czuła się jak figurka na dziobie statku. Co gorsza, wiedziała, że małe robaczki pełzały jej po dekolcie. Najpierw bzycały jej wokół twarzy, potem siadały na skórze i niewątpliwie zwoływały inne owady na darmową ucztę.

- Pfkłęty brutalu, beflitofna beftio - wyskrzeczwała. - Natychmiaft mnie rosfwiasz.

- Słucham panią? - Przyłożył sobie dłoń do ucha.  
- Bardzo mi przykro, ale nie rozumiem.

Ariel zmrużyła oczy. Nadejdzie dzień zemsty.

- O co chodzi, lady D'Archer? Zabrakło pani języka w ustach?

Ariel połknęła przynętę.

- Niech mnie pan w tej chwili rosfiasze.

- Rosfiasze? Może rozbierze? Z przyjemnością.

No, tak. Dała się wpuścić w maliny.

- Niech mnie pan rozfiąsze - powiedziała powoli i najwyraźniej, jak mogła.

Nathan oparł dłoń na siodle i popatrzył na nią drwiąco.

- Rozfiąsze - mruknął. - Rozfiąsze - powtórzył. - Och, rozumiem - udawał, że dopiero teraz się domyślił. - Chce pani, żebym ją rozwiązał.

Ze złości Ariel nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

- *Oczywiście*, droga pani. Jak sobie pani życzy.

Zeskoczył z konia i prawie bezszelestnie wylądował w wysokiej trawie. Nie spieszył się jednak do niej. Spokojnie poprawił strzemiona i dopiero potem się zbliżył.

- Hmm. Muszę przyznać, że ciekawie pani wygląda. Prawdę mówiąc, mam ochotę zostawić tu panią, żeby nie słuchać pani gadania przez cały dzień.

Gdyby tylko mogła, w tym momencie by go zabiła albo przynajmniej rzuciłaby w niego krowim placikiem. Leżał gdzieś w pobliżu, bo wyraźnie go czuła.

Opanowała się jednak. Trevain tymczasem przyjrzał się jej uważnie. Jego wzrok zatrzymał się na dłużej na jej biodrach, a potem na piersiach. Ariel zaczerwieniła się, nie tylko ze złości.

Coś jeszcze obudziło się w jej wnętrzu.

Pożądanie.

Była jednak zbyt wściekła, żeby zastanawiać się nad swoim idiotycznym, niepotrzebnym, bezpodstawnym zauroczeniem czy też nad jego drwiącą miną.

Skrzyżował ramiona na piersi.

- Rozwiążę panią, jeśli mi pani obieca, że będzie grzeczna.



Oho, jeszcze czego.

- Koniec z próbami ucieczki - dodał kolejny zakaz. Nie ma mowy. Ariel wiedziała, że będzie chciała się uwolnić za wszelką cenę.

- Koniec z narzekaniem na niewygodę.

Będzie narzekała, aż ochrypnie.

- A jeśli złamie pani któryś z zakazów, przywiążę panią do najbliższego przydrożnego drzewa i tam będzie pani czekała, aż wrócę.

„Tylko spróbuj” - powiedziały jej oczy. Przecież bez jej pomocy nie mógłby niczego zrobić. Od razu poczuła się lepiej, gdy uświadomiła sobie, że była mu potrzebna do przeszukania domu.

- Czy da mi pani swoje słowo?

Ariel z przyjemnością by mu coś dała. Na przykład ospę. Albo malarię. A przynajmniej trąd.

- Niech pan fobie fsadzi tę cholerną propofycję...

- O, o, o, moja pani - przerwał jej. - Niech pani lepiej uważa na swój język.

- Będę patfeć, jak pana rofftszelifują - warknęła.

Trevain odwrócił się na pięcie i zaczął się oddalać.

Ariel nie zareagowała. Co za głupiec. Czy nie rozumiał, że jej potrzebuje? Na pewno zaraz się odwróci.

Ale on szedł dalej pewnym krokiem.

- Dokąd pan icie? - zawołała.

Nathan przystanął i odwrócił się.

- W mieście jest zajazd. Pomyślałem, że coś tam przekaszę, zanim wyruszę do Bettenshire.

- Nie mosze pan fyjechać bese mnie.

- Rzeczywiście, ale mogę panią tu zostawić, dopóki mi się podoba.

Nie, nie ośmieli się.

Spojrzała mu w oczy.

Ośmieli się.

Zacisnęła pięści. Miała ochotę krzyknąć albo przynajmniej kopnąć w coś.

- Będę grzeczna - wydusiła przez zaciśnięte gardło.

Trevain uśmiechnął się do niej z pobłażaniem, jakie zwykle cechuje stosunek mężczyzn do kobiet. Z przyjemnością poharatałaby mu drugi policzek.

Znów ruszył do przodu. Koń podązał za nim posłusznie jak baranek. Potrząsał czarną grzywą, jakby strofował ją za jej bezczelność. Najchętniej rzuciłaby się za koniem, jak tylko Trevain ją rozwiąże, i oddaliła czym prędzej, ale wiedziała, że to niemożliwe. Po pierwsze, w spódnicy nie uda jej się samodzielnie wsiąść na konia. Po drugie, po dwóch krokach Trevain ją dopadnie. Przekląty człowiek. Przekłęta suknia.

Przekłęte porwanie.

Wreszcie poczuła, jak więzy rozluźniają się - dzięki Bogu, Nathan nie dotknął jej. Ramiona opadły jej wzdłuż boków. Błyskawicznie uwolnił ją również od knebla. Kilka włosów zaplątało się w materiał i zablokowało, gdy odrzuciła do tyłu głowę. Było jej jednak wszystko jedno, tak bardzo się cieszyła, że wreszcie się go pozbyła. Z przyjemnością rzuciłaby gałganek na ziemię i podeptała go, ale nie chciała dać Trevainowi tej satysfakcji. Otworzyła szeroko usta, szczęśliwa, że wreszcie może swobodnie poruszać szczękami.

- Wreszcie. Nauczyła się pani otwierać buzię i nie mówić.

Ariel odwróciła się na pięcie. Chętnie przyłożyłaby mu w głowę jakimś ciężkim przedmiotem.

- *Szkoda, że pan nie umie tej sztuczki.*

- *Takie sztuczki to nie ze mną.*

- *To ty mi pożycz swoją.\**

Nathan spojrział na nią zdziwiony.

- Kobieta, która zna Szekspira. Niesamowite.

- Rzeczywiście. Zupełnie jak mężczyzna, który potrafi taktownie się zachować. Jak pan.

- Rzeczywiście. A pani za to wykazuje zupełny brak moralności.

O, nieładnie.

- Mężczyzna, któremu daleko do dżentelmena, nie powinien nikomu wyrzucać braków w wychowaniu.

- Ależ ja nigdy nie miałem pretensji do bycia angielskim dżentelmenem.

- Niech się pan nie boi, nie przyszłoby mi do głowy, że nim pan jest.

- Widzę, że wytrąciłem panią z równowagi groźbą pozostawienia jej tu samej.

Inteligentna odpowiedź, pomyślała Ariel.

- Sądzi pani, że byłbym na tyle głupi, żeby zabrać ją ze sobą do wioski?

- Myślałam, że jest pan na tyle dżentelmenem, żeby traktować mnie jak damę.

- Najpierw musi się pani zacząć zachowywać jak dama.

Gdyby tylko znalazła gdzieś w pobliżu cegłę, natychmiast by nią w niego rzuciła.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem. Ariel miała ochotę zrobić zeza i wystawić język, ale powstrzymała się. Gdy Trevain odwrócił się pierwszy,

\*William Shakespeare, *Henryk IV*. Część 1 i 2, tłum. Stanisław Barańczak. Wydawnictwo Znak, Kraków 1998.

poczuła się lepiej. Spojrzał w górę. Ariel zrobiła to samo. Gęste sklepienie z liści, nic więcej. Nathan zmarszczył brwi i odwrócił się do niej tyłem. Był to znak, że zakończył rozmowę. Dopiero wtedy Ariel zauważyła coś, co powinna była spostrzec wcześniej.

Był tylko jeden koń.

Och, nie, przestraszyła się. Nie, nie, nie. Nie pojedzie z nim na jednym koniu. Wykluczone.

Trevain szybkim ruchem opuścił strzemiona i wskoczył na siodło.

- Teraz pani - polecił i wyciągnął do niej rękę.

- Nie - zaprotestowała i skrzyżowała ramiona na piersi.

Spojrzał na nią groźnie. Koń zaczął przestępować z nogi na nogę, najwyraźniej wyczuwając napięcie jeźdźca. Co za niemożliwy człowiek. Przecież ona wolałaby już wsiąść na widły.

- Pójdę piechotą.

- Niech pani będzie rozsądna. Proszę dać mi rękę.

- Nie - powtórzyła z uporem, licząc w duchu, że posadzi ją przed sobą.

Koń znów Zadreptał w miejscu i Nathan pogładził go uspokajająco. Musiał się odświeżyć w mieście, bo wyglądał olśniewająco czysto i schludnie. Zirytowała się, szczególnie że jej wygląd pozostawiał wiele do życzenia.

- Moja pani, nie mam czasu się z panią kłócić. Pojedzie pani ze mną, i to natychmiast.

- Nie.

- A to dlaczego?

- Bo nie.

- Ach, tak. Rzeczywiście istotny powód.

Ariel spojrzała na niego wyzywająco. Nathan przyjął wyzwanie.

Błyskawicznie zeskoczył z konia, chwycił ją za ramiona i związał je na jej plecach.

**-Ty...**

- Dosyć, dosyć - szepnął jej do ucha. - Ani słowa więcej.

Co dziwne, Ariel posłuchała go. Wyprostowała się i cierpliwie czekała, żeby założył jej knebel. Tymczasem Trevain zasłonił jej nie usta, ale oczy. Nic nie powiedziała, bo sądziła, że Nathan zaraz zorientuje się, że popełnił błąd, i przesunie materiał niżej. Tymczasem on mocno związał końcówki, odsunął się i odwrócił ją.

- Jedno słowo i również zaknebluję panią.

Dopiero teraz Ariel zorientowała się, co on knuje. Nie chciał, żeby widziała, dokąd ją zabiera, a w dodatku faktycznie uniemożliwił jej ucieczkę. Niezły spryciarz.

Po chwili poczuła, jak narzuca jej koc na głowę i ramiona. Na pewno zamierzał ukryć fakt, że zasłonił jej oczy. Cudownie. Teraz na pewno wyglądała jak siostra Mary Cazignotti.

Znów chwycił ją za ramię i pociągnął.

- Co pan robi? - jęknęła.

- Sadzam panią na konia.

Podniósł ją do góry i posadził w siodle. Ariel poczuła się nieswojo. Nie wiedziała, czy sprawił to jego dotyk, czy raczej brak oparcia dla stóp. W gruncie rzeczy wcale nie chciała się tego dowiedzieć.

- Proszę mi podać stopę.

Ariel sądziła, że się przesłyszała. Wzdrygnęła się,

gdy zacisnął palce na jej kostce. Jak on mógł tak na nią działać, skoro nienawidziła go z całej duszy? W dodatku odniosła wrażenie, że zamarł na chwilę. Zaczerwieniła się. Bardzo dziwnie czuła się z zasłoniętymi oczami. Czy przyglądał się jej nagiemu ciału? Może stał zauroczony perłowo białą skórą?

W tym momencie ogarnęła ją taka rozpacz, jakiej nie czuła od dnia, gdy przekonała się, że Nathan naprawdę chciał ją porwać. Może bała się jego, może siebie, ale nagle z całej siły wbiła pięty w boki konia.

Był to wyraźny znak, że straciła głowę, bo zapomniała przynajmniej złapać konia za grzywę. Zwierzę naturalnie rzuciło się do przodu, Ariel zaś przechyliła się do tyłu i spadła na trawę.

Koń tymczasem podskoczył zadowolony, że pozbył się ciężaru, i po chwili zniknął im z oczu.

Zapadła cisza. Słysząc było jedynie oddalający się tętent kopyt.

Nathan nie odezwał się. Przez głowę Ariel przemknęła myśl, że może kopnął go koń i stracił przytomność. W pierwszym odruchu ucieszyła się, ale zaraz opadły ją wyrzuty sumienia. Usiadła obolała od uderzenia o ziemię. Opaska przesunęła się nieco, więc rozejrzała się w poszukiwaniu Nathana.

Kilkadziesiąt centymetrów od niej stały buty. Powiedziała sobie, że powinna być rozczarowana, ale tak naprawdę kamień spadł jej z serca.

- Jest pani zadowolona z siebie? - warknął.

Ariel miała ochotę zapaść się pod ziemię.

- Nie mamy już konia - dodał wściekły.

Ariel milczała. Stwierdziła, że nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment, żeby się odezwać.

- I po co ja traciłem czas, żeby znaleźć i przypro-  
wadzić tu konia?

- Pan ten czas zmarnował tak czy inaczej, bo ten  
koń mnie zrzucił.

- Bo go pani kopnęła.

- Nieprawda.

- Kłamie pani.

Nie - chciała zaprotestować, ale nie potrafiła.  
Kłamstwo nigdy nie przychodziło jej łatwo.

- Tak, kłamię. Przepraszam.

Jej szczerość musiała go zaskoczyć, bo nic nie od-  
powiedział. Zerkając spod opaski, dostrzegła, że pod-  
szedł bliżej. Zastanawiała się, czy nie wyciągnął do  
niej ręki, ale nie była w stanie tego stwierdzić.

- Moje gratulacje, teraz będzie pani szła do Betten-  
shire piechotą.

- Koń na pewno nie uciekł daleko.

- Do sąsiedniego hrabstwa.

Kłamał. Ariel odchyliła głowę do tyłu, ale z tej po-  
zycji widziała jedynie liście i jego stopy.

- Proszę wstawać.

Z tonu głosu wywnioskowała, że nie wyciągał do niej  
ręki. W głębi duszy cieszyła się, że nie może w tej chwili  
zobaczyć jego twarzy. Buty zniknęły jej z pola widzenia.

- Dokąd pan idzie?

- Do Bettenshire, z panią czy bez.

- Niech pan poczeka.

Ale on nie zatrzymał się. Ariel chciała wstać, ale  
spódnica zaplątała się jej wokół kostek, a poza tym  
miała związane z tyłu ręce. Dopiero po kilkudziesię-  
ciu długich sekundach udało jej się podnieść. Treva-  
ina nie było w zasięgu jej wzroku.

Nie mogła w to uwierzyć, przecież jej potrzebował. Najwyraźniej Nathan Trevain chwilowo zapomniał o tym istotnym szczególe. Podobnie zresztą jak ona, gdy kopnęła konia.

- Niech pan zaczeka - krzyknęła i odwróciła się powoli. - Niech mnie pan nie zostawia.

- Za późno - odkrzyknął.

Odwróciła się w kierunku, z którego dochodził głos, i rzuciła się do przodu. Ponieważ miała zasłonięte oczy, musiała korzystać z innych zmysłów i pewnie dlatego nie zauważyła drzewa, które niespodziewanie wyrosło jej na drodze. Uderzyła w nie najpierw głową, potem biustem. W pierwszej chwili nie wiedziała, co się stało, ale zaraz poczuła dotkliwy ból. Po raz drugi tego dnia upadła.

Ariel leżała w trawie z pulsującym z bólu nosem. Jęczała cicho. Usłyszała zbliżające się kroki, ale była zbyt obolała, żeby zareagować.

- No, no, no - rozległ się rozbawiony głos. - Cóż to było za ciekawe przedstawienie. Czy to jakiś cygański rytuał?

Ariel nie poruszyła się. Nie była pewna, czy jest w stanie mówić. Miała ochotę wyć.

I właściwie dlaczego usłyszała w jego głosie nutę wesołości?

- To było bardzo zabawne.

Co za... nikczemnik. To on był zabawny.

- Jest pan skończonym łotrem. - Załamała się, gdy przekonała się, że mówi głosem wysokim i piskliwym jak lady Pemberton. Po uderzeniu w drzewo zatkał jej się nos. - Powinno się pana poćwiartować za to, jak traktuje pan kobiety.



Z trudem podniosła się z pozycji leżącej. Oddała-  
by wszystko, żeby potrzebę bolący nos.

- Zapewniam panią, że nie jest pani jedyną osobą,  
która mi źle życzy.

- Ale ja będę pierwszą, która panu rzeczywiście zro-  
bi krzywdę. - Znów spróbowała stanąć na nogi. Opa-  
ska na oczy bardzo jej to utrudniała. W końcu udało  
się. Zachwiała się i zbladła. - Co pan woli? Rozstrze-  
lanie? Chłostę? - Gdyby miała wolne ręce, położyła-  
by je na biodrach i spojrzała na niego wyzywająco.

Nagle poklepał ją po ramieniu.

- Jestem za panią - odezwał się i w dodatku jego głos  
brzmiał, jakby z trudem hamował wybuch śmiechu.

Ariel obróciła się na pięcie i odchyliła do tyłu głó-  
wę, żeby upewnić się, że rzeczywiście stał za nią.

- To świetnie!

Wtedy roześmiał się. Śmiech Trevaina brzmiał dla  
niej dziwnie i obco.

- Jest pan nikczemnikiem.

- Już to pani mówiła.

- I mówię jeszcze raz.

Jej słowa rozbawiły go jeszcze bardziej. W tym mo-  
mencie Ariel wyczerpała się cierpliwość. Pochyliła się  
i zaatakowała. Nie wiedziała, czy trafi w Trevaina, ale  
postarała się uderzyć go w brzuch.

Udało jej się.

Satysfakcję, która ją wówczas ogarnęła, wspomina-  
ła jeszcze przez długie lata. Nathan jęknął i przechy-  
lił się do tyłu. Niestety pociągnął ją za sobą, bo za-  
nim upadł, chwycił ją w talii. Wtedy Ariel było już  
wszystko jedno. Przepęłniało ją poczucie zwycięstwa.

- Ha, ha. I kto się teraz śmieje?

Nie odpowiedział od razu i to ją zaniepokoiło. Podniosła brodę do góry, żeby coś dojrzeć spod opaski.

- Myślę - powiedział tak cicho, że ledwo go słyszała - że należała mi się nauczka.

Ariel natychmiast spoważniała. Za późno zorientowała się, co zrobiła. Krew zaczęła jej gwałtowniej krążyć w żyłach. Oddychała coraz szybciej, jakby pozbawiona wzroku pozostałymi zmysłami starała się nadrobić ten brak. W pewnej chwili poczuła, jak Nathan się przesuwa, i nagle znów widziała. Gdy zdjął jej z oczu opaskę, okazało się, że jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od niej.

Zaskoczona otworzyła usta. Serce zamarło jej w piersi, gdy spostrzegła, że Trevain wpatruje się zauroczony w jej wargi.

- Powinna pani uważać na siebie.

- Tak? - szepnęła.

- Nie może pani zranić swojej ślicznej główki.

Podniósł dłoń i dotknął supła na głowie Ariel. Zrobił to bardzo delikatnie. Miejsce Trevaina Strasznego zajął Trevain Troskliwy.

I nagle Ariel przestało obchodzić, że jeszcze przed chwilą się z niej śmiał. Że ją porwał i zamierzał wykorzystać, a potem zdradzić. Pierwszy raz w życiu mężczyzna spoglądał na nią w ten sposób. Serce odpowiedziało jej, że w tym momencie Nathan Trevain był szczery.

Natychmiast jednak przypomniała sobie, skąd się tu wzięła, i ze wstydu opuściła głowę. Utrata kontaktu wzrokowego przerwała czar. Mężczyzna delikatnie odsunął ją od siebie, ale jego ręce pozostały na jej talii trochę dłużej, niż było to konieczne. Bez słowa

pomógł jej wstać. Ariel z przerażeniem stwierdziła, że chętnie spędziłaby w jego ramionach więcej czasu.

- Rozwiążę panią, jeśli pani obieca, że będzie grzeczna.

Ariel potrząsnęła głową.

- Naprawdę?

- Tak, jeśli obieca pani zaprzestać prób ucieczki - potwierdził, spoglądając na nią pytająco.

Ariel potaknęła.

- Więc nie będę już zakładał pani opaski na oczy.

Uświadomiła sobie, że był dla niej naprawdę miły.

Nagle serce jej zmiękło. Wmawiała sobie, że nienawidzi Trevaina, ale w głębi duszy świetnie wiedziała, że to nieprawda. Troszczył się o nią, a tego właśnie brakowało jej w życiu.

Bardzo.

## 13

Do Bettenshire dotarli w ciągu dwóch godzin. Gdy uszli zaledwie pół kilometra, *znaleźli* konia, co znacznie skróciło im podróż. Nathanowi kamień spadł z serca, gdy wreszcie ujrzał posiadłość, w której wychowała się Ariel.

- To zamek - zauważył.

- Rzeczywiście - przyznała.

Zeszli do domu ze wzgórze. Mimo że fasada budowli zniszczyła się z biegiem lat, żółte mury nadal wyraźnie odcinały się na tle popołudniowego nieba. Wzdłuż parteru i wyższych pięter ciągnęły się okna. Po drugiej stronie domu znajdował się przyszyżony w szachownicę trawnik. Wokół budynku rosły leciwe już drzewa.

- Piękny, prawda?

W jej oczach odbijała się jedynie duma, żadnej niechęci czy urazy. Stojące wysoko na niebie słońce nadawało jej czarnym lokom brązowego połysku. Oczy miała koloru bursztynu. Błyszczały z emocji, których nie potrafił określić. Ulga? Spokój? Nie był pewien.

- Moja matka powiedziała kiedyś ojcu, że najpierw zakochała się w tej posesji, a dopiero potem w nim. Znając ojca, wcale się nie dziwię. - Uśmiechnęła się.

- Jak się poznali? - zapytał niespodziewanie dla samego siebie.

- Jej rodzina rozbiła obóz w tej okolicy. Tam. - Wskazała dłonią na niewielkie wzniesienie po prawej stronie. - Mój ojciec właśnie wówczas uzyskał tytuł lordowski i był bardzo z siebie dumny. Co zresztą nie zmieniło się do tej pory. - Skrzywiła się. - Gdy usłyszał, że obozują tu Cyganie, postanowił ich stąd usunąć. - Popatrzyła na Trevaina. - Czy wyobraża pan sobie mojego ojca, późniejszego pierwszego lorda, jak biegnie nieuzbrojony na to wzgórze? Od służących dowiedziałam się, że matka zdziwiła się, iż nie przyniósł ze sobą srebrnej łyżki jako broni.

Nathan stał i patrzył jak zahipnotyzowany w jej błyszczące rozbawieniem oczy.

- Jak pan myśli, kogo zobaczył najpierw?

- Pani matkę? - zasugerował.

Wiedział, że nie powinien stać na wzgórzu ze swoją zakładniczką i rozprawiać z nią o jej rodzinie, ale nie potrafił przerwać tej rozmowy.

Ariel potrząsnęła głową i jeszcze raz powędrowała wzrokiem do miejsca, gdzie po raz pierwszy ujrzała się jej rodzice.

- Nie. Ojca mojej matki. Trzymał w ręce pistolet, którym celował prosto w serce ojca.

Nathan roześmiał się.

- Cyganie nie respektują prawa własności ziemi. Uważają ją za wspólne dobro. Mój dziadek nie zamierzał się łatwo poddać.

- Pani dziadek? - zdziwił się. Nie pomyślał, że Ariel może się przyznawać do swoich cygańskich krewnych.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Tak, mój dziadek. Zmarł pięć lat temu.

Zapadła cisza. Nathan zapragnął przywrócić poprzedni nastrój.

- Więc jak w końcu poznali się pani rodzice?

Ariel uśmiechnęła się lekko.

- Gdy ojciec zobaczył pistolet wymierzony w swoją pierś, zawrócił. I wtedy ją zobaczył. - Uśmiechnęła się szerzej. - Wchodziła na wzgórze z koszem pełnym kwiatów przewieszonym przez ramię. Ojciec powiedział, że gdy na nią spojrział, poczuł nieprzepartą chęć pocałowania jej. I zrobił to. - Zamilkła i spoważniała. - Po śmierci matki nigdy nie był już sobą. - Popatrzyła na Trevaina. - Wierzy pan w miłość od pierwszego wejrzenia?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

- Nie wiem - odparł bezwiednie.

Ariel pokiwała głową.

- Ja też nie wiem. - Posmutniała. - Moją matkę pochowano na tym wzgórzu. Rodzina ojca nie zgodziła się, żeby spoczęła w rodzinnym grobowcu. Mógł się nie zgodzić, ale jak często mówi, był wówczas zbyt załamany i rozbity. Musiał ją bardzo kochać. Czasem zastanawiam się, czy ojciec i ja bylibyśmy przyjaciółmi, gdyby matka nie zmarła. Myśli pan, że nie powinienam tak myśleć? To znaczy, córka powinna kochać ojca bez względu na to, jak on ją traktuje, prawda?

Nathanowi ścisnęło się serce. Ariel wyglądała na tak przejętą, a jednocześnie smutną, że zapragnął pogłaskać ją po policzku.

- Jak pan myśli? - nalegała, wpatrując mu się intensywnie w oczy.

- Że to nic złego.

- Dziękuję. - Uspokoiła się. - Oni wciąż jej nienawidzą.

- Kogo?

- Mojej matki. Ludzie przenieśli tę nienawiść na mnie, gdy tylko nadarzyła się okazja. Uważają, że jestem taka sama jak ona. Mam to we krwi i tak dalej.

Taka opinia rzeczywiście krążyła. Co gorsza, sam w nią wierzył, gdy się spotkali. Teraz jednak nie był już taki pewien.

- Ludzie boją się odmienności - odparł.

- O, tak. - Odetchnęła głęboko i chwyciła w palce rąbek sukni. - Dobrze, dosyć tych pogaduszek. Im szybciej przyjedziemy, tym szybciej odnajdzie pan brata.

Trevain spojrział na nią zdziwiony. Sprawiała wrażenie, jakby naprawdę chciała mu pomóc.

- Wiem, gdzie jest ukryty sejf ojca. - Uśmiechnęła się do niego łobuzersko. - Chyba nie powinnam panu o tym wspominać, ale jestem teraz w dobrym nastroju.

Nathan nie wierzył własnym uszom.

- Wie pani?

Ariel przytaknęła.

- I powie mi pani?

Znów pokiwała głową i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Trevain nie miał wątpliwości, że widok uśmiechniętej lady D'Archer pozostanie mu w pamięci na zawsze.

- Wiele spraw przemyślałam sobie, gdy stałam przywiązana do drzewa. W gruncie rzeczy nie miałam nic innego do roboty. - Skrzywiła się. - Tak czy inaczej, wtedy właśnie doszłam do pewnych wniosków. Musi pan jak najszybciej odnaleźć brata. Ja z kolei chcę, żeby mnie pan jak najszybciej uwolnił.

Wygląda na to, że w moim własnym interesie jest pomoc panu.

Nathan zaniemówił.

- Tylko musi mi pan obiecać, że mnie uwolni, gdy tylko zdobędzie potrzebne informacje.

Czy to podstęp? zastanawiał się. Nie wiedział, ale mimo to obiecał.

- Dobrze. - Odwróciła się w stronę domu. - Idziemy?

Trevain zamrugał, zaskoczony nagłą zmianą biegu wydarzeń.

*Nie pozwól, żeby cię zwiodła, Nathanie. Przypomnij sobie, co się stało, gdy ostatnim razem zaufałeś kobiecie.*

Zacisnęła zęby. Może Ariel teraz sprawiała wrażenie przychylniej mu, ale nadal była jego wrogiem.

I mogła go zdradzić tak samo jak kobieta, której zawdzięczał swoją bliznę.

Szybko zbliżyli się do domu. Nie wyszedł do nich żaden służący, najpewniej dlatego, że w domu pozostało ich zaledwie kilku do utrzymania porządku. Ariel sądziła, że ją to zirytuje, ale teraz, gdy postanowiła pomóc Trevainowi - dla dobra jego brata - było jej wszystko jedno. Bardzo cieszyła się z odwiedzin w domu rodzinnym.

- To było ulubione pomieszczenie mojej matki - powiedziała, gdy otworzyła drzwi do oszklonej słonecznej werandy.

Na szczęście nikt ich nie zamknął na klucz, chociaż nie wątpiła, że zamek nie zatrzymałby Nathana. Na ławce leżały małe grabki, obok nich wiadro z wo-



dą. W powietrzu unosił się zapach świeżo skopanej ziemi i intensywna woń kwiatów.

- Za mną - poleciała i dłonią wskazała kierunek.

Po drodze muskała palcami swoje ulubione rośliny, tu różyczkę, tam lilię. Wszystkie kochała, bo pielęgnowała je własnoręcznie.

Skierowali się do dębowych drzwi z nadzieją, że będą otwarte. Tym wyjściem służący opuszczali dom. Ariel westchnęła z ulgą, gdy udało jej się przekrócić klamkę. Powietrze z głębi budynku ochłodziło jej twarz. Na widok pokoju łzy napłynęły jej do oczu. Zielony pokój, ulubiony. Spędziła w nim niejedną noc, rozważając swój upadek.

Wysokie okna wychodziły na fasadę domu. Zielono-białe wnętrza. Kilka drobiazgów, które zgromadziła w ciągu ostatnich lat, na przykład miniaturowy portret matki, teraz zdobiący półeczkę nad kominkiem.

Ariel westchnęła z nostalgią i otworzyła szeroko drzwi. W nozdrza uderzył ją ostry różany zapach. Pochodził z jej kwiatowo-ziołowego bukietu.

- Co tak śmierdzi?

Ariel zeszywniała.

- Na pewno pańskie pachy - odgryzła się.

Trevain zmarszczył brwi i mruknął pod nosem coś równie niepochlebnego. Ariel zignorowała go. Była w domu i nawet jego uszczypliwe uwagi nie mogły zepsuć jej humoru.

Prowadząc go, omijała zielono-beżowy chodnik. To przyzwyczajenie pozostało jej z dzieciństwa.

*Hałasujesz, chodząc po tej podłodze. Będziesz sama sprzątała, jeśli naznosisz błota z werandy.*

Odwróciła się, żeby spojrzeć na Trevaina. On

w tym momencie patrzył na podłogę. Oczywiście pozostawił za sobą ogromne czarne ślady. Ariel przystanąła i wskazała na nie ręką.

- Ooo. Niech pan zobaczy, co pan narobił.

- Przepraszam - odparł ironicznie. - Następnym razem, gdy będę kogoś porywał, na pewno wytrę nogi.

- Służący będą panu wdzięczni.

Skłonił się żartobliwie.

- Czego tylko pani sobie życzy.

Ariel pokręciła z rezygnacją głową i otworzyła następne drzwi.

Lokaj John o mało nie podskoczył do góry ze strachu.

- Pani wróciła! - krzyknął i przycisnął ręce do piersi. Chodnik, który niósł, upadł na podłogę.

Ariel uśmiechnęła się, chociaż wiedziała, że musi okropnie wyglądać z potarganymi włosami i w pomiętej sukni koloru burgunda.

- Johnnie, przepraszam cię bardzo. Nie chciałam cię przestraszyć.

- Ależ nie przestraszyła mnie pani. - Zmarszczył brwi. - To znaczy, przestraszyła, bo nie spodziewałem się, że wyjdzie pani z tego pokoju. Kiedy pani przyjechała?

Było to wścibskie pytanie i wiele kobiet skarciłoby służącego za zadanie go, ale nie Ariel. Służący w Betenshire należeli do jej nielicznych przyjaciół. Większość z nich znała od dziecka.

- Dopiero przyjechaliśmy, Johnnie. Nasz... powóz zepsuł się po drodze. Razem z moim towarzyszem ostatnie kilka mil przebyliśmy na piechotę.

- Na piechotę! - wykrzyknął służący.

Ariel przytaknęła i popchnęła Nathana do przodu.

- To pan Nathan Trevain, mój narzeczony.

Kłamstwo przyszło jej bardzo łatwo. Stwierdziła, że nie ma sensu dawać służbie powodów do plotek. Zresztą chyba lepiej, jeśli towarzyszył jej narzeczony niż kochanek, jak zapewne by pomyśleli.

- Pani narzeczony! - John nie potrafił ukryć zdziwienia. - Chciałbym więc złożyć najserdeczniejsze gratulacje. Wszyscy wiedzieliśmy, że wcześniej czy później ktoś zrozumie, jakim jest pani skarbem. - Uśmiechnął się do Nathana.

Ariel tymczasem spoważniała.

- Dziękuję, Johnie. Teraz, jeśli pozwolisz, chciałybym zaprowadzić pana Trevaina do jego pokoju.

- Ja mogę to zrobić.

- Nie, nie - odparła szybko. - Sama się tym zajmę.

W gruncie rzeczy chciała jak najszybciej gdzieś się ukryć. Co za upokorzenie, służący jej współczuli.

- Czy mam posłać kogoś po powóz?

- E... nie. My już... posłaliśmy kogoś po niego.

- Dobrze, proszę pani.

Uklonił się, gdy przechodzili. Nathan odezwał się dopiero wtedy, gdy doszli do schodów.

- Świetnie pani poszło - powiedział.

Ariel zaczerwieniła się zawstydzona. Była wściekła, że Trevain słyszał tę wymianę zdań.

- Dziękuję, panie Trevain. Pańska pochwała znaczy dla mnie bardzo wiele.

Nawet jeśli zauważył jej sarkazm, nie dał tego po sobie poznać. Również nie skomentował uwagi służącego o braku zainteresowania jej osobą ze strony mężczyzn.

- Dokąd idziemy? - spytał natomiast.

Na piętrze skręcili w lewo.

- Na strych.

- Na strych? - powtórzył zdziwiony.

- Tak. Tam jest ukryty sejf.

Długo wspinali się po schodach. Mijali opustoszałe teraz pomieszczenia. Nastrój Ariel poprawiał się z minuty na minutę. Była w domu. Nieważne, że została porwana, że ubranie miała całe w strzępach. Wkrótce Trevain ją wypuści, jeśli oczywiście dotrzyma słowa. Musiała tylko zdobyć informacje, których potrzebował.

Nie chciała nawet myśleć, co się stanie, jeśli ich nie znajdzie.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła wreszcie z ulgą. - Schody są wąskie, proszę uważać.

Otworzyła drzwi na strych. Wewnątrz panował półmrok i zaduch.

Zapaliła lampę, jasnożółty płomień oświetlił wąskie schody.

- Zaraz się pan przekona, że nasze stopnie nie rospadają się pod stopami.

Stała na jednym, żeby zademonstrować ich trwałość. Trevain zignorował ten przytyk, a szkoda, bo Ariel bawiła się coraz lepiej. Uniosła spódnicę i ostrożnie zaczęła wchodzić na górę. Gdy była mała, często wspinała się na szczyt schodów z sankami i z zawrotną prędkością zjeżdżała w dół. Zabawa skończyła się pewnego dnia, gdy przyłapała ją guwernantka. Uśmiechnęła się na widok wgłębień wyżłobionych płozami.

- Boże, bardzo tęsknię za domem.

- Ja też - odparł.

Ariel zeszywniała. Jak strasznie musi być opuścić ukochany dom, by szukać brata. Do tej pory nie zastanawiała się nad sytuacją Nathana. Postanowiła mu pomóc z własnych egoistycznych pobudek, mimo że w głębi duszy buntowała się przeciwko pomaganiu komuś, kto ją nikczemnie wykorzystał. Co prawda powinna czuć się lepiej, bo spełniała dobry uczynek, ale ból, który sprawił jej Trevain, był wciąż zbyt dotkliwy.

Na podłodze strychu walały się stare ubrania. Odetchnęła z ulgą, gdy spostrzegła to, czego szukała: potężną, dębową szafę, która musiała przysporzyć sporo kłopotów przy wnoszeniu na górę. Postawiła lampę na podłodze i ruszyła w stronę ściany, przy której stał mebel.

Tworzyło ją osiem nachodzących na siebie płyt. Ariel położyła dłoń na jednej z nich. Były złączone luźno, ale nie na tyle, żeby się rozstać. Ariel na szczęście wiedziała, w jaki sposób należy je przesunąć. Górną płytę podsunęła do góry, a potem odchyliła niższą. Płyta wypadła i Ariel położyła ją na podłodze. Potem wyjęła następną, aż ich oczom ukazał się wierzch jakiegoś metalowego przedmiotu. Sejfu, jak zorientował się Nathan.

- Niech mnie licho porwie.

- I pewnie pana porwie, ale nie będziemy teraz dyskutować o pana duchowych rozterkach.

Gdyby się odwróciła, zobaczyłaby, że Trevain skrzywił się z niesmakiem. Jednak wyraz jego twarzy zmieniał się w miarę, jak Ariel odsłaniała coraz większą powierzchnię sejfu. Sam nigdy by go nie odnalazł. Ze zdenerwowania spociły mu się dłonie. Modlił się, żeby informacje, których potrzebował, były w środku.

- Umie pani otworzyć zamek?

- Oczywiście - odparła.

Drzwiczki otworzyły się ze zgrzytem. Wewnątrz sejfów znajdowały się dokumenty. Żadnej biżuterii, tylko papiery. Nathan wstrzymał oddech. Ariel wyjęła dokumenty.

- Proszę mi je oddać.

- Nie.

- Słucham? - zdziwił się.

- Powiedziałam, nie. Chcę je sama najpierw przejrzeć. Przecież nie ma powodu, aby oglądał pan coś, co nie dotyczy pańskiego brata.

Trevain nie wierzył własnym uszom. Jak ona mogła mu się sprzeciwić? Zmrużył oczy.

- Niech mi pani odda dokumenty.

- Nie.

- Ariel - ostrzegł ją i ruszył w jej kierunku.

Rzuciła mu spojrzenie, w którym udało jej się wyrazić i pogardę, i irytację.

- Dobrze więc. Proszę.

Zamaszystym ruchem podała mu dokumenty. Wy-rwał je z jej ręki.

- Dziękuję - mruknął.

Ariel zignorowała go i przysiadła na kufrze. Nathan z zapałem wziął się do przeglądania papierów. Na wierzchu znalazł listę nazwisk żołnierzy, którzy mieli dostać awans. Gdy jednak sprawdził pozostałe dokumenty, okazało się, że są to jedynie rachunki lorda i kilka listów. W sejfie była też torba ze złotem.

Miał ochotę rzucić wszystko na ziemię.

- Widzę, że nic pan nie znalazł.

- Nie - warknął.

Ariel sprawiała wrażenie równie rozczarowanej jak on.

- Może powinniśmy przeszukać gabinet ojca.

Tak też zrobili. Nathan zdziwił się, że Ariel tak chętnie mu pomagała. Nie rozumiał jej pobudek, ale był wdzięczny za to, co dla niego robiła. Niestety, niczego nie znaleźli.

- Niech to szlag trafi - rzucił wściekły.

- Nic? - spytała cicho.

- Nic - odparł.

- Przeszukał pan nasz dom w mieście?

- Bardzo dokładnie, z wyjątkiem jednego pokoju. - Tego, w którym stały tylko butelki wina.

Wess, Wess, czyżbym cię zawiódł? zastanawiał się. Nie znał odpowiedzi na to pytanie, wiedział jedynie, że *czas ucieka. Z każdym mijającym dniem szansa, że odnajdzie brata żywego, malała.* Tak naprawdę Wess mógł już nie żyć.

Odwrócił się do okna. Zapadał zmrok. Słońce malowniczo zabarwiało horyzont. Zastanawiał się, czy Wess patrzył na ten sam zachód, czy też więziono go na jakimś statku, a jego dni były policzone? Zaklął.

- Nathanie, czy nic panu nie jest?

Dopiero teraz zorientował się, że walnął pięścią w ścianę. Spojrzył na swoją dłoń. Z kostek ciekła mu krew.

- Boże - jęknęła. - Pan krwawi. - Podeszła do niego. - Tutaj - poinstruowała go i, trzymając za łokieć, zaprowadziła do łóżka ojca.

Emocje wyparowały z niego i bezwolnie poddał się jej poleceniom. Nie przejmował się, że nadal była jego wrogiem i musiał ją więzić jako zakładniczkę. Nic się nie liczyło - tylko to, jak teraz odnajdzie Wessa.

f

- Proszę mi podać rękę.

Ariel nie wiadomo skąd wzięła kawałek materiału. Przycisnęła mu go do ran. Skrzywił się z bólu, ale wiedział, że na niego zasłużył. Była to kara za to, że zawiódł.

- Więc pan bardzo się martwi o brata?

Kłęczała przed nim, ciemne włosy opadały jej na ramiona.

- Każdy dzień może być jego ostatnim. Być może dziś już nie żyje.

Ariel nie okazała obawy o własny los.

- Skąd pan wie? - spytała.

- Bo rozmawiałem z ludźmi, których uwolniono. W czasie wojny jeńców utrzymywano przy życiu. Teraz gdy wojna się skończyła, nikomu na nich nie zależy. Bardziej nawet opłaca się ich zabić, bo nie trzeba ich dłużej karmić.

Ariel milczała. Patrzyła na niego ze współczuciem w oczach. Nathan powiedział sobie, że nie zależy mu na jej litości i że powinien ją odepchnąć.

- Czy naprawdę sytuacja jest aż tak zła?

- Tak, Ariel - westchnął, pragnąc jedynie zamknąć oczy. - Angielscy kapitanowie są wyjątkowo brutalni. Widziałem, jak walczyli z partyzantami...

Ariel odwróciła wzrok.

- Wiem - odezwała się ochrypłym głosem. - Słyszałam różne opowieści.

- Naprawdę?

Przytaknęła.

- Nie wychodziłam co prawda z domu, ale do ojca przyjeżdżali goście. Słyszałam, jak traktuje się jeńców. Pod tym względem wstyd mi za swoich rodaków.

Nathan spojrzał na nią z niedowierzaniem. Nie-



wątpliwie mówiła szczerze. Uświadomił sobie, że mógł się mylić co do jej charakteru.

- Bardzo mi przykro, Nathanie, naprawdę. Może i jest pan łotrem, ale nikt nie zasługuje, aby spotkała go taka tragedia.

Po raz pierwszy Trevain pomyślał, że Ariel różniła się od innych kobiet. On ją nikczemnie wykorzystał, porwał, a oto ona klęczy przed nim, a w jej oczach błyszczy łzy smutku. Z jego powodu.

- Chodź do mnie.

Te słowa wypowiedział jego rozum, ciało i serce. Ku jego zdziwieniu Ariel posłusznie usiadła obok niego na łóżku. Wiedział, że powinien się odezwać, nie tylko wpatrywać się w nią. Palcem uniósł jej brodę. Wiedział, że to, co zamierza zrobić, jest szaleństwem, czystym szaleństwem, ale nie potrafił się powstrzymać. Może sprawiło to poczucie osamotnienia, a może zrozumienie, które dostrzegł w jej spojrzeniu. Chciał ją pocałować.

Pochylił głowę i przekonał się, że Ariel odgadła jego zamiary. Zauważył w jej oczach przyzwolenie, a nawet oczekiwanie. Musnął ustami jej wargi. Poczł się, jakby z piekła dostał się prosto do nieba. Nawet jeśli dręczyły go wątpliwości, zignorował je. Pragnął jedynie oddać się emocjom, które wywoływała w nim bliskość Ariel.

Mimo to rozsądek kazał mu odsunąć się od niej.

- Och, Ariel - szepnął. - Jest pani najbardziej zagadkową kobietą, jaką znam, i z jakiegoś powodu pożądam pani.

- Naprawdę? - wymruczała.

Jej słodki, gorący oddech łaskotał mu wargi. Człł

jej wyjątkowy, kuszący zapach, od którego kręciło mu się w głowie.

Znów ją pocałował. Jestem szalony, pragnąc tej kobiety i folgując swemu pragnieniu, myślał.

- Jaka gładka - szepnął, całując jej szyję. - I delikatna. - Wsunął dłonie w jej włosy i przesunął usta jeszcze niżej. - Kusząca.

- Nathanie? - spytała cichym, błagalnym głosem. - Nie powinniśmy.

- Powinniśmy - odparł i przycisnął usta do nasady jej szyi. Najchętniej zdjąłby jej suknię. Przesunął wargi po materiale, jakby to była skóra. Skubał ją lekko i kąsał.

- Och, Nathanie. To takie... takie...

- Przyjemne? - odpowiedział.

Raczej niewłaściwie, pomyślała Ariel. Właściwie i niewłaściwie jednocześnie. Tak kuszące, że nie była w stanie rozsądnie reagować. Poddała się więc urokowi chwili, choć zdawała sobie sprawę, że nauczona własnym gorzkim doświadczeniem powinna go odepchnąć. Tymczasem usta Trevaina zsunęły się niżej. Jęknęła i mocno przycisnęła jego głowę do piersi, dając mu tym do zrozumienia, że pragnie, aby kontynuował pieszczoty. Skan Anula43, przerobienie pona.

Dzięki nim czuła się piękna i pożądana. Po raz pierwszy od lat przestała się martwić, że jest wyrzutkiem społeczeństwa. Ktoś jej pragnął.

A ona jego.

Jęknęła i otworzyła oczy. Patrzyła na kruczoczarne włosy Nathana, bliznę na policzku, wargi, które ją całowały. Chyba wyczuł jej spojrzenie, bo nie odrywając ust od jej piersi, podniósł do góry wzrok. Ariel zapragnęła dotknąć jego twarzy, przesunąć pal-

cami wzdłuż blizny, zanurzyć je w jego włosach. Uniosła dłoń. Nathan zmrugał oczy, gdy go dotknęła. Blizna była szorstka. I miękka. Ogarnęło ją współczucie, gdy pomyślała, jak bardzo musiała go boleć ta rana, kiedy mu ją zadano. Łzy napłynęły jej do oczu, ale nie były to łzy litości, tylko rozkoszy. Nie mogła uwierzyć, że Trevain doprowadzał ją do takiego stanu swoim dotykiem. Niestety, był szpiegiem, który mógł wykorzystywać ją do swoich celów.

- Dosyć - wykrztusiła w końcu. - Proszę przestać.

Odsunął się i zamrugał. Wzrok miał tak samo zamglony jak ona. Może ze względu na jej zażawione oczy, może ze względu na błagalny ton, w każdym razie wyprostował się i odsunął.

- Przepraszam - powiedziała, choć nie wiedziała, za co przeprasza.

Trevain potarł dłonią twarz i odwrócił wzrok. Wstał i podszedł do okna.

- Nie, to ja przepraszam. Nie powinienem był pani całować.

Ariel wygładziła suknię, wdzięczna, że jej posłuchał. Przyszło jej do głowy, że gdyby rzeczywiście chciał ją wykorzystać, nie przerwałby pieszczot. Uwiódłby ją i uzależnił od siebie. Zrobiłby to z łatwością.

- Nathanie, ja...

- Nie - przerwał jej i podniósł dłoń. Miał na niej szeroką szramę. - Proszę nic nie mówić. - Zamilkł na chwilę, żeby zebrać myśli. - Nie powinienem był pani porywać - odezwał się w końcu, pocierając brodę. - Źle zrobiłem, mieszając panią w swoje sprawy. Bardzo tego żałuję. Mam nadzieję, że rozumie pani, dlaczego to zrobiłem.

- Rozumiem - odparła zgodnie z prawdą. Sama postąpiłaby podobnie w jego sytuacji. I stosowałaby podobne wybiegi.

- Ale to nie zmienia faktu, że potrzebuję pani pomocy bardziej niż kogokolwiek innego w życiu.

Ariel milczała. Czuła, że chciał powiedzieć coś więcej. Miała rację, bo po chwili spojrzął na nią proszącym wzrokiem.

- Potrzebuję pani pomocy, Ariel D'Archer. Błagam, żeby mi pani pomogła. Mnie i mojemu bratu.

Ariel ścisnęło się serce. Po raz pierwszy odkąd się poznali, była absolutnie pewna, że Nathan mówi prawdę. Uświadomiła sobie, że stanęła przed ważnym wyborem. Mogła udać, że bierze jego stronę i przy najbliższej okazji wydać go żołnierzom. Nie byłaby wówczas w stanie patrzeć na siebie w lustrze. Mogła też pomóc mu odnaleźć brata.

Niespodziewanie dla samej siebie zrozumiała, że wcale nie ma wyboru.

- Pomogę panu odnaleźć brata, Nathanie. Zrobię dla was wszystko, co w mojej mocy.

# CZEŚĆ CZWARTA

Lepszy otwarty wróg niż fałszywy przyjaciel.

Siedemnastowieczne przysłowie

W ładowni na statku panował półmrok. Chłodne powietrze nie przynosiło ulgi ranom Wessa. On sam cieszył się z ciemności, bo dzięki niej nie musiał patrzeć na to, czym się stał. Po wysiłku, z jakim siadał na podłodze, domyślił się, że najpóźniej jutro w rany wda się zakażenie.

- Wszystko w porządku, kapitanie?

Wess nie od razu uświadomił sobie, że ktoś się odezwał. Gdy nieco doszedł do siebie, z trudem wykrztusił zaledwie jedno słowo.

- Tak.

W ładowni był z nim Jaime. Zielonooki, rudy Jaime, który wystąpił w jego obronie, gdy Wessa ciągnęli pod pokład, i w rezultacie podzielił jego los.

Boże, jak to się stało, że wpakował swoją załogę w takie kłopoty? Nie powinien był płynąć za tą fregatą, ale myślał wówczas, że towarzyszący jej statek zatonął. Inaczej co by w pojedynkę robiła na otwartym oceanie? Za późno zorientował się, że to zasadzka. Na samą myśl ogarnęła go ta sama wściekłość, która kazała mu uciekać bez względu na konsekwencje.

- Słyszałem, że wkrótce mają zawinąć do portu.

Wess słyszał strach w głosie swojego byłego porucznika.

- Podśluchałem rozmowę załogi. Przypuszczają, że sąd wojenny odbędzie się na lądzie.

Wkrótce, pomyślał Wess. Ciekawe, jak długo dokładnie? Kilka dni? Tydzień? Czy przeżyje tak długo?

Na statku infekcje zabijały szybko. Jeśli nie złapało się jej od innego człowieka, były jeszcze zarazki.

- Jaime - wycharczał. - Jeśli nie przeżyję, znajdź mojego brata.

- Nie. Niech pan tak nie mówi, kapitanie. Nie po to wytrwaliśmy tak długo, żeby pan nam teraz umarł. Wojna się skończyła. Wygraliśmy. Nie mogą nas tu wiecznie więzić.

Młody, zapalczywy Jaime. Nie rozumiał, że Anglicy ich nie wypuszczą. Kapitan nie ukrywał swojego rozgoryczenia spowodowanego przegraną. Niewątpliwie na nich wyładowuje swoją złość. Dlatego właśnie Wess próbował uciec. Wiedział, że będą chcieli go zabić. Chociaż za dezercję nie karano śmiercią, Wessa powieszą, bo w czasie pościgu za nim zginął angielski oficer. Nieważne, że sam był sobie winien. Nie żył i to wystarczało, żeby wymierzyć karę Wessowi.

- Jaime - zaczął znowu. - Powiedz mojemu bratu Nathanowi...

Przerwał mu szcęk otwieranych drzwi. Światło latarni oświetliło ponure wnętrze przygotowanej naprędce celi. Wess kątem oka dostrzegł bladą twarz Jaime'a, zanim spojrzął na kapitana Pike'a.

- Wciąż przytomny? - spytał kapitan. - Muszę przyznać, że jestem zdziwiony.

Nieważne, że każde słowo wywoływało w Wessie spazmy przeszywającego bólu. Wolałby zostać wy-

rzucony za burtę, niż okazać słabość przed tym nikczemnikiem.

- Chodź tu i daj mi szpadę - warknął - a wbiję ci ją między żebra.

Do arystokratycznej twarzy Pike'a wyraz szyderstwa nie pasował zbyt dobrze.

- Widzę, że chłosta nie wpłynęła korzystnie na twój parszywy charakter.

- Pańskie pochodzenie natomiast nie wpłynęło korzystnie na pańskie maniery.

Pike zmrużył oczy. Machnął ręką, nakazując stojącemu za nim marynarzowi wejść do środka. Wessa ogarnęła satysfakcja, że udało mu się wyprowadzić z równowagi prześladowcę, ale nie pozostało po niej ani śladu, gdy mężczyzna chwycił Jaime'a za ramiona.

- Dokąd go zabieracie?

- Zostanie wychłostany. Ten młody człowiek musi zrozumieć, że jego lojalność wobec ciebie jest zupełnie nie na miejscu. Na moim statku ma służyć mnie i nikomu innemu.

Wess chciał skoczyć na równe nogi i rzucić się do gardła tej bezczelnej świni. Boże, jak bardzo tego pragnął. Niestety, samo siedzenie, oddychanie i pozostawanie przytomnym wymagało od niego ogromnego wysiłku.

- On tylko próbował mnie bronić.

- Lepiej zrobi, broniąc siebie samego.

- Kapitanie - rzekł tylko Jaime.

Pike odwrócił się do niego.

- Ja jestem teraz twoim kapitanem, chłopcze.

W odpowiedzi Jaime wyprostował się.



- Pan nigdy nawet w połowie nie będzie tak wartościowym człowiekiem jak kapitan Trevain.

Wess myślał, że Pike uderzy chłopca, ale ku jego zdziwieniu Anglik odprawił go jedynie machnięciem ręki. Wess patrzył za nim z dumą. Gdy Jaime zniknął za drzwiami, przeniósł wzrok na Pike'a. Bezwiednie zacisnął pięści. Przysiągł sobie, że pewnego dnia zabije tego człowieka. Pike uosabiał wszystkie te cechy, których Wess nienawidził w Anglikach. Przede wszystkim miał władzę, którą dało mu pochodzenie, a nie zasługi. W dodatku niecnie ją wykorzystywał.

Gdy Jaime zniknął, Pike popatrzył na Wessa. Ten wyprostował się, choć o mało nie przyplącił tego ruchu utratą przytomności.

- Stwierdziłem, że powinieneś dowiedzieć się z pierwszej ręki, że wkrótce zawiniemy do portu.

Wess nie dał po sobie poznać, że wie o tym.

- Posłałem już wiadomość, że będzie musiał się odbyć sąd wojenny. Najpóźniej za trzy dni cię powieszają.

- Nie mogę się doczekać - wychrypiał Wess ostatkiem sił, które raptownie go opuszczały.

Pike musiał to zauważyć, bo rozbłysły mu oczy.

- Nigdy nie złamałbym przepisów Kodeksu Wojennego, choćbym nawet i chciał. Nie, postąpię zgodnie z prawem, a ono stanowi, że o twoim losie musi zdecydować pięciu oficerów, mimo że ostateczna decyzja jest z góry wiadoma.

Słabnący Wess nie był w stanie odpowiedzieć, ale Pike uznał jego milczenie za wyraz krnąbrności.

- Powiniennem był pozwolić zatonać tobie i twojej załodze, Wessie Trevainie. Jesteś hańbą dla szlacheckiego rodu, którego krew płynie w twoich żyłach.

Wess drgnął i jęknął z bólu.

- O, tak. Wiem, kim jesteś. Twoje podobieństwo do stryja jest uderzające. Nazwisko też masz rzadko spotykane. - Podszedł bliżej. - Brzydzą mnie twoje poglądy. Gdyby to zależało ode mnie, już byście wszyscy wisieli. Ale tak czy inaczej w końcu to się stanie.

Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł. Wess patrzył za nim z nienawiścią. Poprzysiągł sobie, że to nie on skończy na szubienicy. Nie on.

## 15

Ariel postanowiła pomóc Nathanowi i wiedziała, że nie spocznie, dopóki nie ustalą planu odnalezienia Wessa. Niestety, Trevainowi nie podobał się żaden z jej pomysłów.

- Przecież już się włamałem do siedziby Admiralicji - powiedział. - Nie, musi być jakiś inny sposób.

- Ale przecież te informacje muszą się tam znajdować. Po prostu muszą.

Nathan wzruszył ramionami.

- Niewątpliwie, ale nie damy rady dokładnie przeszukać tego miejsca.

Zaczął przechadzać się po pokoju. Ariel patrzyła na niego i cały czas czuła na ustach smak jego warg. Starła się jednak nie myśleć o tym ani o swojej reakcji na jego pieszczoty.

- Może jednak istnieje jakiś sposób - powiedziała w końcu.

Nathan odwrócił się do niej.

- Jaki?

- Reggie.

- Reggie? - powtórzył.

- Mąż mojej kuzynki Phoebe. Poznali się przez mojego ojca, bo Reggie pracuje jako sekretarz w Admiralicji.

Trevain rozważał przez chwilę tę propozycję, po czym potrząsnął głową.

- Nie, nie podoba mi się ten pomysł. Musielibyśmy mu zaufać, a ja jakoś nie ufam angielskim oficerom.

- Po pierwsze, Reggie nie jest oficerem, a po drugie, nie mamy wyjścia. Sam pan powiedział, że liczy się każdy dzień. Naprawdę nie widzę innego sposobu na zdobycie informacji. Moglibyśmy ewentualnie pocze-kać na powrót mojego ojca. On by nam powiedział.

- Tak się pani wydaje.

- Nie, ja to wiem. Może mnie nie lubi, ale jest honorowym człowiekiem. Nie ma go jednak z nami, więc pozostaje nam tylko Reggie. Nikogo nie zdziwi jego obecność w budynku Admiralicji.

Trevain mimo wszystko nie wydawał się zachwycony tym pomysłem. Jeszcze raz przeszedł się po pokoju z rękami założonym z tyłu. Wyglądał groźnie. Ariel przyłapała się na myślach, które były zupełnie nie na miejscu w tej sytuacji, i szybko przywołała się do porządku.

- Niech pan da spokój - zaczęła go przekonywać. - Przecież to bardzo rozsądny pomysł.

- Rozsądny? - Odwrócił się do niej gwałtownie. - Myśli pani, że to rozsądne prosić lorda Sarringtona, żeby mi pomógł? Mnie, zdrajcy, który porwał jego kuzynkę?

Ariel machnęła lekceważąco ręką. Ci mężczyźni. Czasem nie rozumieją oczywistych spraw.

- Reggie zrobi to, o co go poproszę. - Szczególnie gdy mu przypomni, że jest jej winien przysługę. - Nie musi pan wiedzieć więcej.

Nathan skrzyżował ramiona na piersi.

- To idiotyczny pomysł.
- Nieprawda. Zaraz wyślemy do niego liścik.
- Liścik? A co w nim pani napisze? Poprosi go, żeby przybył pani na ratunek?

Ariel wstała z kufra i wzięła się pod boki.

- Nie. Wyjaśnię mu sytuację.

Trevain utkwiał w niej uporczywy wzrok. Ariel odwróciła się i od razu poczuła się lepiej. Z jakiegoś powodu Nathan zupełnie wytracał ją z równowagi.

- Dokąd pani idzie?

- Na dół pokazać się służbie, a potem napisać liścik do Reggiego. Nie mamy czasu na kłótnie.

- Odkąd pani i ja to „my”? - mruknął.

Ariel przyznała w duchu, że było to trudne pytanie.

John musiał powiedzieć pozostałym o jej nagłym przybyciu, bo żaden ze służących nawet nie mrugnął okiem na jej widok. No, może trochę się zdziwili. W końcu była samotną kobietą, która podróżowała z obcym mężczyzną. Na szczęście służbę odpowiednio wyszkolono i nawet jeśli plotkowali o Ariel za jej plecami, w jej obecności zachowywali się nienaganie, szczególnie że dała im do zrozumienia, iż uciekła z Nathanem, żeby wziąć ślub. Na pewno wszyscy mieli nadzieję, że ten narzeczony dotrzyma słowa.

Teraz byli w jej ulubionym salonie. Nathan stał przy kominku. Ramieniem opierał się o półeczkę w typowej męskiej pozie. Chyba uczą się tego w klubach dla mężczyzn, pomyślała Ariel. „Jak sprawiać wrażenie inteligentnego mężczyzny w towarzystwie dam”. Musiała przyznać, że Trevain wyglądał bardzo

męsko. Po kolacji odświeżył się, podobnie jak ona. Założyła lekką zieloną suknię. Na szczęście duża część jej garderoby pozostała w domu na wsi. Włosy natomiast miała rozczochrane - jak zwykle zresztą - podczas gdy Nathan uczesał się elegancko. Nawet jego podniszczony płaszcz wyglądał na czystszy niż wcześniej. Pięknie leżał na jego szerokich ramionach.

Niech to licho, ich pocałunek zupełnie wytrącił ją z równowagi. Całował ją już przecież wcześniej, ale nie z takim całkowitym... czym?

Oddaniem, uświadomiła sobie. Całował ją z oddaniem i namiętnością.

Boże, pomóż mi zachować rozsądek, pomyślała.

Trevain znów zaczął przechadzać się po pokoju.

- Przestanie pan wreszcie? - spytała. - Denerwuje mnie pan.

Prawdę mówiąc, gdy spacerował, nie sposób było oderwać wzroku od jego zgrabnej sylwetki.

- Powinien już tu być.

- Wiem.

- Na pewno spóźnia się, bo przygotowuje na mnie obławę.

Ariel potrząsnęła głową.

- Nie, Reggie tego nie robi.

- Chciałbym być tego równie pewny.

- Nie przyniesie też pistoletu, żeby pana zastrzelić.

- To się dopiero okaże.

Rzeczywiście, przyznała w duchu Ariel. Bała się, że przypomnienie o przysłudze, którą był jej winien Reggie, nie skłoni go do spełnienia jej prośby. Z każdą minutą denerwowała się coraz bardziej. A jeśli

Reggie przybędzie uzbrojony? Jeśli zaraz w domu zjawi się grupa żołnierzy, którzy pojną Nathana?

W tym momencie na podjeździe rozległ się tętent kopyt.

Znieruchomiała. Trevain też wstrzymał oddech.

Gdy ochłonęli, razem podbiegli do okna. W świetle księżycy dostrzegli, że do posesji w zawrotnym tempie zbliżał się samotny jeździec. Na czarnych bokach konia lśniły płaty białej piany.

- To Reggie.

- Skąd pani wie?

- Poznałam po koniu.

Skierowała się do drzwi.

- Dokąd się pani wybiera?

- Jak to dokąd? Przywitać go.

Nathan położył jej dłoń na ramieniu. Tym razem jego dotyk był naprawdę delikatny.

- Nigdzie pani nie pójdzie.

- A dlaczego... Och! - jęknęła, gdy dostrzegła w jego ręce pistolet. - Skąd pan go wziął?

- Od służącego - odparł.

- Co pan zamierza z nim zrobić?

- Co prawda na razie jestem zmuszony pani zaufać, ale nie dam się przekonać, aby tym uczuciem obdarzyć pani kuzyna. On również może mieć broń. Kto wie, czy niedaleko stąd nie czeka na mnie grupa uzbrojonych żołnierzy.

- Czyli zamierza pan potraktować mnie jako zakładniczkę, dopóki nie wyjdą na jaw zamiary Reggiego? To mu się na pewno nie spodoba.

- Nie jestem głupcem, lady D'Archer. Nie będę ryzykował utraty wolności albo pani.

Dziwne, ale jego słowa i wzrok sprawiły, że znów poczuła się potrzebna. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

Nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem.

W progu stał Reggie. Brązowe włosy miał zaczesane na jedną stronę. Podróżna peleryna opływała go jak fale molo. Brązowe oczy natychmiast wypatrzyły ją zza niewielkich okularów.

- Ariel - powiedział. - Dzięki Bogu, nic ci się nie stało.

Kobieta rzuciła Nathanowi pełne wyższości spojrzenie, spostrzegła przy okazji, że schował pistolet, i rzuciła się kuzynowi w objęcia.

- Reggie, dziękuję, że przyjechałeś.

Mężczyzna odsunął się.

- W co ty się wpakowałaś? - spytał, potrząsając ją za ramiona. - Najpierw Phoebe mówi mi, że zaręczyłaś się z tym człowiekiem, potem twierdzi, że cię porwał, bo nie wróciłaś na noc do domu.

Ariel zerknęła na Nathana. Spojrzenie Reggiego powędrowało za jej wzrokiem. Wyczuła, jak napiął wszystkie mięśnie.

Wydostała się z jego ramion i odwróciła do Trevaina.

- Reggie, to jest pan Nathan Trevain, przybył niedawno z kolonii amerykańskich.

Obaj mężczyźni stali niewzruszeni. Ariel chwyciła dłoń Reggiego i pociągnęła go w stronę Nathana. Zatrzymała się kilkanaście centymetrów od Trevaina.

- Panie Trevain, to jest mój kuzyn, Reggie Whittfield, lord Sarrington.

Nathan ukłonił się. Reggie zacisnął pięść i uderzył nią Trevaina w szczękę.



- O Boże! - krzyknęła Ariel.

- To - oznajmił Reggie - za to, że wystraszył pan moją żonę, kobietę, którą kocham nad życie.

Nathan nawet nie drgnął, mimo że na jego policzku wykwitła czerwona plama w miejscu, gdzie trafiła pięść Reggiego. Ariel nie wierzyła własnym oczom, bo Trevain powinien teraz leżeć na podłodze.

- Jak widzę, maniery angielskiej arystokracji nie poprawiły się ani trochę.

- Maniery, ty łotrze - wycodził Reggie i potrząsnął pięścią. - Porwał pan kuzynkę mojej żony. Powiniennem być wziąć ze sobą pistolet, żeby się z panem policzyć, ale Ariel mi nie pozwoliła.

- Dostyc tego - wtrąciła się Ariel. - Zachowujcie się poważnie. Reggie, przyjechałeś tu, żeby nam pomóc, a nie rzucać wyzwiskami. Nathanie, Reggie ma prawo być zły. Jeśli się pan nad tym zastanowi, sam pan to przyzna.

Żaden z mężczyzn niczego nie przyznał. W milczeniu mierzyli się wzrokiem. Ariel zawsze bardzo lubiła Reggiego, ale teraz pokochała go jeszcze mocniej. Kto by pomyślał, że tak bardzo kochał Phoebe, że odważył się uderzyć kogoś w twarz z jej powodu. Mój Boże, gdybym ja znalazła takiego mężczyznę, westchnęła z rozrzewnieniem.

- Tak jest znacznie lepiej - powiedziała, gdy zorientowała się, że będą tak stali do rana, jeśli im nie przerwie. - Reggie, dziękuję, że przyjechałeś.

Kuzyn odwrócił się do niej.

- Nie ma za co, chociaż chętnie bym ci złoił skórę za to, do jakiego stanu doprowadziłaś Phoebe. Bała się donieść sędziemu o twoim zniknięciu, bo przy-

puszczała, że mogłaś uciec z tym człowiekiem i wziąć z nim ślub.

Ariel przygryzła wargi. O mało nie skrzywiła się na widok wyrazu twarzy Reggiego. Tak samo wyglądał, gdy przystała na propozycję Phoebe i pojechała z nią do Londynu. Reggie przewidział, że Ariel nie zostanie zaakceptowana w towarzystwie.

Zapadła cisza. Ariel zastanawiała się, kto ją przerwie.

Reggie.

- Ariel, chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Zerknęła na Nathana.

- Cokolwiek masz mi do powiedzenia, możesz to zrobić w obecności pana Trevaina.

- Prawdę mówiąc, z przyjemnością zostawię was samych.

- Naprawdę? - zdziwiła się Ariel.

Nathan przytaknął.

- Na miejscu Reggiego też chciałbym z panią porozmawiać na osobności.

Ariel tymczasem wcale nie zamierzała zostać sam na sam z kuzynem. Spojrzała wymownie na Trevaina, ale on ją zignorował. Ukłonił się i wyszedł.

- Nie wiem, czy będzie pan zadowolony, jeśli uciekniemy - krzyknęła za nim.

Nathan zatrzymał się na chwilę, popatrzył na nią zdziwiony, po czym opuścił pokój. Co za łotr, pomyślała.

- Poszło łatwiej, niż myślałem. Chodź, czekają na nas na zewnątrz.

Ariel drgnęła i popatrzyła na Reggiego, któremu nagle zaczęło się spieszyć.

- Naprawdę?

- Tak. Musimy iść szybko, bo kazałem im wtargnąć do środka, jeśli zaraz nie wyjdę.

- Och, Reggie, powiedz, że żartujesz!

- Oczywiście, że nie. Chyba nie sądzisz, że uwierzyłem w te brednie o udzielaniu mu pomocy.

- Ale ja chcę mu pomóc!

- Niemożliwe.

Ariel potrząsnęła głową.

- Naprawdę, Reggie. Co więcej, nie ruszę się stąd ani na krok, jeśli nie zgodzisz się nam pomóc.

- Postradałaś zmysły!

- Może i tak.

- Ale nie możesz mu pomagać.

- Dlaczego?

- Bo on cię porwał, Ariel. A może zapomniałaś o tym?

- Nie zapomniałam, Reggie. Idź, powiedz swoim ludziom, żeby odeszli, bo ja się stąd nie ruszę. - Podeszła do drzwi.

Reggie chwycił ją za ramię i odwrócił do siebie.

- Ariel, ja cię chyba uduszę.

Uniosła dumnie brodę.

- Nic takiego nie zrobisz, Reggie, bo wiem, że mnie kochasz i nie pozwolisz, żeby włos spadł mi z głowy. Dlatego pomożesz panu Trevainowi.

- Na nic takiego się nie zgadzam.

- Zgodzisz się, jak tylko odeślesz swoich ludzi.

Reggie nie ruszył się z miejsca.

- Reggie - ponagliła go i skrzyżowała ramiona na piersi.

Pomyślała, że kuzyn robi to samo, ale on odwrócił się na pięcie i podszedł do okna. Otworzył je i zagwizdał. Kilka chwil później rozległ się męski głos:

- Wszystko w porządku, proszę pana?
- Tak. Wygląda na to, że kuzynka uciekła, żeby po kryjomu wziąć ślub.
- Dobrze, że jest cała i zdrowa.
- Ariel stanęła za Reggie. Gdy wyjrzała na zewnątrz, zbladła na widok trzech uzbrojonych mężczyzn.
- Boże, ty mówiłeś poważnie.
- Reggie zamknął okno i popatrzył na nią groźnie.
- To policjanci. Zapłaciłem im dziesięć gwinei, żeby pojechali ze mną i pomogli mi zatrzymać twojego porywacza.
- Ariel słyszała o grupie policjantów stworzonej przez Henry'ego Fieldinga, ale nigdy żadnego nie widziała.
- Pozwól mi popatrzeć - zaciekawiła się.
- Reggie złapał ją za ramię.
- Ariel, nie czas teraz na takie rzeczy. W co wyście się, u licha, wpakowały z moją żoną?
- Na pewno nie w sekretny ślub. - W kilku zdaniach opowiedziała kuzynowi o wydarzeniach ostatnich dwóch dni. - To prawda, że Nathan nie zachowywał się jak dżentelmen, ale on padł ofiarą niesprawiedliwości. Ja też zastanawiałam się, czy nie donieść na niego sędziemu, ale zmieniłam zdanie.
- Nathan, tak?
- Ariel zaczerwieniła się. Ostatnio coraz częściej zwracała się do Trevaina po imieniu. Naprawdę powinna z tym skończyć. Nie było dla nich przyszłości, nie po tym, co wydarzyło się między nimi.
- Chciałam powiedzieć „pan Trevain”.
- Uhm.
- Ariel milczała.
- I chcesz mu pomóc, mimo że cię oszukał?

Znów zrobiła się czerwona. Reggie świetnie rozdra-  
pywał świeże rany.

- Co prawda jeszcze mu tego nie wybaczyłam, ale  
stwierdziłam, że jako chrześcijanka nie mogę odwró-  
cić się od niego, skoro potrzebuje naszej pomocy.

Reggie skrzyżował ramiona na piersi.

- Naprawdę, Reggie.

- Och, niewątpliwie.

Ariel stwierdziła, że nie ma sensu opowiadać kuzy-  
nowi, jak Nathan błagał ją o pomoc.

- Temu człowiekowi nie można ufać.

- Może nie, może tak. Za to na pewno wiadomo,  
że zaginał jego brat. Czy ty nie zrobiłbyś wszystkie-  
go, by odnaleźć Phoebe, gdyby zaginęła?

Reggiemu wyraźnie nie spodobało się to pytanie.

- To co innego.

- Jak to?

- Jego brat był oficerem marynarki. Wiedział, że  
ryzykuje, gdy wsiadał na statek.

- Tak to sobie ładnie wytłumaczyłeś? Niech będzie  
niewolnikiem. Powinien zdawać sobie sprawę z za-  
grożeń. Sam jest sobie winien, prawda?

Reggie zmrużył oczy. Skrzyżowała ramiona na  
piersi i zaczęła stukać palcami, czekając na odpo-  
wiedź. Kuzyn odwrócił się od niej. Stał wyprostowa-  
ny jak struna. Bił się z myślami, tego była pewna.

- A jak zamierzasz mu pomóc?

Ariel odetchnęła z ulgą i natychmiast podeszła do  
niego.

- Dziękuję, Reggie.

- Jeszcze za wcześniej na podziękowania, bo na nic  
się nie zgodziłem.

Ale się zgodzisz, pomyślała zadowolona.

- Musimy dostać się do budynku Admiralicji.

- Nie. - Reggie podniósł ręce do góry. - Nie będę narażał siebie i rodziny dla tego łotra.

- Musisz.

- Nie.

- Więc powiem ojcu o dokumentach, które zgubiłeś, a ja pomogłam ci odnaleźć. Pamiętasz tę listę oddziałów i ich pozycji? Te tajne dokumenty?

- Cicho - przerwał jej. - Pamiętam.

- Więc na pewno pamiętasz też obietnicę, jaką mi wtedy złożyłeś. Dżentelmen dotrzymuje słowa, Reggie. Jesteś mi winny przysługę.

Mężczyzna zacisnął zęby.

- Nie złamię danego słowa.

- Więc pomóż nam. O nic więcej nie proszę.

## 16

Niecałą godzinę później cała trójka siedziała już w powozie pierwszego lorda i była w drodze do Londynu.

Reggie wyglądał, jakby miał ochotę kogoś zabić, ale Ariel wcale się nim nie przejmowała. Wprost przeciwnie, była z siebie dumna. Pogoda również dopisała. Słońce świeciło, a liście i trawy zachwycaly swoją świeżą zielenią.

Na miejscu znaleźli się wcześniej, niż się spodziewali. A może to Ariel straciła poczucie czasu. Wyglądała przez okno. Właśnie przejeżdżali przez most nad Tamizą. Im bliżej byli celu, tym bardziej się niepokoiła. A jeśli nie odnajdą brata Nathana? Jeśli zostaną przyłapani w budynku Admiralicji?

A jeśli... A jeśli... A jeśli...

Zadanie, którego się podjęli, okazało się nie lada wyzwaniem.

W końcu Reggie spytał:

- Kiedy zamierza pan udać się do Admiralicji?

Ariel w napięciu czekała na odpowiedź Nathana.

- Dzisiaj.

Tak szybko!

- Dobrze. Znajdę dla was jakieś przebrania, jak tylko będziemy na miejscu - odparł Reggie. Wcześniej

umówili się, że razem udadzą się do budynku. - Ariel, ty zostaniesz.

- Nie, nie zostanę - zaprotestowała natychmiast.

- Owszem, zostaniesz.

- Nie, Reggie, a jeśli mi nie pozwolisz iść z wami, zrobię to na własną rękę. Z wami oczywiście byłabym bezpieczniejsza.

Kuzyn zmarszczył brwi, a Ariel uśmiechnęła się. On zacisnął pięści, ona uśmiechnęła się szerzej.

- Jeśli pan jej nie powstrzyma, ja to zrobię.

Ariel przeniosła wzrok na Nathana.

- Nie, panie Trevain. Jeśli nie pozwoli mi pan iść z wami, namówię Reggiego, żeby też został. Jestem pewna, że z przyjemnością spełni moją prośbę, prawda?

Reggie nie odpowiedział, tylko zmarszczył czoło. Najwyraźniej nie podobał mu się żaden z pomysłów Ariel.

- Czy obaj zrozumieliście, co powiedziałam?

Żaden się nie odezwał.

Ariel była wyjątkowo zadowolona z siebie. Usiadła wygodniej i złożyła ręce na brzuchu.

- Skoro już to sobie wyjaśniliśmy, myślę, że powinienś mi znaleźć jakieś chłopięce ubrania, Reggie. Mogę udawać lokaja czy kogoś takiego. Nathan oczywiście będzie musiał się przebrać za oficera marynarki...

Paplała tak i paplała. Nathan miał ochotę ją uduścić. Miała ich w rękę i wcale mu się to nie podobało. Sądząc po minie Reggiego, był takiego samego zdania. Nathanowi przyszło do głowy, że mogliby z Reggielem porozumieć się bez niej, ale szybko zarzucił ten pomysł. Bez Ariel D'Archer nie mógł liczyć na pomoc lorda Sarringtona, a bez niego nie miał nic.



Ta spryciula ich przechytryła.

Zacisnął zęby. Z jednej strony podziwiał jej przebiegłość, z drugiej chętnie by ją zakneblował. A w dodatku zapragnął ją pocałować.

Gdy dotarli do rezydencji Sarringtonów, obaj mężczyźni byli w niewesołych nastrojach. Przywitała ich Phoebe. Szybko zbiegła ze schodów i uścisnęła Ariel.

- Ariel D'Archer, gdzieś ty była? - spytała.

- Nie uwierzysz, Phoebe, ale pan Trevain mnie porwał. Jako zakładniczka miałam mu pomóc odnaleźć brata...

- Ariel, nie tutaj - skarcił ją Reggie.

Zerknęła na kuzyna i zbladła.

- A... tak. Wejdźmy do środka i tam ci wszystko opowiem.

Nathan i Reggie zostali na chodniku.

- Od jak dawna pan ją zna? - niespodziewanie spytał Nathan.

- Ariel czy moją żonę?

- Ariel.

- Odkąd skończyła siedemnaście lat.

- I zawsze wywołuje w panu nieprzepartą chęć uduszenia jej?

Reggie zdziwiło to pytanie, ale i nieco rozbawiło.

- Zawsze.

- Hmm. Tak właśnie myślałem.

Dwie godziny później byli gotowi do wyjścia. Reggie wywiązał się z powierzonego mu zadania i dostarczył garnitur oficera, choć Nathan nie miał pojęcia, jak mu się to udało. Krótka niebieska marynarka była trochę za mała, więc jej nie zapiął. Pod spodem

miał biały pas. Białe bryczesy i lśniące czarne buty - jego własne - dopełniały stroju. Nosił już wcześniej podobne ubrania, więc wiedział, że dobrze się prezentuje. Nie założył jedynie czarnego *chapeau bras*. Twierdził, że kapelusz w kształcie półksiężyca robi lepsze wrażenie pod pachą niż na głowie.

- Jak wyglądam?

Nathan odwrócił się. Na widok Ariel cofnął się o krok.

- Czy ta przemiana nie jest niezwykła? Muszę wyznać, że jestem zadowolona.

Rzeczywiście była niezwykła, ale wcale nie z powodów, które brała pod uwagę Ariel. W nowym stroju odznaczały się jej wszystkie krągłości. Kostki u nóg miała obleczone w pończochy, a nie przykryte spódnicą. Nathan nie mógł oderwać oczu od nich i od kształtnych łydek. Gdy dotarł do talii, zaschło mu w gardle. Pod rozpiętą brązową marynarką widział wznoszące się pod białą koszulą piersi.

- Phoebe pomogła mi się ubrać, ale nie była zadowolona. Ona i jej mąż chyba nie są zbyt szczęśliwi, że zaprosili mnie do Londynu. Ale co to za przyгода, prawda?

Trevain nadal nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Nie znosił swojego kradzionego munduru, ale jeszcze bardziej drażnił go strój Ariel. Mundurem gardził ze względu na to, co reprezentował, ale ubranie Ariel wydało mu się zbyt śmiałe i wyzywające.

- Proszę się natychmiast przebrać.

- Słucham? - zdziwiła się Ariel.

- W tej chwili. - Najlepiej w habit. Ewentualnie w obszerną pelerynę. Albo pas cnoty. - W coś, co nie jest tak...

- Wyzywające? - podsunęła.

- Właśnie.

Ariel wyprostowała się. Koszula opięta się jej na piersiach.

- Cieszę się, że pan to zauważył.

Ich oczy spotkały się. Nagle w pokoju zrobiło się cicho. Rozbawienie znikło z twarzy Ariel. Nathan nie mógł oderwać od niej wzroku. Była taka piękna, nawet z włosami ukrytymi pod chłopięcą czapką. Nadal nie potrafił uwierzyć, że zgodziła się mu pomóc. Po wszystkim, na co ją naraził, jak ją traktował, po ich pocałunku...

- Nathanie? - spytała, przechylając głowę.

Znów poczuł tę nieprzepartą chęć, żeby podejść do niej i unieść jej brodę do góry. Opanował się jednak i wyprostował.

- Niech się pani przebierze.

Ariel potrząsnęła głową.

- Nie ma innych ubrań.

- Nie może pani jakoś bardziej się zakryć?

-Jak?

Dobre pytanie. W tym momencie do pokoju wszedł Reggie. Wyglądał elegancko w beżowych bryczesach, czarnym płaszczu i ciemnoszarej kamizelce. Gdy spojrzał na Ariel, zatrzymał się, obejrzał ją spodn od okularów i odwrócił się do Nathana.

- Widzę, że strój, który jej wybrałem, leży równie dobrze jak pański.

- Owszem, ale mnie się nie podoba.

- Dlaczego nie? Według mnie jest świetny. Gdybym zobaczył Ariel na ulicy, nawet by mi do głowy nie przyszło, że jest kobietą. Phoebe powiedziała mi, że owinęłaś sobie piersi. Bardzo dobrze.

Nie rozpoznałby, że jest kobietą? Czy ten człowiek był ślepy? Czy nie widział jej egzotycznych, nieco skośnych oczu, ładnie zarysowanych brwi i pełnych warg, które musiały należeć do kobiety? Zaczerwieniła się, gdy Reggie wspomniał o jej piersiach. Jej pięknych piersiach.

- Ona musi założyć coś innego.

- Nie ma czasu.

- Jest mnóstwo czasu.

Reggie zerknął na zegarek kieszonkowy.

- Powinniśmy być przed budynkiem przed zmianą warty. Musimy się spieszyć.

Nathan chciał dalej protestować. Bardzo chciał protestować.

- Jesteśmy gotowi? - spytała Ariel. - Jeśli tak, pragnęłabym się najpierw pożegnać z Phoebe.

Wybiegła z pokoju, zanim Reggie zdążył się odezwać.

- Powinna się przebrać - znów zaczął swoje Nathan. Reggie spojrzał na niego zniecierpliwiony.

- Panie Trevain, pozwól pan, że mu coś wyjaśnię. Pomagam panu pod przymusem. Ariel ma na sobie strój, który daje jej szansę wejść i wyjść z budynku Admiralicji bez wzbudzania podejrzeń. Może jestem na nią zły. Może chciałbym ją udusić. Ale kocham ją jak siostrę i nie chcę, żeby została złapana. Idziemy?

Ku niezadowoleniu Nathana nie poczekał na niego. Co dziwne, Trevain wcale nie był na niego zły. Wprost przeciwnie, poczuł do Reggiego coś na kształt sympatii.

Budynek Admiralicji stał przy Whitehall, tętniącej życiem ulicy, po której obu stronach ciągnęły się rzę-

dy trzy- i czteropiętrowych domów. Ariel nigdy jeszcze nie była w środku żadnego biura, za to często oglądała je z zewnątrz, gdy ojciec zatrzymywał się przy nich na chwilę w drodze na wieś.

Serce забиło jej mocniej, kiedy powóz przystanął. Przy nieoznaczonych drzwiach pełniło służbę dwóch strażników. Zaczęła się denerwować.

- Najpierw pójdziemy do archiwum - powiedział Reggie. - Za mną.

Archiwum. Zabrzmiało to bardzo oficjalnie. Podkscytowana Ariel nie mogła usiedzieć na miejscu. Gdy drzwi powozu otworzyły się, do środka wpadł zapach błota, ścieków i spoconych koni. Zupełnie niezbita z tropu Ariel żwawo wyszła na zewnątrz. Nathan podążył za nią. Z drżeniem serca mijała strażników, ale nikt ich na szczęście nie zatrzymał.

Wewnątrz wzdłuż wąskich korytarzy ciągnęły się liczne drzwi. Powietrze było wilgotne i unosił się w nim zapach dokumentów i mężczyzn. Nic dziwnego - i jednych, i drugich było tu pod dostatkiem. Większość oficerów tu zatrudnionych znajdowała się w budynku, choć prawdopodobnie nie tyłu co w czasie wojny. Ariel czuła się trochę speszona wśród mężczyzn w błękitno-złoty marynarkach, mimo że przecież jej własny ojciec był wysokim urzędnikiem Admiralicji.

Nikt nawet na nią nie spojrział.

Trochę ją to irytowało. Chyba nie wyglądała aż tak chłopięco? Zaraz jednak pomyślała, że powinna być zadowolona, iż nie zwrócono na nią uwagi. Zaczęła iść z większą pewnością siebie. W spodniach mogła się cieszyć o wiele większą swobodą ruchów.

- Teraz skręcamy - poinstruował ich Reggie.

Skręcili w lewo w długi korytarz, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy pokoi. Potem weszli na trzecie piętro budynku. Najwyraźniej nikomu nie wydali się podejrzani - sekretarz, młody chłopiec i oficer, chociaż większość mijających ich osób zerkała z ciekawością na Nathana. Na pewno intryguje ich blizna, pomyślała Ariel. Z nią wyglądał buńczucznie i groźnie, jakby właśnie wrócił z wojny.

- Tutaj - powiedział Reggie, zatrzymując się przy drzwiach.

Serce Ariel znów zaczęło bić w przyspieszonym rytmie. Stali w długim korytarzu, po lewej stronie były okna, po prawej rząd zamkniętych drzwi. Miejsce to sprawiało wrażenie opustoszałego i rzadko uczęszczanego. W powietrzu unosiły się drobinki kurzu. Szyb również dawno nie czyszczono. Reggie sięgnął do jednej kieszeni, potem do drugiej.

- Niech to diabli wezmą, zapomniałem kluczy. - Odwrócił się do Ariel i Trevaina. - Przyniosę drugi komplet z biura. Poczekajcie na mnie. - Zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się. - Nigdzie nie odchodźcie. Jeśli ktoś was o coś zapyta, ty, Ariel, siedź cicho. Pan niech powie, że czekacie na mnie.

Ariel przytaknęła, Nathan tylko skrzyżował ramiona na piersi. Reggie patrzył na niego ostrzegawczo dłużej, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł, stukając obcasami.

- Powinniśmy z nim pójść - powiedział Trevain.

- Nie - zaprotestowała Ariel i położyła mu dłoń na ramieniu. - On zaraz wróci.

Nathan spojrział na jej rękę. Opuściła ją niechętnie. Nagle poczuła się onieśmielona. Nie wiedziała, czy

sprawiło to miejsce, w którym się znalazła, czy też wyraz twarzy jej towarzysza. Wyglądał teraz na okrutnego żołnierza. Ani śladu nie pozostało po kochanku, który mówił, że jej pragnie. Stał przed nią gotowy na wszystko wojownik.

- Nie ufam mu - oznajmił.

- Dlaczego?

- Bo to Anglik.

- Ja też jestem Angielką.

Spojrzał na nią przeciągle.

- Tak, rzeczywiście.

Zapadła cisza. Serce Ariel zaczęło bić coraz szybciej. Zbierała odwagę, żeby zadać pytanie, które dręczyło ją od dawna.

- Nathanie, dlaczego pan tak nienawidzi Anglików?

- Jeden z waszych kapitanów odebrał mi brata.

- Tak, wiem, ale musi panu chodzić o coś więcej.

Pańska nienawiść jest zbyt głęboko zakorzeniona. Czuję to.

- Ach, tak? Jest pani wróżbiarką? Może odziedziczyła pani zdolność jasnowiedzenia po matce?

- Jest pan niegrzeczny - obraziła się.

- A pani zadaje impertynenckie pytania.

- A pan na nie nie odpowiedział.

Nathan zacisnął zęby. Jego oczy błyszczały zimno jak stal.

Ariel odruchowo dotknęła jego ramienia. Pod marynarką wyczuła napięte mięśnie.

- Co się stało, Nathanie? Co tak bardzo boli?

Odsunął się.

- Wydaje się pani.

- Czyżby? - spytała. - No, nie wiem. Ciekawa je-

stem, dlaczego wobec tego nie chce pan odpowiedzieć na moje pytanie.

- Już odpowiedziałem - rzucił groźnym tonem. -  
Z powodu mojego brata.

- Na pewno jest jeszcze inny powód.

- Nic pani nie rozumie.

Na końcu korytarza trzasnęły drzwi. Zbliżył się do nich jakiś mężczyzna. Przechodząc obok, spojrzął na nich z ciekawością. Ariel odetchnęła z ulgą.

- Co pan mówił?

- Żeby zmieniła pani temat.

- Nie - zaprotestowała. - Jest mi pan winien wyjaśnienie. Ja pomoc dla pana postawiłam na pierwszym miejscu. Wszystko zeszło na plan dalszy: uczciwość, lojalność wobec ojczyzny. - Zdenerwowała się. - Chciał mnie pan niecznie wykorzystać, a potem mnie porwał. Był pan wobec mnie niegrzeczny i groził mi. A ja mimo to pomagam panu. Mógłby mi pan przynajmniej powiedzieć, co panem powoduje.

Podeszła do okna. Ulica była bardzo nisko. Podskoczyła, gdy położył jej dłoń na ramieniu.

- Ma pani rację.

Nie spojrzała na niego, więc odwrócił ją do siebie. Wyglądał na skruszonego.

- Jestem łotrem i nikczemnikiem, dokładnie tak, jak mnie pani nazwała.

- Owszem - zgodziła się, patrząc mu w oczy.

- Czasem mężczyźnie trudno jest zapomnieć o przeszłości.

Uniosła dumnie głowę, żeby nie domyślił się, jak bardzo zranił ją, nie odpowiadając na jej pytanie.

- Tak samo jak kobiecie - odparła.



- Na pewno - powiedział łagodniejszym tonem.  
Znów wyjrzała przez okno. Gdzie był Reggie?  
Chciała jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz.

- Zdradziła mnie kobieta.

Ariel zamarła.

- Angielka, szpieg wysłany z Londynu, żeby mnie wyśledzić. - Jego ręka bezwładnie opadła mu wzdłuż boku. Teraz on spojrział przez okno i zaczął opowiadać cichym głosem. - Przybyła do Wirginii w tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym roku. Wówczas od dwóch lat byłem szpiegiem. Potrafię doskonale udawać angielskiego oficera.

Ariel miała okazję się o tym przekonać. Nawet teraz świetnie się spisywał.

- Nie miałem pojęcia, że moja sława sięgnęła za ocean i że uważa się mnie za niebezpiecznego na tyle, żeby wysłać kogoś, aby mnie powstrzymał. - Dotknął blizny. - Jej się prawie udało.

Ariel otworzyła usta ze zdziwienia.

- Ona to panu zrobiła?

- Tak.

W takim razie nic dziwnego, że Nathan tak się zderwował, gdy odkrył jej podwójną grę. Na pewno wziął ją za kobietę takiego samego pokroju.

- Ale nie to jest najgorsze.

Ariel spojrzała mu głęboko w oczy, żeby sprawdzić, czy znajdzie w nich jakąś wskazówkę, co mogłoby być jeszcze gorsze.

- Zbliżyła się do mnie, zostaliśmy czymś więcej niż... - zawiesił głos - przyjaciółmi.

- Kochał ją pan? - spytała, rozumiejąc, co miał na myśli.

Nie zadziwił jej swoim wyznaniem, ale jednak wywołał wzburzenie.

- Tak.

- Tak - powtórzyła. - Bardzo mi przykro, Nathanie. Wiem, jak to jest, gdy się myśli, że ta druga osoba nas kocha, a potem okazuje się, że wcale nie.

Pomyślał, że Ariel musiała rzeczywiście dobrze go rozumieć. Ją zdrada wzmocniła, on zrobił się zgorzkniały.

- Wyjechała z kolonii przekonana, że mnie zabiła.

- A pan nie wyprowadził jej z błędu?

- Wolałem, żeby Anglicy tak właśnie sądzili. Było mi to na rękę. Jej chodziło o posiadane przeze mnie informacje. Dla Anglików nie żyłem, więc przestali mnie szukać. Udało mi się w końcu przekazać wieści przełożonym i dzięki temu wygraliśmy bitwę pod Cowpens. Jednak kula, którą we mnie trafiła, zakończyła moją karierę. Nie mogłem się już skutecznie maskować. W rezultacie więc chyba osiągnęli swój cel. Nie umarłem, ale szpiegiem też już nie mogę być.

- I dlatego jest pan pełen nienawiści - stwierdziła rzeczowym tonem.

- Raczej rozgoryczony. Chciałem zemsty. Przyłączyłem się do partyzantów, walczyłem wręcz. Wtedy •właśnie nauczyłem się nienawidzić wszystkiego, co brytyjskie. Anglicy prowadzili brutalną wojnę. Zabijali kobiety i dzieci, palili domy. Starałem się, jak mogłem, żeby zlikwidować ich jak najwięcej. Z tego okresu pochodzi reszta moich blizn.

Jeśli opowieść Trevaina oburzyła albo zdenerwowała Ariel, nie dała tego po sobie poznać. Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy spojrzała na Nathana. Nie potrafił oderwać wzroku od jej oczu. Chciał po-

rwać ją w ramiona i tulić, aż w jego pamięci zatra się obrazy wojny.

- Zrobił pan tylko to, co konieczne, Nathanie. Wojna zawsze jest czymś złym, a ludzie czasem giną, walcząc o wolność. Podziwiam pański kraj za to, że potrafił wystąpić o niepodległość.

Trevain popatrzył na nią z niedowierzaniem i ciekawością. Zadziwiła go swoją uczciwością.

- Ariel, ja..

Przerwały mu odgłosy kroków, wielu kroków. Odwrócili się. Nathan zamarł.

- Nie ruszać się - powiedział umundurowany mężczyzna i wymierzył bagnet w pierś Trevaina. Za nim stało jeszcze dwóch żołnierzy.

Nathan nie wierzył własnym oczom. Za plecami przybyszów dostrzegł lorda Sarringtona.

- Co pan zrobił?

- Złapałem cię, ty cholerny zdrajco. W tej chwili odsuń się od mojej kuzynki.

Wściekłość kazała Nathanowi rzucić się na żołnierzy. Kapelusz wypadł mu z dłoni. Jeden z Anglików uniósł muszkiet. Trevain przygotował się na śmierć, nawet jej pragnął, tak był zły i rozczarowany biegiem wydarzeń.

- Nathanie, nie! - krzyknęła Ariel.

Zawahał się zaledwie przez chwilę, ale to wystarczyło. Żołnierz, zamiast wystrzelić, podniósł broń i zamachnął się.

Trevain stracił przytomność.

## 17

- Jak mogłeś? - oskarżycielskim tonem spytała Ariel. - Jak mogłeś mi to zrobić?

- Zrobiłem to dla rodziny, kuzynko. Co powiedziałby twój ojciec, gdyby się dowiedział, że pomogliśmy wrogowi kraju?

Siedzieli w salonie, który opuścili niecałą godzinę temu, tylko że tym razem nie było z nimi Nathana. Ariel łązy napłynęły do oczu. Boże, jak on upadł na podłogę...

- On jest moim przyjacielem! - krzyknęła.

- Ariel, uspokój się - powiedziała Phoebe i podbiegła do niej, szeleszcząc szmaragdową suknią. - Reggie zrobił to dla twojego dobra. Nie rozumiesz tego?

- Nie - wykrztusiła Ariel. Odwróciła się do okna, żeby nie patrzyli, jak płacze. - Nie rozumiem. Nathan pomyśli, że go zdradziłam. Nie znacie go tak jak ja. Jemu nie jest łatwo komuś zaufać.

Phoebe nachmurzyła się.

- Ariel, proszę. Już zapomniałaś, że ten człowiek cię oszukał? Jak możesz mu ufać po tym, co ci zrobił?

Ariel przypomniała sobie, jak Nathan błagał ją o pomoc, jak szczerze opowiedział jej o kobiecie, która go zdradziła.

- Ufam mu, bo bez względu na to, co sobie pomy-

ślicie, jemu zależy tylko na odnalezieniu brata. Teraz nie może już go szukać.

- Dokąd idziesz? - spytała Phoebe.

Ariel dopiero teraz zorientowała się, że ruszyła do wyjścia.

- Muszę coś załatwić.

- W tym stroju?

Ariel spojrzała na siebie. Poczuła piasek pod powiekami, gdy przypomniała sobie, jak Nathan partrył na nią. Wcale nie wyglądała chłopięco w bryczesach. Dla niego wciąż była kobietą.

- Masz rację. Powinnam się przebrać.

- Ariel, nie - błagała ją Phoebe. - Nie idź. Nie wolno ci wychodzić samej.

- A pójdziesz ze mną?

- Ariel - ostrzegł ją Reggie.

- Dobrze, dobrze. Nawet lepiej będzie, jeśli zostaniesz. Bezpieczniej.

Phoebe zmierzyła ją wzrokiem, po czym zwróciła się do męża.

- Reggie, powiedz coś.

- Przykro mi, że nie wszystko potoczyło się po twojej myśli.

- Przykro ci? Przykro, że doprowadziłeś do schwytania mężczyzny, który chciał jedynie odnaleźć brata? A może przykro ci, bo nie wtajemniczyłeś mnie w swój plan, a mimo to teraz ten mężczyzna uważa mnie za zdrajczynię?

Reggie nie odpowiedział. Ariel wcale się tym nie przejęła. Piętnaście minut później wyszła ubrana w różową suknię.

Kilka godzin zajęło jej odnalezienie sędziego, który mógłby uwolnić Nathana. Do biura przyjechała za późno, żeby się z nim zobaczyć. Gdy dotarła do jego domu, zapadł już zmrok. W pośpiechu zapomniała założyć płaszcz i upiąć włosy. Gęste loki w nieładzie opadały jej na ramiona. Nie przejmowała się jednak swoim wyglądem. Nie powstrzymał jej również fakt, że nie powinna sama odwiedzać samotnego mężczyzny. Z drugiej strony jeśli wziąć pod uwagę jej przeszłość, nie mogła już bardziej zaszkodzić swojej reputacji. Gdy lokaj wprowadził ją do gabinetu sędziego, zaczęła się denerwować.

- Z jakiego to ważnego powodu, lady D'Archer, przerywa mi pani kolację?

Więc nadeszła już pora kolacji? Ariel wcale tego nie zauważyła. Sędzia wbił w nią zimny wzrok. Najwyraźniej perukę zakładał w pośpiechu, bo była przekrzywiona na bok.

- Proszę o wybaczenie, milordzie, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Sędzia usadowił się wygodniej za zawalonym papierami biurkiem.

- Dobrze, słucham. O co chodzi?

- O Nathana Trevaina - odparła krótko.

Mężczyzna spojrzał na nią, jakby właśnie uciekła z więzienia. Peruka opadła mu aż na brwi.

- Jak to: o Nathana Trevaina?

- Chcę, żeby został uwolniony.

- Pani raczy żartować.

- Nie, milordzie. Mówię śmiertelnie poważnie.

Sędzia przesunął sobie perukę do tyłu i spojrzał na Ariel z dezaprobatą.

- Pan Trevain jest więźniem i nie może zostać zwolniony.

- Jest przecież dziedzicem Davenport. Chyba ma to jakieś znaczenie.

- Zdajemy sobie sprawę z jego pochodzenia. Tylko dlatego nie zawisł na szubienicy.

- Więc nie zostanie skazany na śmierć?

- Nie, choć zasłużył na tę karę. Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiemy, co z nim zrobimy.

Ariel odczuła ogromną ulgę. O mało nie opadła na pluszowy fotel, przy którym stała.

- Mogę się z nim zobaczyć?

- Nie.

- Ale dlaczego...

- Bo - przerwał jej - ten człowiek jest przestępcą i zdrajcą. Córce lorda nie przystoi przebywać w jego obecności.

A więc sędzia ją rozpoznał. Nic dziwnego zresztą.

- Pozwoli pan, że ja o tym zdecyduję.

- Nie, moja pani. Nie pozwolę.

- Ale ja...

- Nie - powtórzył i wstał. Ariel uświadomiła sobie, że sędzia wcale nie poprosił jej, żeby usiadła. - Teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wrócę do kolacji. Lokaj odprowadzi panią do drzwi.

Ariel chciała zaprotestować, ale jej duma zwyciężyła.

- Dziękuję, milordzie - wycedziła - że mnie pan przyjął.

Mężczyzna kiwnął głową i dłonią wskazał jej drzwi. Czuła na sobie jego spojrzenie, gdy wychodziła na korytarz. Wyprostowała się, żeby nie dostrzegł jej rozczarowania.

Nathanie, dwukrotnie pana dziś zawiodłam, pomyślała.

Do powozu wsiadła zupełnie rozbita. Była tak rozkojarzona, że nie potrafiła powiedzieć woźnicy, dokąd ma jechać. Nie chciała wracać do domu, bo nie zniosłaby widoku kuzynów.

Gdyby tylko udało jej się przekonać sędziego, żeby zwolnił Nathana. Najwyraźniej tu trzeba było kogoś bardziej wpływowego. Na przykład jej ojca. Oby tylko wrócił już do kraju. Czasem Ariel myślała, że ojciec wyjechał specjalnie. Przypuszczała, że chciał uniknąć jej towarzystwa. Nie po raz pierwszy przyszła jej do głowy taka myśl, bo osoba na stanowisku pierwszego lorda Admiralicji wcale nie musiała tyle podróżować. Większość admirałów wołała zostawać w domu.

Zamarła.

Większość admirałów.

Doskonale. Cudownie. Był przecież czwartek.

- Ulica Knightbridge 1570 - zawołała do woźnicy.

Ze zdenerwowania ścisnął jej się żołądek. Oby tylko zgodzili się z nią spotkać. Jeśli odmówią, postawi im ultimatum.

Zbliżała się dziesiąta wieczorem, gdy Ariel dotarła na miejsce. Przed elegancką rezydencją lorda Parkera stały powozy lordów Hamiltona, Vincenta, Gordona i Howella. Wszyscy stawili się na czwartkową partyjkę kart.

Lokaj, który otworzył drzwi, bardzo zdziwił się na jej widok. Nie dała mu czasu, żeby zaprotestował, i wcisnęła się do środka.

- Przepraszam, panienko, ale...



- Tylko na chwilę - odparła.

Lordowie grali w pokoju po prawej stronie. Ariel znała ten dom, bo kiedyś przyjaźniła się z córką lorda Parkera. Oczywiście razem z reputacją straciła i przyjaciółkę.

- Panienko, naprawdę...

Lokaj ciągnął ją za ramię. Wyrwała się i otworzyła drzwi. Weszła do środka, a lokaj deptał jej po piętach. W pokoju unosił się zapach męskiego potu i brandy.

- W porządku, Jamesie, niech zostanie.

Lokaj ukłonił się i wyszedł. Ariel spojrzała na zebranych gości i uśmiechnęła się sztucznie.

- Jak miło znów panów zobaczyć.

Mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu.

- Lady D'Archer - przywitał ją lord Parker, unosząc się nieco z krzesła. Na czoło opadł mu kosmyk siwych włosów. - Mogę spytać, czemu zawdzięczamy tę wizytę?

- Nathanowi Trevainowi - odparła, zmrużywszy oczy.

Czekała na ich reakcję, ale ta nie nastąpiła. Przekonała ją to, że musieli już rozmawiać o nim tej nocy.

- Nic nie mają mi panowie do powiedzenia?

- Czego pani chce od Nathana Trevaina? - spytał Parker, najstarszy stopniem z obecnych oficerów.

Ariel weszła głębiej do pokoju. Czuła na sobie takujące spojrzenia mężczyzn.

- Chcę, żeby został zwolniony, a jeśli to niemożliwe, chcę się z nim zobaczyć. Muszę również znać miejsce pobytu jego brata.

- Wykluczone! - krzyknął lord Howell.

- Wcale nie, wujku George. - Lord nie dał po sobie poznać, czy obraził się za to, że zwróciła się do

niego pieśczożliwie tak jak kiedyś. - Kaźdy z was ma prawie taką samą władzę jak mój ojciec i mógłby zwolnić Nathana Trevaina. Wszyscy też na pewno wiecie, gdzie jest jego brat.

Nikt się nie odezwał. Dym z cygar uniósł się pod sufit. Słuchać było jedynie miarowe tykanie zegara.

- Nie powiecie mi? - spytała.

- Według naszych źródeł to zdrajca, którego miejsce jest w Tower.

- Zawinił jedynie tym, że bronił swojego kraju. Jeśli z tego powodu jest zdrajcą, i wy nimi jesteście.

- Myli się pani - zaprotestował Parker. - Co więcej, jeśli w tej chwili nie opuści pani mojego domu, dopilnuję, aby pani ojciec dowiedział się, co pani wyprawia.

Ariel roześmiała się.

- Sądzę, że i tak się o wszystkim dowie.

- Na pewno, jeśli pani stąd w tej chwili nie wyjdzie.

- Nie może mi pan rozkazywać, lordzie Parker. Nie jestem pana podwładną.

- Nie, jest pani córką starego przyjaciela, która dawno powinna była wyjść za mąż albo zostać odesłana z kraju. Wszyscy poczytują pani ojcu za wielki błąd to, że postąpił inaczej. Teraz widać efekty tej krótkowzroczności. Przynosi nam pani hańbę, Ariel D'Archer. Wstyd mi, że jest pani córką naszego pierwszego lorda.

Słowa Parkera uderzały w nią jak kamienie. Powtarzała sobie, że nie powinna zwracać na nie uwagi. Uniosła dumnie brodę. Lord Parker jedynie powiedział na głos to, co myśleli inni.

- Proszę wyjść, zanim nie każę pani stąd wyprowadzić siłą.

Ariel spojrzała po twarzach mężczyzn. Wszyscy patrzyli na nią z niechęcią.

- Więc niczego się od was nie dowiem?

- Nie - niecierpliwie odparł Parker.

Pozostali lordowie przytaknęli mu.

Ariel ze wszystkich sił starała się zachować spokój, żeby nie dostrzegli, jak bardzo ją rozczarowali. Jak jej rodacy - dawni przyjaciele - mogli w ten sposób potraktować drugiego człowieka...

- A więc dobrze, już wychodzę. - Wyprostowała się i spojrzała na nich z nienawiścią. - Ale gdy dziś wieczorem spojrzycie w lustro, zadajcie sobie jedno pytanie. Czy będziecie mieli czyste sumienie, jeśli doprowadzicie do śmierci człowieka, który został siłą zmuszony do opuszczenia własnego statku i służenia na innym wbrew własnej woli, i nie uwolniono go, gdy skończyła się wojna? - Zawiesiła głos. - Jeśli potrafiacie żyć z taką świadomością, jesteście gorsi, niż myślałam. Dobranoc.

Odwróciła się na pięcie i wyszła roztrzęsiona. Gdy dotarła do powozu, nerwy jej puściły. Zgarbiła się i rozsłochała. Znowu poniosła porażkę.

- Lady D'Archer.

Lord Gordon wyszedł za nią.

- Proszę poczekać.

Ariel odwróciła się, ale milczała.

- Niepotrzebnie pani przyszła - odezwał się w końcu lord Gordon.

- Nie miałam wyjścia.

W oczach starszego mężczyzny odbiła się troska.

- Źle się to skończy dla pani i pani ojca.

- Wiem, ale nie dbam o to.

Lord nie odpowiedział, tylko spojrzął do tyłu na rezydencję. W oknach paliły się światła. Ariel odniosła wrażenie, że budynek wyglądał na nienaturalnie spokojny, jeśli przypomnieć sobie ostre słowa, które przed chwilą w nim padły.

Gordon odwrócił się do niej. Postarzał się przez tę wojnę, tak jak oni wszyscy, uświadomiła sobie Ariel. Dopiero teraz zrozumiała, przez co przeszli. Odkąd poznała Nathana Trevaina, bardzo się zmieniła. Dojrzała. Zmądrzała.

- Zawsze byłem przeciwny polityce Admiralicji, która po cichu przyzwalała na takie praktyki. Narodowi, który szczyli się wprowadzeniem tyłu wolności obywatelskich, przynosi to hańbę.

- O ile mnie pamięć nie myli, milordzie, właśnie o wolności obywatelskie walczyli koloniści.

Znów zapadła cisza. Ariel nie wiedziała, co robić. Siedzieć cicho? Błagać o łaskę dla Nathana?

Położyła dłoń na ramieniu lorda.

- Jeśli wie pan, gdzie jest jego brat, proszę mi powiedzieć.

Gordon dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem. W końcu pokiwał głową.

- Dobrze. Jest jeńcem na statku kapitana Pike'a, *HMS Destiny*. Zawinie do Portsmouth w ciągu najbliższych dni. Ma się zebrać sąd wojenny.

Ariel odebrało głos. Gdy wreszcie słowa lorda dotarły do jej świadomości, odwróciła się na pięcie i wsiadła do powozu.

Nie miała czasu nawet na pożegnanie się z lordem Gordonem i podziękowanie mu.

Gdy Nathan ocknął się, w nozdrza uderzyła go ciepka woń moczu i potu. Do białej koszuli i bryczesów poprzyczepiały mu się żdźbła słomy. Marynarkę zabrał mu strażnik. Było zimno, ale Nathan nie czuł chłodu. Serce trawił mu palący ból.

Znów został oszukany.

Przez kobietę.

Dlaczego? Jak mogła? Jak to możliwe, że stała przed nim i patrzyła tak szczerze, a jednocześnie knuła przebiegłą intrygę? Podniósł się z zimnej i wilgotnej podłogi. Z umieszczonego tuż pod sufitem małego okienka do środka sączyło się szare światło. Wpatrzony w nie zacisnął zęby. Postanowił, że ucieknie z tej cuchnącej nory i za wszelką cenę odnajdzie brata. A potem opuści ten przeklęty kraj i zapomni o fałszywych Anglikach.

Gdy jednak patrzył przez zakurzone okno na zamurzone niebo, przed oczami miał parę błyszczących oczu. Zaklął w duchu. Dlaczego nie był w stanie uwolnić się od tej kobiety?

Nie mógł dłużej ukrywać przed sobą, że polubił ją, i, co gorsza, zaczęło mu na niej zależeć.

Ty głupcze, wymyślał sobie. Idioto. O mało znów nie zakochałeś się w niewłaściwej kobiecie.

Zacisnął pięści. Poczuł, jak pękają mu strupy na kostkach.

Pomogę ci, obiecywała. Mówiła to tak szczerze i serdecznie. Wyglądała tak pięknie.

Rozdarła mu serce. Nadużyła jego zaufania i nie potrafił się z tym pogodzić.

- No, ty cholerny rebeliancie, przenosisz się do nowego domu.

Nathan odwrócił się do drzwi. Z zadowoleniem przyjął pojawienie się przybysza, bo dzięki niemu mógł wreszcie przestać myśleć o Ariel.

- Słyszysz? Dziś rano zabierają cię do Tower. Tam są warunki pierwsza klasa. Na pewno ci się spodoba, nie ma co. Myszy jest podobno więcej niż tu.

Mężczyzna otworzył usta i parsknął rubasznym śmiechem, odsłaniając czarne dziąsła.

- No, chodź tu, założę ci kajdany.

Nathan sprężył się, żeby zaatakować go, ale za nim w drzwiach pojawiło jeszcze dwóch strażników. Jeden z nich wyjął pistolet, drugi podszedł bliżej, żeby skuć Trevaina.

Nathan opanował się z wysiłkiem. Spróbuje uwolnić się później w bardziej sprzyjających okolicznościach.

Po półmroku panującym w celi światło dzienne wydało mu się niemal oślepiające. Na zewnątrz czekało jeszcze dwóch strażników z muszkietami. Nathan ruszył po schodach na górę. Łańcuchy brzęczały przy każdym kroku.

*Spokojnie. Czekaj na właściwy moment.*

Wyszli na dziedziniec, na którym stał więzienny pojazd zaprzężony w niecierpliwie przebierającego

nogami konia. Ciepły oddech zwierzęcia zmieniał się w parę w chłodnym porannym powietrzu. Nathano-  
wi po plecach przebiegi zimny dreszcz, gdy prowa-  
dzono go w stronę pojazdu. Miał duże koła, wysokie,  
drewniane ścianki i wzmocniony dach. Nad umiesz-  
czonymi z tyłu niewielkimi drzwiami znajdowało się  
małe, zakratowane okienko.

- Wsiadaj.

Nathan zgodnie z poleceniem wszedł do środka po  
podstawionych schodkach. Wnętrze powozu śmier-  
działo równie ohydnie jak cela. Usiadł na brudnej,  
wilgotnej podłodze, krzywiąc się obrzydzenia. Gdy  
strażnicy zamknęli drzwi, zrobiło się ciemno. Powóz  
przechylił się, gdy ktoś - na pewno woźnica - wspiął  
się na górę.

- Baw się dobrze w Tower - krzyknął strażnik. -  
Uważaj, żeby nie stracić głowy - dodał złośliwie i ro-  
ześmiał się.

Nathan zamknął oczy i oparł czoło o drewnianą  
ścianę.

Czy ten dzień się kiedyś skończy? Niestety, na  
pewno tak, i to w dodatku zanim odnajdzie brata. Nie  
zdaży się nawet dowiedzieć, czy Wess żyje.

Ulice wydawały się opustoszałe. Odgłosy końskich  
kopyt i kół na bruku były jedynymi, które dochodzi-  
ły do uszu Nathana i przebijały się do jego świado-  
mości. Nie uznali go za niebezpiecznego, bo powozu  
nikt nie eskortował. Wkrótce przekonają się, że go  
nie docenili. Nie na darmo przez rok walczył wręcz.

Przyspieszyli. Droga zrobiła się bardziej wyboista,  
szczególnie gdy skręcili.

- Do diabła! - rozległ się krzyk woźnicy. Powóz

przechylił się groźnie. Nathan przycisnął dłonie do przeciwległych ścianek, żeby się nie przewrócić. Nagle pojazd skręcił gwałtownie i zatrzymał się.

- Do diabła! Mogłem zginąć - mruknął woźnica.

- Nie ruszaj się - rozległ się kobiecy głos.

Nathan zamarł.

- Zejdź na dół i wypuść więźnia.

*Ariel.*

I o ile się nie mylił...

- W tej chwili - dodała.

... przygotowała zasadzkę. Zerwał się na równe nogi i ze szczękiem łańcuchów rzucił się na drzwi.

- Daj spokój, chłopcze, nie mogę.

- Albo wykonasz polecenie, albo zrobię użytek z broni.

Zapadła cisza. Woźnica najwyraźniej rozważał swoją sytuację. Po chwili Nathan poczuł, jak powóz przechyla się. Rozległ się brzęk kluczy.

Nathan z ulgą zamknął oczy. Niesamowite, to nie żaden chłopak zatrzymał pojazd, tylko Ariel. Ratowała go. Powiedział sobie, że czuje tylko zwykłą wdzięczność, ale wiedział, że były to głębsze emocje.

Drzwi otworzyły się. Za strażnikiem, który zakładał mu kajdany, stała przebrana za chłopca postać w kapturze. Nathan nie miał jednak wątpliwości, że była to Ariel.

- Zdejmij je - poleciła cichym głosem.

W nikłym świetle poranka jej twarz pozostawała niemal niewidoczna.

- Szybko - dodała.

Mężczyzna zmrużył oczy. Nathan odgadł jego zamiary.



- Ariel...

Rzucił się na strażnika, któremu pistolet wysunął się z ręki i upadł na ziemię. Obaj mężczyźni runęli na ulicę. Nathan wylądował ciężko na plecach.

Kajdany okazały się błogosławieństwem, gdy woźnica cofnął się, żeby go uderzyć. Trevain zamachnął się i metalowa obręcz trafiła napastnika w głowę. Osunął się bez czucia na ziemię.

- Nathanie, Nathanie, nic panu nie jest?

Nie odpowiedział. Całe ciało bolało go od uderzenia o bruk. Nawet gdyby chciał, nie wykrztusiłby ani słowa. Leżał więc z zamkniętymi oczami.

- Nathanie?

Potrząsnęła nim. Niechętnie uniósł powieki. Patrzyły na niego cudowne, błyszczące oczy. Wypełniała je troska i coś jeszcze? Ulga? Odruchowo podniósł dłoń, która natychmiast jednak bezwładnie opadła.

- Wszystko w porządku, Ariel.

- Dzięki Bogu. To znaczy, że może pan wstać.

*Nie, nie każcie mi wstawać.*

Ariel szturchnęła go lekko.

- Szybciej, Nathanie, zanim nas ktoś zobaczy.

Trudno było odmówić słuszności jej rozumowaniu.

- Niech pani znajdzie u niego klucze. Trzeba mnie rozkuć.

Ariel zgodnie przytaknęła. Nathan powoli usiadł i przyglądał się, jak Ariel szuka kluczy. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i pocałować. Tylko z największym wysiłkiem pohamował swoje pragnienia.

- Są.

Szybko uporała się z zamkami, choć drżały jej dłonie. Co chwila zerkała czujnie dookoła. Gdy ostatni

z łańcuchów opadł na bruk, Nathan wziął ją za rękę. Natychmiast spojrzała mu w oczy.

- Dziękuję.

Pokiwiała głową.

- Proszę bardzo - odparła łagodnie.

Pocałowała ją teraz, gdyby nie wstała. Spojrzała w stronę stojących nieopodal dwóch koni. On zerknął na pojazd, którym go przewożono, i jęknął. Koń zniknął.

- Dziś rano obluzowałam dyszel. Nie było to łatwe zadanie, proszę mi wierzyć. Potem musiałam jechać za wami prawie milę, zanim się wysunął. Podrobienie podpisu ojca na dokumentach to przy tym bułka z masłem. Musiałam dziś rano przygotować fałszywy rozkaz odwołania konnej eskorty.

- Ariel, mógłbym panią pocałować.

- Proszę odłożyć to na później. Teraz trzeba się spieszyć.

Wzięła go pod rękę i zaprowadziła do koni. Stali pośrodku ulicy, wzdłuż której ciągnęły się domy. Wcześniej czy później ktoś dostrzeże zepsuty powóz i wezwie strażników, o ile już się to nie stało.

- Pan weźmie czarnego konia - poleciła, wsiadając na gniadego.

- Dokąd jedziemy? - spytał, usadowiwszy się na siodle.

- Do Portsmouth.

- Portsmouth? Dlaczego?

- Przypływa tam statek z pańskim bratem.

Nathanowi głos uwiązł w gardle. Tym razem poddał się pokusie, której opierał się od momentu, gdy po raz pierwszy tego dnia usłyszał jej głos. Pociągnął

konia bliżej w jej stronę, nachylił się i pocałował ją. Szybko, żeby nie obudziły się w nim inne pragnienia.

- Jestem pani dłużnikiem, Ariel D'Archer.

- Tak, jest pan. Ale będziemy kwita, gdy wreszcie ruszy pan z miejsca.

Nathan uśmiechnął się i spiął konia. Nagle ten dzień przestał mu się wydawać taki straszny.

## 19

Z Londynu wyjechali najszybciej jak się dało. Nathan zawrócił z głównej drogi, gdy tylko zmniejszył się ruch. Ariel podążyła za nim, niepewna, dokąd się wybiera. Najwyraźniej do dębowego zagajnika. Zatrzymał się w słonecznym prześwicie między wysokimi drzewami. W powietrzu unosił się zapach liści dębu i żyznej gleby.

- Dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Proszę mi powiedzieć, na jakim statku znajduje się mój brat.

- Czemu? - spytała podejrzliwie.

- Bo pani zostaje.

- Nie - zaprotestowała natychmiast.

- Tak, Ariel. To zbyt niebezpieczna wyprawa dla pani.

- Więc mam sama wrócić do miasta?

- To mniejsze zło.

- Ale jednak zło. - Prychnęła zdenerwowana. - Właśnie ocaliłam pana przed więzieniem. W biały dzień. A pan uważa, że podróż do Portsmouth będzie dla mnie niebezpieczna?

Nathan zmarszczył brwi.

- Nie martwię się podróżą, tylko tym, co czeka nas w Portsmouth.

- Niesłusznie, nic mi się nie stanie.

Zawróciła konia.

- Ariel, niech pani poczeka...

Zignorowała go. Co za głupi człowiek, pomyślała. Czyżby nie rozumiał, że nic jej nie powstrzyma przed dotrzymaniem mu towarzystwa?

Najwyraźniej nie, bo za chwilę ściągnął ją z konia. Jakimś cudem oboje wylądowali na nogach.

- Jak pan to, u licha, zrobił?

Przycisnęła się do niego. Jej peleryna rozchyliła się. Bez hałek i krynolin wyraźnie czuła każdy mięsień w jego nogach.

- Tej sztuczki nauczyłem się na wojnie, moja droga.

Czy wydawało jej się, czy też jego głos zabrzmiał trochę niepewnie? Ciało zaczęło się jej się przyjemnie rozgrzewać. Nie sprawiło tego pożądanie, tylko coś innego, cudownego i poruszającego.

- Bardzo ciekawa - przyznała.

Nathan nie wypuszczał jej z ramion.

- Rzeczywiście - zgodził się.

Była pewna, że zaraz ją pocałuje. Nawet czekała na to. On tymczasem przyłożył nos do jej nosa. Kontury jego twarzy zamazały się. Nie widziała jego oczu, czoła ani blizny. Zamarła. Zaciekawiona zastanawiała się, co zamierzał zrobić.

- Co pan robi?

- Próbuję oczami powiedzieć pani, że pani zostaje.

Jego oddech łaskotał jej skórę. Uznała, że to bardzo przyjemne. Zdziwiło ją to spostrzeżenie, bo do tej pory nigdy nie zwracała uwagi na takie rzeczy.

- I co, działa? - spytał.

Ariel nieznacznie odchyliła głowę do tyłu.

- Nie.

- Więc niech mnie pani posłucha. Nigdzie pani nie jedzie.

Jego oddech znów musnął jej wargi. Mocniej przycisnął się do niej.

- Owszem, jadę - odparła i przysunęła się jeszcze bliżej.

Oczy Nathana zapłonęły.

- Proszę, Ariel, niech się pani ze mną nie kłóci.

Boże, jakie on miał niezwykle oczy. Tyle kolorów: zielony, błękitny i srebrnoszary stopiony w jeden.

- Nie kłócę się, tylko stwierdzam fakty. Jedziemy razem.

- Nie ma mowy.

Ariel coraz bardziej poirytowana odsunęła się niechętnie.

- A co pan zrobi, jeśli pana nie posłucham? Znowu przywiąże mnie do drzewa?

- Tak - odparł i skrzyżował ramiona na piersi.

- Jak mnie pan zwiąże? - spytała ironicznie. - Wstążką, którą ma pan we włosach?

- Nie, lejcami.

Ariel wsparła dłonie na biodrach.

- Świetnie!

- Zgadzam się, że to dobry pomysł.

Zmrużyła oczy.

- Nathanie, nie ma czasu na kłótnie. Statek z pana bratem wkrótce zawinie do portu...

- Jak się nazywa ten statek? - przerwał jej.

- Nie powiem panu, więc musi mnie pan zabrać ze sobą.

Trevain przysunął się do niej i przyciągnął ją do

siebie. Popatrzył na nią tak serdecznie, że głos uwiązł jej w gardle.

- Proszę, Ariel, niech się pani nie upiera. To zbyt niebezpieczne.

Ariel przełknęła ślinę, otworzyła usta i jeszcze raz przełknęła ślinę.

- Pan mnie potrzebuje, Nathanie. Jestem córką pierwszego lorda, mogę panu pomóc. Już pan o tym zapomniał?

Puścił ją.

- Oczywiście, że nie zapomniałem.

- Więc o tym też powinien pan wiedzieć.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go. Nie chciała go prze-razić, ale zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy póź-niej będzie musiała mu powiedzieć o bracie.

- O czym?

Ariel nabrała głęboko powietrza w płuca.

- Kapitan statku, na którym znajduje się pana brat, Pike, przypłylnie do Portsmouth na sąd wojenny. Je-śli pojmał ludzi, którzy mają stanąć przed sądem wo-jennym, sprawa jest poważna.

Trevain odwrócił się na pięcie.

Do diabła, wiedziała, co się teraz stanie.

- Dokąd pan idzie? - spytała, choć znała odpowiedź.

- Ruszam w drogę - odparł i chwycił wodze. - Nie ma czasu na kłótnie.

Czy nie to właśnie cały czas starała się mu wytłu-maczyć?

Wsiadł na konia i spojrzał na nią.

- Jedzie pani?

Pomyślała, że niektórzy mężczyźni potrafią zacho-wywać się jak idioci.

- Tak.
- Więc proszę się pospieszyć.

Gdy prawie pięć godzin później dotarli do Portsmouth, Ariel stwierdziła, że niewiele zmieniło się tu od jej ostatniego pobytu. Fosa i wał obronny otaczające miasto nadal wydzierały cuchnący zapach. Do środka wjechali przez jedną z dwóch bram. Jak zwykle wszędzie było pełno żołnierzy. Gdy mijała ich grupa mężczyzn w niebieskich mundurach, wszyscy przyrzekli się jej uważnie. Ariel naciągnęła kaptur niżej na twarz. Z ulgą spostrzegła przystań w niewielkiej odległości przed nimi.

- Wess może być na jednym z tych statków.

Wzdrygnęła się na dźwięk głosu Nathana. Rzeczywiście, było to prawdopodobne. Kilka trój- i dwumasztowych statków czekało zakotwiczonych na przystani. I nic dziwnego. Jako córka pierwszego lorda, Ariel wiedziała, jak odbywa się sąd wojenny. Musiało być obecnych od pięciu do trzynastu oficerów. Sąd wojenny organizowano w przypadku przestępstw karanych więcej niż trzydziestoma batami, do których należała dezercja, i przestępstw karanych śmiercią, na przykład morderstwa czy tchórzostwa. Nigdy nie było to przyjemne doświadczenie. Jeśli Wess Trevain żył i dopuścił się dezercji, będzie postawiony przed sądem w Portsmouth.

Jeśli żył.

- Musimy się dowiedzieć, kiedy zbiera się sąd - urywanym głosem oznajmił Nathan.

- Spytajmy kogoś.

Nathan kiwnął głową. Ariel ściągnęła cugle. Pierw-



szą osobą, którą mijali, był niski, żylasty mężczyzna wyglądający na rybaka.

- Sąd wojenny? - powtórzył słowa Nathana. - Tak, słyszałem o nim. Już się zebrał. Statki zawinęły do portu wcześniej, więc wszystko odbyło się rano.

- Nie - jęknęła Ariel.

Mężczyzna zerknął na nią. Ariel zamarła w obawie, że zostanie rozpoznana, ale najwyraźniej nie.

- Czy statki nadal są w porcie? - spytał Nathan.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Tak, trzy jeszcze są.

Ariel wstrzymała oddech.

- Kapitanowie Hillis, Crane i Bantry. Pike wypłynął z portu, jakby się paliło.

Ariel zaniemówiła. Nathan zacisnął zęby. Chwycił wodze tak mocno, że zbieleły mu kostki.

- Dziękuję panu - powiedział cicho.

Mężczyzna pokiwał głową i odszedł. Nathan siedział bez ruchu i patrzył przed siebie. Ariel była przekonana, że nic nie widzi.

- On wciąż może żyć - powiedziała i zbliżyła się do niego.

- Może też nie żyć - odparł.

- Nie, myli się pan.

Trevain nie miał jednak ochoty się kłócić. Jeszcze mocniej zacisnął pięści. Paznokcie wyraźnie wbijały mu się w dłoń.

- Znajdziemy go, Nathanie, obiecuję.

- Jak? - spytał i odwrócił się do niej. - Wynajmiemy korwetę? Będziemy go ścigać po oceanie, na którym przepływający statek nie zostawia żadnych śladów?

- Jest to jakieś wyjście.

- Niech pani nie żartuje. Prędzej znaleźlibyśmy igłę w stogu siana.

Zrobiło jej się przykro, gdy nieprzyjemnie podniósł głos.

- Nathanie - zaczęła jeszcze raz - przynajmniej spróbujmy. Jestem córką pierwszego lorda. Na pewno mogę w czymś pomóc.

- Tak, właśnie pani pomogła.

Ariel boleśnie dotknęły te słowa. Patrzyła, jak Trevain spina konia i podjeżdża do pobliskiego zajazdu. Podążyła za nim, choć czuła się bezradna i zraniona. W dodatku doskonale rozumiała rozpacz, jaka go ogarnęła.

- Co robimy?

- Zatrzymamy się tu na noc.

- Nie powinniśmy wracać do Londynu?

- Nie. Tutaj najprędzej odnajdę Wessa.

Powiedział: odnajdę. Więc nie życzył sobie jej pomocy.

- Nathanie, proszę...

Wszedł do budynku, nie poświęcając jej więcej uwagi. Zapłacił gospodarzowi i dopiero gdy wspięli się na górę, odwrócił się do niej. Podał jej klucz, wszedł do swojego pokoju i zatrzasnął drzwi.

Ariel wpatrywała się w porysowane drewno, zastanawiając się, co robić.

*Zostaw go, Ariel. On teraz potrzebuje czasu.*

Ale ona nie chciała się wycofać. Chciała... Właśnie, czego?

Pocieszyć go.

Podeszła do jego drzwi i stanęła. Wiedziała, że to, co zaraz zrobi, może na zawsze zmienić jej życie.

Uniosła dłoń, ale zaraz ją opuściła. Pomyślała, że Nathan nie ma teraz ochoty na towarzystwo. Po krótkiej wewnętrznej walce zapukała.

Cisza.

W pierwszym odruchu miała ochotę poddać się i odejść, ale budzące się w niej uczucie kazało jej zastukać jeszcze raz. Gdy nie odpowiedział, nacisnęła klamkę.

Drzwi otworzyły się.

- Co pani robi? - warknął, odwracając się do niej.

Stał przy oknie po przeciwnej stronie pokoju. Po lewo znajdował się kominek, po prawo łóżko. Patrzył na nią twardym, nieprzejednanym wzrokiem.

- Musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym.

- Chcę pomóc.

- Pomóc? Jeszcze pani mało?

Zabrzmiało to tak, jakby winił ją za zniknięcie brata. Nie okazała jednak, jak zabołały ją jego słowa. Wiedziała, że był zrozpaczony. Gdyby tylko udało jej się go przekonać, że Wess żyje.

- Nathanie, proszę mi uwierzyć, gdy mówię...

- Nie, Ariel. Nie będę pani słuchał. Proszę odejść.

Odwrócił się do niej tyłem. Podeszła bliżej, chociaż czuła się, jakby próbowała osaczyć wilka w jego jamie.

- Nathanie, proszę - powtórzyła i stanęła przed nim.

Zamarła, gdy spojrzała mu w oczy. Płakał. Chociaż nie, niezupełnie. Jedna jedyna łza spływała mu po policzku, ale w przypadku takiego mężczyzny jak Nathan Trevain równało się to rozdierającemu szlochowi.

Mężczyźni jego pokroju nie płaczą. Wrzeszczą. Krzyczą. Ale nie płaczą.

- Nathanie - szepnęła i położyła mu dłoń na policzku, tak jak on zwykł był to robić, gdy się denerwowała.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ogarnął ją strach. Trevain patrzył na nią ze smutkiem i rezygnacją.

- Niech pani odejdzie, Ariel.

Potrząsnęła głową.

- Potrzebuje mnie pan.

- Nie potrzebuję nikogo.

- Ciii - uspokajała go. Położyła mu palce na wargach. - Ciii.

Przytuliła się do niego mimo obawy, że ją odepchnie.

Kocham cię, pomyślała. Kocham cię, Nathanie. Nie odrzucaj mnie.

Odsunęła się szybko, zanim zdążył wykonać jakikolwiek ruch. Spojrzała mu głęboko w oczy i zrozumiała, że nie pomyliła się co do swoich uczuć.

Niespodziewanie dla samej siebie zakochała się w tym mężczyźnie. Nieważne, że ją porwał i próbował wykorzystać. Na jego miejscu też zrobiłaby wszystko, żeby ratować brata. Różnił się od Archiego jak słońce od deszczu.

- Nathanie - wykrztusiła przez zęby.

Znów pogładziła go po policzku. Nie poruszył się.

- Pocałuj mnie.

- Nie.

- Tak - zaprotestowała. - Chcę ci pomóc zapamiętać.

Stanęła na palcach i przyciągnęła do siebie jego głowę. Pocałowała go delikatnie.

- Do diabła - jęknął.

Próbował ją odsunąć, ale nie pozwoliła mu. Zacieśniła uścisk i pocałowała go mocniej. Bała się, że odsunie się od niej, ale on tymczasem niespodziewanie zagarnął ją w ramiona. Jęknęła, gdy opadł ustami na jej wargi.

*Tak*, pomyślała. *Tak*. O to jej cały czas chodziło. Za tym tęskniła. Za sposobem, w jaki przechylał głowę, gdy ją całował. Za jego zapachem. Dlaczego wcześniej nie domyśliła się, jak bardzo go pragnie?

- Ariel - szepnął i ujął w dłonie jej głowę.

Miał ciepłe ręce. Na policzku poczuła jednak chłodny metal sygnetu. Pozwoliła całować się coraz namiętniej. Krew spływała jej w miejsca, które rozgrzane płonęły. Znała to uczucie, wiedziała, że zapowiada coś więcej, coś najwspanialszego na świecie i tego właśnie pragnęła.

Nagle Nathan odsunął się. Oboje ciężko dyszeli.

- Ariel - jęknął Trevain, po czym znów zaczął ją całować.

Tym razem jednak nie w usta, tylko w policzek, potem w czoło. Ariel odetchnęła z ulgą, sądząc, że to koniec pieszczot, ale nie. Pocałunki mężczyzny zrobiły się bardziej drapieżne, drażniące. Dotykał miejsc, których nikt do tej pory nie całował: skroni, brody.

- Nathanie - szepnęła.

Jego ręce zsunęły się z jej głowy. Włożył je pod płaszcz i rzucił go jej z ramion. Teraz zachłannymi pocałunkami obsypywał jej szyję.

Ariel zakręciło się w głowie. Było jej tak przyjem-

nie, że chętnie spędziłaby tak całą wieczność. Chciała... Chciała...

Właśnie, czego?

Nie potrafiła sprecyzować, ale jednego była pewna: Nathan oczarował ją swoimi pocałunkami i wiedziała, że nigdy nie będzie miała ich dosyć.

Nagle odsunął się od niej. Do świadomości Ariel zaczął przedzierać się rozsądek, ale wtedy poczuła wargi Nathana na uchu. Zamknęła oczy.

- Ariel - szepnął. - Pragnę cię. Jeśli nie wyjdiesz stąd teraz, posiadam cię.

- Więc posiądź mnie.

- Nie. Nie dziś.

- Tak. Dziś - odparła i odważnie dotknęła jego białej koszuli. Poczowała, jak naprężył mięśnie. - Ja też tego pragnę, Nathanie. Niczego w życiu nie pragnęłam bardziej.

*Kocham cię*, dodała w duchu, wyzbywszy się wszelkich wątpliwości co do swoich uczuć. Kochała go, mimo że ją nikczemnie potraktował. Kochała go, bo poprosił ją o pomoc. Kochała go, bo jej zaufał. Ale przede wszystkim kochała go, bo stał teraz przed nią, całował ją i pieścił, chociaż musiała mu się wydawać wrogiem.

- Czemu płaczesz?

Nie zauważyła, że łzy zaczęły jej płynąć po policzkach.

- Płaczę nad tobą, Nathanie - powiedziała łagodnie. - Płaczę, bo wiem, że myślisz, iż twój brat nie żyje. Ale to nieprawda. Przysięgam ci to. Odnajdziemy go, musisz w to uwierzyć.

- Pokaż mi, jak mam to zrobić, Ariel, bo nie wiem. Pokaż mi.

Zrozumiała, o co mu chodzi, ale nie potrafiła spełnić jego prośby.

- Pocałuj mnie - szepnęła.

Zawahał się. Ariel nie spuszczała z niego wzroku.

- Oboje będziemy tego żałować.

- Nie - odparła. - Nigdy.

Wtedy znów ją pocałował, ale bardziej gorącko niż przedtem. Zaczęli sobie nawzajem rozpinać guziki koszul. Ariel wiedziała, że zbliżają się do punktu, z którego nie będzie już odwrotu. Z niecierpliwością czekała na to, co się wydarzy. Nathan zdjął jej koszulę i nachylił się, żeby ona mogła ściągnąć jego. Gdy przed jego oczami osłaniały ją jedynie bandaże, którymi miała owinięte piersi, zaczęli poruszać się wolniej. Nathan wpatrzony w jej oczy zaczął ostrożnie rozwijać materiał.

- Unieś ramiona.

Ariel zamknęła oczy i wykonała polecenie. Czuła każde muśnięcie jego palców, każdy dotyk. W końcu została już tylko jedna warstwa.

- Chcesz, żebym przestał?

Wiedziała, że Nathan ostatni raz zadaje jej to pytanie. Teraz albo nigdy.

- Nie przestawaj - szepnęła.

Pociągnął mocniej i bandaż opadł na podłogę, odsłaniając piersi. Wydawało jej się, że jęknął, ale nie była pewna.

- Boże, jesteś taka piękna.

Uniosła głowę i spojrzała na niego. Po raz pierwszy popatrzyła na siebie jego oczami.

- Czuję się piękna - powiedziała.

Dla niego była najwspanialszą kobietą na świecie.

Miała doskonałą figurę i skórę jasną jak blask słońca na jedwabiu. Zaczął powoli zapominać o bracie. Dał się porwać namiętności.

Dotknął jej piersi.

- Nathanie - jęknęła.

Jej sutek stwardniał. Czuł, jak jego pożądanie gwałtownie rośnie. Musiał ją osiąść jak najszybciej.

Nadal jednak gładził ją i pieścił, patrzył, jak odchyła głowę do tyłu i czarne włosy opadają jej aż do talii. Nie mógł oderwać od niej rąk, chciał słuchać jej jęków. Zbliżył się do niej, nachylił i pocałował ją, nie przestając pieścić. Ariel natychmiast rozchyliła usta, tak jak tego pragnął.

- Dotykaj mnie, Ariel - poprosił.

Posłuchała go. Najpierw dotknęła jego piersi niepewnie, potem z rosnącym pożądaniem. O mało nie stracił panowania nad sobą, gdy okazało się, jak działają na niego jej pieścizny.

Rozluźnił węzeł, który podtrzymywał spodnie Ariel. Opadły od razu.

Odstąpił o krok i pożerał zachłannym wzrokiem jej nagie ciało.

Była spełnieniem jego marzeń. Wyciągnął rękę i dotknął jej barku, potem znowu piersi. Okrążył ją i zeszliźnął palce wzdłuż żeber na bok, a potem na brzuch. Mięśnie Ariel kurczyły się pod jego dotykiem. Dostała gęśiej skórki.

- Nathanie - szepnęła, gdy jego ręka zsunęła się niżej.

Zachwycony nie odrywał od niej wzroku, nawet gdy jego dłoń dotarła do wzgórka ponad udami.

- Nathanie - westchnęła.



Głowa opadła jej na ramię. Zbliżył się do niej jeszcze bardziej, ale uważał, żeby ich ciała się nie zetknęły. Kosztowało go wiele wysiłku, żeby pohamować namiętność.

Gdy jego palce powędrowały jeszcze niżej, Ariel zaczęła ciałem napierać na jego dłoń. Nie mógł nasycić się jej widokiem. Jęknęła, szukając zaspokojenia.

Nagle chwyciła go za ramiona i uniosła powieki. Patrzyła na niego zamglonym, nieprzytomnym wzrokiem.

- Och, Nathanie.

- Oddaj się namiętności, Ariel.

Potrząsnęła głową, ale nie przestała się poruszać. Nachylił się do niej i pocałował ją. Drżącymi rękami pokazał jej, jak ma go dotykać. Jęknął donośnie, gdy zaczęła go pieścić.

Zupełnie zatracił poczucie rzeczywistości, nawet nie zauważył, że przenieśli się na łóżko. Dopiero gdy ją delikatnie kładł, uświadomił sobie, co zrobił. Ogarnięty niepohamowaną namiętnością, myślał już tylko o jednym; kochać się z nią. Ogień z kominka rzucał na skórę Ariel migające cienie. Najpiękniejsze jednak były jej oczy. Wypełniało je pragnienie ani trochę nie mniejsze niż jego. Żadnego wahania czy nieśmiałości, jedynie pożądanie i coś jeszcze, co sprawiło, że znów zaczął ją zachłannie całować. Po chwili leżeli w łóżku obok siebie nadzy.

Ariel ani razu nie zaprotestowała, gdy gładził jej biodra zachwycony gładką, jędrną skórą. Pragnęła go tak samo jak on jej. Zdradzał to jej wzrok i ciało, gdy przytulała się do niego namiętnie.

- Nathan - po raz kolejny wyszeptała jego imię.

Zamknął oczy. Jej zachrypnięty głos doprowadził go niemal do utraty zmysłów. Czy ona jest dziewczcą? pomyślał niespodziewanie. Sprawiała wrażenie kobiety światowej, takiej, która wie, czego chce od mężczyzny i nie boi się po to sięgnąć.

Ale nawet jeśli był ktoś przed nim, czy rzeczywiście miało to jakiegokolwiek znaczenie?

Na krótką chwilę oprzytomniał, ale wtedy Ariel dotknęła jego twarzy. To był taki zwykły, prosty gest, ale sposób, w jaki na niego patrzyła, uniosła głowę z poduszki i pocałowała go, rozwiał wszelkie wątpliwości. Uświadomił sobie, że wcale nie interesuje go jej przeszłość, nie mógł się już cofnąć, tylko iść do przodu.

- Proszę - błagała Ariel.

Wiedział, czego pragnęła. Czuł, że zbliża się dla niej moment spełnienia.

- Ariel, tego, co zrobimy, nie da się cofnąć. Rozumiesz? - powiedział na pół pytającym, na pół błagalnym tonem.

Pokiwała głową.

- Zrób mi to, Nathanie, proszę.

Uniosła biodra. Więcej nie był w stanie znieść. Zaczął powoli w nią wchodzić. Była dziewczcą i nie chciał jej sprawiać bólu.

- Nie - zaprotestowała, gdy chciał się wycofać.

- Poczekaj, kochanie - uspokoił ją.

Tym razem wsunął się w nią głębiej. Zapragnął znów ją pocałować, ale wiedział, że wówczas straci panowanie nad sobą.

- Tak - szepnęła gorączkowo. - Och, Nathanie, tak. Zamknęła oczy i wcisnęła głowę w poduszkę.

Znów wysunął się z niej, po czym wszedł trochę głębiej niż poprzednim razem.

- Przytrzymaj mnie mocno, Ariel - polecił.

W pewnej chwili Ariel poczuła ból, ale zaraz o nim zapomniała, niesiona rozkoszą. Wreszcie krzyknęła doprowadzona ekstazy.

- Ariel - szepnął. - Moja słodka Ariel.

- Nathan - odpowiedziała mu wprost do ucha. - Mój drogi Nathan.

To, co wydarzyło się między Ariel i Nathanem, sprawiło, że pokochała go jeszcze bardziej. Jej ciało wciąż płonęło od jego pieszczot.

Spał. Przyglądała mu się w przyćmionym świetle padającym z kominka. Nawet we śnie wyglądał na wojownika, głównie ze względu na swoje blizny. Jedną miał na twarzy, drugą na plecach, trzecią na klatce piersiowej. Najchętniej ucałowałaby je wszystkie, ale przede wszystkim pragnęła, aby zabił ją największa rana. W sercu.

Wess Trevain.

Zamknęła oczy, zastanawiając się, jak go odnaleźć. Ale do głowy przychodziło jej tylko jedno wyjście - poprosić o pomoc ojca. Na samą myśl o takiej możliwości cierpła jej skóra, bo z trudem dogadywała się z ojcem w zwykłych, codziennych sprawach.

Niestety, nie miała wyjścia. Kochała mężczyznę, który w tej chwili leżał obok niej, a Nathan nie potrafiłby już nigdy cieszyć się życiem, gdyby nie odnalazł brata. Dlatego za wszelką cenę musiała odszukać Wessa Trevaina. Jeśli żył.

Nie, skarciła się szybko w myślach. Nie ma sensu się zdręzczać przypuszczeniami. Jeśli nawet Wess zginął, Nathan nie mógł jej obarczać winą za jego śmierć. Przecież to nie ona wywołała wojnę.

Wytrącona z równowagi, ostrożnie, żeby nie zbudzić Nathana, wstała z łóżka. Na zewnątrz było ciemno i mglisto. W taką pogodę ma się wrażenie, że mgła wciska się przez szpary do domu i przenika ubrania.

Postanowiła wziąć kąpiel, ale w swoim pokoju, żeby nie przeszkadzać Nathanowi. Ubrała się po cichu i już od siebie zadzwoniła po służącego. Narzuciła szary płaszcz i czekała.

- Lady Ariel D'Archer? - spytał męski głos, gdy otworzyła drzwi.

Ariel wzdrygnęła się, ale nie na dźwięk swojego nazwiska, tylko na widok stroju przybysza.

Złote guziki i insygnia wskazywały na oficera wysokiej rangi. Wyglądał młodo, pewnie byli w tym samym wieku. Twarz i włosy miał przypudrowane. W kącikach oczu zebrały mu się zmarszczki od długiego przebywania na morzu.

- Mam rozkaz zabrania panią ze sobą.

- Rozkaz? Od kogo? - I skąd ten ktoś wiedział, gdzie ją znaleźć?

- Nie mogę powiedzieć nic więcej. Pójdzie pani ze mną dobrowolnie?

Ariel na końcu języka miała „nie”. Zerknęła na drzwi, za którymi spał Nathan, i zorientowała się, że jedyną osobą, która zna miejsce jej pobytu, jest lord Gordon. Czyżby postanowił jej nadal pomagać?

- Czy przysłał pana lord Gordon?

- Tak.

Ariel westchnęła z ulgą.

- Więc dobrze, pójdę z panem.

Pospiesznie podążyła za oficerem, który zdążył już się oddalić. Przemknęło jej przez myśl, żeby zawi-

domić Nathana, ale zmieniła zdanie. Jeśli nie wiedzieli, gdzie jest, tym lepiej.

Na zewnątrz powietrze było wyjątkowo wilgotne. Poczuła, jak kropelki mgły osiadają jej na twarzy. Mężczyzna pomógł jej wsiąść do dorożki i zajął miejsce naprzeciwko niej.

- Dokąd jedziemy?

- Na przystań.

Serce Ariel zamarło. Czyżby Gordon odnalazł Wessa? Czy ten człowiek zabierze ją do brata Nathana? Tak bardzo chciała odnaleźć Wessa Trevaina, że aż zaparło jej dech w piersiach.

Na przystani znaleźli się w kilka minut. Mocniej zacisnęła poły płaszcza, bo nad samą wodą było chłodno.

Wsiedli do łodzi pełnej wioślarzy. Oficer zajął miejsce obok niej, ale nie zdołał osłonić jej przed mroźnym wiatrem.

Podenerwowana Ariel wierciła się na siedzeniu. Jej podniecenie rosło, w miarę jak oddalali się od brzegu. We mgle trudno było dostrzec statek, do którego płynęli. Zobaczyli go w ostatniej chwili. Przytłaczał swoim ogromem. Wystawał nad wodę jak czteropiętrowy budynek. Był to okręt wojenny. Na takich jednostkach służył jej ojciec.

Zamarła na wspomnienie ojca. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Nie jesteś tu z powodu lorda Gordona?

- Owszem, jesteś tu z jego powodu, ale nie z nim się pani zobaczy.

Ariel zamknęła oczy. Boże, nie. Tylko nie ojciec. Nie zapytała o nic, bo się bała.

Chociaż czy rzeczywiście miała powód? Sąd wojen-

ny już się odbył. Mogli w nim uczestniczyć tylko wysocy rangą oficerowie, więc jeśli ojciec był w pobliżu, musiał się na nim stawić. A jeśli lord Gordon wiedział o tym? Jeśli powiadomił ojca o jej prawdopodobnym przybyciu? Jeśli w ten sposób chciał się jej pozbyć?

Zaschło jej w gardle i spociła się ze zdenerwowania. Na próżno wyteęzała wzrok, żeby odczytać nazwę statku. Było tak ciemno i mglisto, że widziała jedynie jego zarys.

- Statek, ahój! - krzyknął z pokładu marynarz, gdy otarli się o burzę.

- Pomogę pani - powiedział oficer.

Ariel pokiwała przyzwalająco głową. Kiedyś wspinała się na pokład statku, ale oczywiście nie w chłopięcych ubraniach. W spodniach i wysokich butach na pewno będzie jej łatwiej. Odetchnęła głęboko i wstała. Teraz miała ostatnią możliwość zawrócenia. Wiedziała jednak, że jeśli na pokładzie czekał jej ojciec, oficerowie dostali rozkaz, aby doprowadzić ją za wszelką cenę.

Jakby była członkiem załogi, a nie jego córką.

Przeczuwała, że to właśnie ojciec kazał ją sprowadzić. Oficer traktował ją z wyraźnym szacunkiem, a przecież kobieta w męskim przebraniu raczej nie powinna liczyć na poważanie.

- Jest pani gotowa? - spytał.

Potaknęła. Chwycił ją w talii i uniósł, przytrzymując jednocześnie drabinę. Była to najtrudniejsza rzecz, jaką musiała zrobić, i to wcale nie dlatego, że wymagała fizycznego wysiłku. Jeśli rzeczywiście czekał na nią ojciec, nie wróżyło to nic dobrego. Musiał dowiedzieć się, że próbowała pomóc Nathanowi Trevaino-

wi. Mógł również przypuszczać, że została jego kochanką.

Wspomnienie miłosnego uniesienia, które przeżyła kilka godzin temu, dodało jej odwagi. Dumnie wkroczyła na pokład i w przyćmionym świetle latarni rozejrzała się po zaciekawionych twarzach marynarzy.

- Więc Gordon miał rację. Zdradziłaś kraj.

Odwróciła się na pięcie.

Za nią stał ojciec. Powiedziała sobie, że nie ma czego się bać. Ostatecznie już wcześniej przysparzała mu kłopotów. Zniszczyła własną reputację, a on nie odeśłał jej z kraju.

Po prostu przestało mu na niej zależeć.

- Witaj, ojcie. - Przywitała się skinieniem głowy.

- Gdzie ją znaleźliście? - spytał oficera, który właśnie wspiął się na pokład.

- W gospodzie.

- Była sama?

Oficer przytaknął.

- Trevain był w pokoju naprzeciwko.

A więc wiedzieli, że tam jest. Ogarnął ją paniczny strach.

Ojciec zmierzył ją zimnym jak lód spojrzeniem.

- Przyprawdźcie ją tu.

- Sama przyjdę - odparła, ale ojciec już się oddalił.

Oficer wziął ją za łokieć. Chciała się wyrwać, ale trzymał mocno. Marynarze przyglądali się przez chwilę tej scenie, po czym wrócili do swych zajęć. Ciekawe, ile powiedział im ojciec? Zresztą co za różnica.

Ruszyli za admirałem. W powietrzu unosił się zapach konopi i słonej wody. Po lewej stronie Ariel widziała wysokie maszty. Statek stał w porcie, więc za-



gle były zwinięte. Przy burcie umieszczono działa. Ariel pomyślała o bitwach, w których ten okręt musiał brać udział, i ludziach, którzy zginęli rażeni ogniem z jego armat.

Przeszli na rufę, gdzie ojciec zniknął za drzwiami do swojej kabiny. W świetle rzucanym przez niewielkie latarnie widziała jego wyprostowane plecy. Nie nosił peruki jak większość oficerów na statku.

Oficer, który eskortował Ariel, zatrzymał się przed drzwiami i przepuścił ją przodem.

- Dziękuję, Phillips.

Mężczyzna kiwnął głową i zerknął na Ariel ze współczuciem. Zdziwiła się, ale i uspokoiła jednocześnie. Nie pierwszy raz musiała stanąć przed rozgniewanym ojcem. Uśmiechnęła się lekko do oficera.

Stała wyprostowana. Ręce opuściła wzdłuż tułowia.

Wewnątrz jednak dygotała.

Ojciec bardzo powoli odwrócił się do niej. Prawą dłoń oparł na małym biurku zarzuconym papierami. Ariel wiedziała, że za drzwiami, które znajdowały się naprzeciwko wejścia, była prywatna kajuta. Nie łądziła się też - po tylu latach - że ojciec ją tam wpuści, ale chętnie dowiedziałyby się, dlaczego zabraniał jej tam wstępu.

- Gordon powiadomił mnie, że pomagasz zdrajcy Trevainowi odnaleźć jego brata. To prawda?

Mówił cicho, ale dobitnie. Nauczył się tej sztuki, przekrzykując wiatr i huk fal. W błękitno-złotym mundurze admirała wyglądał na przywódcę.

- Tak, ojcze, to prawda.

Nie odpowiedział. Jak zwykle Ariel zaczęła się zastanawiać, jakim cudem mogli być ze sobą spokrew-

nieni. Tak bardzo różnili się od siebie. Ojciec teraz osiwiiał, ale kiedyś był blondynem. Miał pociągłą twarz, arystokratyczny nos i ostro zarysowaną szczękę. Musiała odziedziczyć urodę po matce.

W końcu admirał wziął się w garść. Zacisnął pięści i zmrużył oczy.

- Jestem rozzarowany twoim zachowaniem, córko.

Ariel z całych sił starała się ukryć, jaki ból sprawił jej swoimi słowami, mimo że ich oczekiwała.

- Tylko rozzarowany, ojczy? Przykro mi to słyżeć, bo zawsze chciałam cię zawieść. Widzę, że znów mi się nie udało.

Oczy admirała rozbłyły. Ariel nie wiedziała, dlaczego zawsze w podobnych sytuacjach prowokowała ojca. Zachowywali się jak dwa różne fronty pogodowe, które ścierają się w huku piorunów.

- Powinienem był wydać cię za mąż - warknął.

- Po co? Przeczy wtedy ominęłaby cię przyjemność ignorowania mnie przez całe życie i dawania mi do zrozumienia, że znacę dla ciebie mniej niż twoi oficerowie. W dodatku nie wyjeżdżałbyś tak często, żeby m czuła się sierotą.

- Mam wiele obowiązków w Admiralicji.

- Większość admirałów nie opuszcza miasta, ojczy, nie oszukuj. Znam prawdę. Ty umyślnie mnie unikasz.

Weszła głębiej do pokoju. Dopiero teraz zauważył, że Ariel ma na sobie ubranie chłopca. Spojrzał na nią z jeszcze większym niesmakiem.

- Dziś muszę się dowiedzieć, dlaczego tak jest - dodała.

Za nic nie chciała się rozpłakać, ale łzy same napłyły jej do oczu. Zupełnie niepotrzebnie, bo wiedzia-

ła przecież od dawna, że ojciec jej nie kocha. Dopiero teraz jednak odważyła się zapytać, dlaczego.

- Nie będę dyskutował na temat naszych stosunków, Ariel. Porozmawiamy natomiast o Nathanie Trevainie.

- Co z nim zrobiłeś? - spytała zaniepokojona, widząc zadowoloną minę ojca.

- Nic... na razie.

- Jak to?

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że córka pierwszego lorda nie może utrzymywać żadnych stosunków z tym człowiekiem? Został ponownie zatrzymany. Ale uwolnię go, jeśli obiecasz, że nigdy więcej się z nim nie zobaczysz.

- To niemożliwe - krzyknęła. - Ojcze, ja... - zaważała się, szukając odpowiednich słów. - Kocham go - powiedziała i urwała. Dopiero po chwili mogła zacząć mówić znowu: - Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale mówię prawdę. Nathan jest wspaniałym człowiekiem, który walczył za swój kraj z takim samym oddaniem, jak twoi żołnierze. Gdybyś się z nim spotkał...

- Nigdy - uciął. - Popełniłbym polityczne samobójstwo. Moje stanowisko nie jest dożywotnie, czyżbyś o tym zapomniała?

- Czy dla kariery poświęciłbyś szczęście jedynej córki?

- Czyżbyś była wyrodną córką, która nie waha się poświęcić kariery ojca dla własnej wygody? Kolejny raz? Już zażegnałem dla ciebie jedną burzę... z trudem. Znosi się na następną. Co powiem Howellowi, Parkerowi i innym? Przepraszam, panowie, ale moja córka zakochała się w zdrajcy?

- Czy to takie trudne?

- Niemożliwe. Będą się zastanawiać, czy człowiek, który nie radzi sobie z własną córką, może dowodzić marynarką wojenną.

- Nie musisz sobie ze mną radzić, ojczec. Pozwól mi tylko wyjść za niego. Wyjadę i pozbędziesz się mnie na zawsze.

- Sądzisz, że będzie chciał się z tobą ożenić, znając twoją przeszłość? Czyżby Archie niczego cię nie nauczył?

Ariel odczuła słowa ojca jak policzek.

- Archie był zupełnie inny. Nie miał charakteru. Nathan Trevain jest najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego znam.

- Do tego stopnia honorowym, że cię porwał? I wykorzystał, gdy udawałaś, że jesteście zaręczeni? Tak, wiem o wszystkim, chociaż nie rozumiem, jak Phoebe mogła ci na to pozwolić. I pomyśleć, że w ten sposób próbowałaś odzyskać pozycję w społeczeństwie!

- Zrobiłam to tylko dla Phoebe. A Nathan nie mógł się inaczej zachować. Ty, jako żołnierz, na pewno to rozumiesz.

- Rozumiem świetnie, że ten mężczyzna udawał, iż cię kocha, tylko po to, żeby skłonić cię do współpracy.

- Tak sądzisz?

- Oczywiście.

- Mylisz się. On mnie kocha. Czuję to. - Położyła sobie dłoń na sercu. - Tutaj.

Ojcu najwyraźniej nie spodobały się jej słowa.

- Cóż, i tak nie będziesz miała okazji, żeby się przekonać, czy masz rację, czy nie. Zostanie na mój rozkaz zabrany do Tower.

- Dziwi mnie, że jeszcze nie wydałeś tego rozkazu.  
- Nie zrobiłem tego, bo chciałem ci coś zaproponować.

Spojrzał na nią przebiegle.

- Zaproponować?

- Uwolnię Nathana Trevaina, jeśli zgodzisz się zerwać z nim wszelkie stosunki.

- Nie - zaprotestowała natychmiast. - Już ci powiedziałam, ojciec, że to niemożliwe. Kocham go, a on mnie.

- Słyszałaś moją propozycję. Decyzję pozostawiam tobie.

- Nie, dziękuję. Znajdę jakiś sposób, żeby być z Nathanem, nawet jeśli miałabym cię już nigdy nie zobaczyć.

- Nie odważysz się odsunąć ode mnie. Pomyśl o skandalu, jaki by wybuchł.

- O skandalu? - Ze złości postąpiła krok do przodu i zacisnęła pięści. - Nie dbam o żaden skandal. Może i jesteś moim ojcem, ale nie zachowujesz się jak ojciec. Mogłeś wydać mnie za mąż wiele lat temu, żeby ocalić moją reputację, ale ty umyślesz ręce. Pozwoliłeś mi gnuśnieć w Bettenshire. Nic nie zyskam, pozostając pod twoją opieką. Jeśli jednak podążę za głosem serca, mogę odnaleźć szczęście.

- Nie zapominaj o Wessie Trevainie.

Ariel zadrżała.

- Nie rozumiem.

- Jest na pokładzie tego statku.

- Nie - szepnęła z niedowierzaniem.

Ojciec przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy.

- Nie było trudno przetransportować brata Trevaina na mój statek.

- Uwolnij go, ojczec. Proszę.

Serce waliło jej jak młotem. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

- Nie - odparł krótko.

. Podeszła szybko do niego i chwyciła jego zimną, twardą dłoń.

- Błagam, ojczec. Jeśli choć trochę ci na mnie zależy, uwolnij Wessa.

Admirał zacisnął usta i wyrwał rękę.

- Nie - powtórzył. - Ten człowiek pomoże nam wydobyć informacje od Trevaina.

- Informacje? Przecież wojna się skończyła.

Ojczec wzruszył ramionami.

- Dla niektórych tak, ale walka polityczna trwa nadal. Nathan Trevain może nam wiele powiedzieć o nastrojach panujących w koloniach. Fakt, że jego brat znalazł się w naszych rękach, na pewno skłoni go do współpracy.

Ariel zbladła.

- Czy wy nie macie serca? Ten człowiek i tak wiele już przeszedł.

- To zdrajca i szpieg. Tak, wiem, że to właśnie on jest Heliosem, nie rób takich zdziwionych oczu. Wiedziałem od samego początku i dlatego nie spieszyłem się z pomocą. Przynajmniej tyle mogę zrobić, żeby odplacić mu za szkody, które wyrządził nam w czasie wojny. Fakt, że go pojmałem, wzmocni moją pozycję w Admiralicji. Przekonam ich, że działania mojej córki wynikały jedynie z kobiecej głupoty i naiwności.

- Ty łajdaku! - wykrzyknęła zrozpaczona Ariel.

- Jestem żołnierzem. Najwyższy czas, żebyś to zrozumiała.

- Proszę, nie rób tego.

- Wystarczy jedno twoje słowo, a zaniecham realizacji tego planu. Uwolnię Wessa Trevaina i Nathana, jeśli obiecasz, że zerwiesz z nim wszelkie kontakty. Musisz też dać się zbadać doktorowi Anthony'emu Addingtonowi.

Ariel spojrzała zdziwiona na ojca.

- Doktorowi Addingtonowi? Przecież to lekarz od chorób umysłowych.

- Właśnie. W ten sposób najłatwiej będzie wytłumaczyć twoje zachowanie.

- Czyżbyś nie wahał się jeszcze bardziej zniszczyć mojej reputacji? - wybuchnęła. - Ogłosisz, że jestem szaloną ladacznicą?

- Takie stawiam warunki. Możesz na nie przystać albo je odrzucić.

Nie, ona musiała je odrzucić. Propozycja była tak okrutna, że Ariel nie mogła wprost wyobrazić sobie, jak bardzo ojciec jej nienawidzi.

- Dlaczego? - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło.

- Dlaczego tak mnie nienawidzisz?

Admirał spojrzał na nią zniecierpliwiony.

- Ariel, to nieprawda. Mimo wszelkich wad wciąż jesteś moją córką...

- Czyżby? Zaczynam w to wątpić.

- Jesteś moją córką - zdenerwował się - i dlatego dopilnuję, żebyś postępowała w sposób stosowny do swojej pozycji. Twoje zachowanie można wytłumaczyć jedynie brakiem równowagi psychicznej. Sama pomyśl, jak mogłaś pokazać się wśród ludzi po tym, co się stało. Czy to już nie świadczy o szaleństwie? Nie zmienię swoich warunków. Albo zgodzisz się na

badanie i nigdy nie zobaczysz się z Nathanem Trevainem, albo spędzisz z nim resztę życia w Tower, a jego brat będzie dogorywał gdzieś indziej. Wybór należy do ciebie.

Ariel uniosła głowę. Po policzku spłynęła jej łza.

- Naprawdę każesz mi decydować?

- Powinnaś być mi wdzięczna, że w ogóle daję ci wybór.

- Ale ty przecież robisz to tylko i wyłącznie ze względu na swoją karierę.

- Robię to dla naszego wspólnego dobra. D'Arche-  
rowie należeli do rządzącej elity od czasów Henryka  
VIII. Ja nie wyłamię się jako pierwszy tylko dlatego,  
że spłodziłem córkę bez krztyny oleju w głowie.

Ariel przez chwilę miała ochotę uderzyć ojca, ale  
szybko ogarnęła ją rezygnacja. Po co pokazywać mu, że  
pobawił ją resztek uczuć, które żywiła wobec niego?

- A więc? - spytał.

- Potrzebuję czasu do namysłu.

- Nad czym chcesz się zastanawiać?

- Nad wieloma sprawami.

Skierowała się do wyjścia.

- Dokąd idziesz?

- Na pokład. - Zatrzymała się na chwilę. - Nie bój  
się, ojczu. Nie zrobię niczego naprawdę szalonego. Nie  
skoczę do morza, żeby wpław dopłynąć do brzegu.

- Wszystko jedno, i tak ktoś cię będzie eskortował.

Ariel miała ochotę posłać ojca do stu diabłów, ale  
opanowała się.

- Jak sobie życzysz - odparła spokojnie.

Admirał nie okazał zdziwienia zimną krwią córki.  
Przywołał Phillipsa, który najwyraźniej stał tuż za



drzwiami. Ariel zacisnęła poły płaszcz i dumnie opuściła kwaterę ojca. Zignorowała też oficera, wybierając towarzystwo chłodnej nocy i mgły. Na twarzy osiadła jej wilgoć. Nie, to nie wilgoć, zorientowała się po chwili, tylko łzy wściekłości, rozgoryczenia i bezsilności.

Co jej pozostało?

Nie była w stanie logicznie myśleć. Skręciła w lewo, wspięła się na schodki, prowadzące na rufę, i ruszyła w stronę relingu. Było tu znacznie ciszej niż w innych miejscach. Mężczyźni pracujący na głównym pokładzie zabrali się za uprzątnięcie lin i żagli.

Zamknęła oczy, wdzięczna Phillipsowi, że nie depcze jej po piętach.

Gdyby teraz opuściła okręt, ojciec rozkazałby zabrać Nathana do Tower. Co gorsza, zrobiliby to, zanim zdążyłaby ostrzec ukochanego, gdyż do brzegu można było dotrzeć jedynie wpław lub łodzią. W taką ciemną, mglistą noc potrzebowałyby dużo szczęścia, żeby w ogóle odnaleźć brzeg. Mogłaby też stracić przytomność w lodowatej wodzie i utonąć. Przychodziło jej do głowy mnóstwo możliwości, choć wiedziała, że ład znajduje się w odległości ćwierć mili. Czy był sens ryzykować?

- Nie robiłbym tego na pani miejscu.

Wzdrygnęła się, zdziwiona, że Phillips podszedł tak blisko.

- Czego?

- Nie skoczyłbym.

- Czemu sądzi pan, że chciałam to zrobić? Na tym okręcie dowodzi mój ojciec. Gdybym chciała dostać się na brzeg, poprosiłabym go o łódź.

- Jestem zastępcą pani ojca. Znam propozycję, którą pani przedstawił.

Ariel wyprostowała się urażona i odwróciła się od oficera. Nie widziała jego twarzy, ale czuła jego obecność.

- A więc wie pan o moim związku z Nathanem Trevainem?

- Tak, ale skakanie do wody pani nie pomoże. Nawet gdyby dotarła pani do brzegu, nic nie mogłaby pani dla niego zrobić. Na morzu łatwo się zgubić nocą. Przez przypadek skierowałyby się pani w stronę Francji i niechybnie zginęła. Nie warto ryzykować.

Ariel chwyciła mocno poręcz i wbiła paznokcie w wilgotne drewno. Zamknęła oczy.

- Ale ja nie mogę tego zrobić. Nie potrafię podjąć takiej decyzji. - Łzy cisnęły się jej do oczu. - Kocham go, rozumie pan?

Mężczyzna nie odpowiedział. Ariel zresztą wcale tego nie oczekiwała. Phillips był sprzymierzeńcem jej ojca i miał ją ustrzec przed popełnieniem jakiegoś głupstwa. Tej nocy musiała podjąć decyzję, a jeszcze nigdy nie czuła się równie niepewna i zagubiona.

- Powinna pani zrozumieć, że ojciec zrobi wszystko, aby chronić pani reputację.

- Czy ja ją naprawdę zniszczyłam? Znów wywołałam skandal?

- Tak, i to znacznie gorszy niż wcześniej.

A więc i on wiedział o wszystkim? Właściwie nie powinna się dziwić. Chyba wszyscy na pokładzie słyszeli o jej zachowaniu.

- Postąpiłam w ten sposób tylko dlatego, żeby naprawić zło wyrządzone Trevainowi. On nie jest zdraj-

ca, bo służył swojemu krajowi. Pan nie czyni nic innego.

- W koloniach może i nie, ale tu, w Anglii - tak. Nie mogę uwierzyć, że pani ojciec zdecydował się wziąć na siebie ryzyko uwolnienia tego człowieka.

- Och, nie wątpię, że obróci to wszystko na swoją korzyść. Będzie twierdził, że działa na rzecz poprawienia stosunków między obu krajami czy coś takiego. Taki właśnie jest mój ojciec, nic nie robi bezinteresownie.

Nagle poczuła, jak Phillips kładzie jej dłoń na ramieniu. Rozbita rozszlochała się jeszcze bardziej.

- Czasem w słusznym celu trzeba ponieść najwyższą ofiarę.

- Ale jak mam pozwolić mu odejść? - spytała zrozpaczona.

- Tak jak my zostawiamy ukochanych, wchodząc na pokład statku. Wielu z nas nie wraca już na brzeg. Proszę się pożegnać.

- Nie pozwoli mi, wiem o tym.

- Więc niech mu pani pošle list, wymyśli jakąś wymówkę. Proszę zrobić to, co pani musi.

Czy rzeczywiście nie było innego wyjścia z tej sytuacji?

Niestety, nie. Ojciec właśnie dlatego kazał doprowadzić ją na swój okręt. Morze w tej sytuacji pełniło rolę więziennych krat. Wiedział, że będzie skłonna uciec, gdy przedstawi jej swoje warunki. Zdawał sobie również sprawę z tego, że gdyby mogła, została by z Nathanem jako jego żona lub kochanka. Teraz okazało się to niemożliwe. Gdyby powiedziała ojcu, że postanowiła związać swój los z Nathanem, kazał by doprowadzić go do Tower. Wessa również by

uwięziono, nie wiadomo na jak długo. Mogłaby jedynie błagać o łaskę króla.

Znów zamknęła oczy, czując gromadzące się w nich łzy. Wzięła głęboki oddech.

- Czy mogę zobaczyć się z Wessem Trevainem? Chcę mu przekazać wiadomość dla Nathana.

- Postaram się to załatwić.

Phillips poklepał ją delikatnie po ramieniu. Ariel miała ochotę obrzucić go wyzwiskami za to, że wiernie wykonywał polecenia ojca. Najchętniej jednak skuliłaby się w kłębek i zapomniała o wszystkim. Nie wyobrażała sobie, że będzie w stanie podjąć taką decyzję. Od tak dawna szukała prawdziwej miłości...

Spojrzała w dół na czarną wodę. Zastanawiała się, jak to jest utopić się. Szybko się jednak opamiętała. Musiała żyć, żeby porozmawiać z Wessem Trevainem i znaleźć sposób na złamanie serca Nathanowi, który tylko wówczas pozwoli jej odejść.

Zrezygnowana potrząsnęła głową. Odetchnęła głębiej i uspokoiła się nieco. Niewidzącym wzrokiem wyglądała w morze. Wiedziała, że czeka ją najtrudniejsze zadanie w życiu.

Jak złamać serce najukochańszej osobie?

Jak żyć ze złamanym sercem?

## 21

Nathan z wściekłością patrzył na czterech marynarzy i oficera, którzy stali w jego pokoju. Miał ochotę rzucić się na nich wszystkich, chwycić ich za gardła i wykrzyknąć jedno jedyne pytanie, na które nie raczyli odpowiedzieć.

Gdzie była Ariel?

Gdy obudził się pół godziny temu, już zniknęła. Usiadł na łóżku i rozglądał się dookoła, gdy do pomieszczenia wpadli żołnierze, celując w niego z muszkietów. Na ich rozkaz pospiesznie się ubrał. Choć przyszło mu do głowy, że Ariel mogła mieć coś wspólnego z tym najściem, szybko odrzucił tę myśl. Gdyby chciała, aby go pojmano, porzuciłaby go w Londynie. Nic nie zyskała, przyjeżdżając z nim do Brighton.

Nic, prócz miłości.

Wiedział, że go kochała. Choć nie wypowiedziała tych słów na głos, oczy zdradzały jej uczucia. Kochała go, a on ją.

Nagle drzwi otworzyły się. Odwrócił się, licząc, że zobaczy Ariel. Na widok przybyszów omal nie stracił głosu.

- Wess! - jęknął.

- Nathanie - przywitał go brat.

Wess stał podtrzymywany przez dwóch oficerów.

Nagle głowa opadła mu do tyłu i żołnierze musieli szybko zareagować, żeby nie runął na ziemię. Gdy jednak osunął się na kolana, Nathan ujrzał stojącą za nim Ariel.

Ariel, cudowna Ariel.

Jeszcze nigdy nikogo tak nie kochał. Jak ona go tu znalazła?

- Połóżcie go na łóżku - poleciła łagodnie.

Oficerowie wykonali jej prośbę. Nathan natychmiast znalazł się przy Wessie. Dopiero teraz spostrzegł siniaki i skaleczenia pokrywające całe ciało brata. Koszulę miał w strzępach.

- Przykro mi, Nathanie - łagodnym tonem odezwała się Ariel.

Trevain odwrócił się do niej.

- Ciężko go pobili.

- Kto? - rzucił krótko.

- Kapitan Pike i jego marynarze.

Nathan poprzysiągł sobie, że ich zabije. Popatrzył znów na brata. Marynarze położyli go na brzuchu. Natychmiast zorientował się, dlaczego. Całą skórę na plecach miał poprzecinaną. Krew zabarwiła mu na czerwono koszulę.

- Proszę nas zostawić - poleciła Ariel.

- Ależ lady D'Archer - zaprotestował mężczyzna, którego Nathan dopiero teraz zauważył.

Musiał wejść do pokoju razem z Ariel. Spoglądał teraz na nią ostrzegawczo.

Kobieta ledwo dostrzegalnie pokręciła głową. Nathan nie bardzo wiedział, co ten ruch oznacza.

- Będę tu bezpieczna - powiedziała. - Proszę poczekać za drzwiami.

Oficer rozejrzał się dookoła niezadowolony z prośby Ariel. Gdy jednak spojrzął na Wessa, kiwnął potakująco głową.

- Jak pani sobie życzy.

- Proszę też wezwać lekarza. Będziemy również potrzebować bandaży i wody.

Mężczyzna przytaknął. Nathan przeniósł wzrok z niego na Ariel. Nagle Wess jęknął i wszystko przestało się liczyć z wyjątkiem konieczności niesienia pomocy bratu. Bratu, którego pobito niemal na śmierć.

Usłyszał szcęk zamykanych drzwi. Ariel zbliżyła się do łóżka, ale stanęła po drugiej stronie.

- Przepędzili go przez kije - powiedziała ochrypniętym z przejęcia głosem.

- Dlaczego? - wykrztusił, spoglądając na brata, na krew wciąż sączącą się z ran.

- Próbował uciec. Został postawiony przed sądem za dezercję. Mieli go powiesić, ale mój ojciec ich powstrzymał.

- Twój ojciec?

Ariel przytaknęła.

- Tak. Jest tutaj, w porcie.

Nathan nie wierzył własnym uszom. Był pewien, że i Ariel zaskoczyła ta wiadomość. Wykazała się jednak przytomnością umysłu, skoro tak szybko udała się do ojca po pomoc. Nathan jeszcze nigdy nie był nikomu tak wdzięczny.

- Jak mam ci dziękować?

Ariel odwróciła się. Drzwi otworzyły się bez pukania.

- Woda i czyste szmatki - powiedział młody oficer.

- Proszę je tu położyć. - Wskazała miejsce obok siebie.

Jeden z mężczyzn, którzy eskortowali Nathana, niósł dwa wiadra.

- W jednym jest zimna woda, w drugim ciepła.

- Dziękuję panu, Phillips.

Mężczyzna spojrzał na nią i dotknął jej ramienia. Nathan poczuł ukłucie zazdrości.

- Tylko godzina, ani chwili więcej.

- Rozumiem i dziękuję za to, co pan dla nas zrobił. Wiem, że pan ryzykował.

- Choć tyle mogę pomóc.

Nathan przysłuchiwał się z zaciekawioną wymianą zdań. Chciał zapytać, co się stanie za godzinę, ale Ariel zanurzyła szmatkę w wiadrze i podała mu ją.

- Proszę. Musimy umyć Wessa. Obawiam się, że mogła się wdać infekcja.

Nathan przekonał się, że Ariel miała rację, gdy tylko dotknął ciała brata. Czuł gorączkę, trawiącą Wessa. Razem z Ariel zdjęli mu koszulę, potem spodnie. Jego wściekłość rosła z każdą odsłanianą blizną.

- To straszne - jęknęła Ariel.

Mimo to zachowała spokój, nie mrugnęła, nawet gdy zaczęli ścierać krew, a Wess krzyczał z bólu. Po kilku minutach natura sama przyniosła mu ulgę - ranny stracił przytomność. Wtedy przyspieszyli. Ariel odrywała kawałek koszuli, Nathan przemywał kolejną ranę. Pracowali w ciszy. Nathan coraz bardziej podziwiał opanowanie ukochanej kobiety. Gdy skończyli i podeszli do miski z wodą, żeby wypłukać ręce, z zachwytem patrzył na jej spokojne, zdecydowane ruchy.

- Lekarz będzie mógł więcej powiedzieć o jego stanie.

Nathan spojrzał na leżącego na łóżku brata.



- Jeśli Wess umrze, przysięgam, że pomszczę jego śmierć.

- On nie umrze - powiedziała i dotknęła lekko ramienia ukochanego. - Dopilnuję, aby miał najlepszą możliwą opiekę.

Nathan przytaknął i dotknął jej brody, zupełnie tak samo jak w ogrodzie tego dnia, gdy się poznali.

- Ariel, nie wiem, jak ci dziękować. Dałaś mi coś, czego już nie spodziewałem się odzyskać. Jak ci się odwdzięczę?

Ariel przymknęła oczy, jakby przeszył ją nagły ból.

- Nathanie, ja...

Ktoś zapukał do drzwi. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Jeszcze chwileczkę - powiedziała i odwróciła się od niego.

Miał wrażenie, że dostrzegł łzy w jej oczach.

- Jeszcze pięć minut, panie Phillips, proszę.

Niski, męski głos coś odpowiedział, ale na tyle cicho, że Nathan nie był w stanie odróżnić słów.

- Wiem - odparła Ariel.

Znów szmer słów.

- Powiem mu.

Zamknęła drzwi. Jej dłoń przez długi czas pozostawała na klamce.

- Ariel, co się dzieje? Dlaczego zachowujesz się tak, jakbyś miała zaraz odejść?

- Phillips twierdzi, że lekarz będzie tu lada moment. Był właśnie u pacjenta, ale wiadomość została mu przekazana.

Głos Ariel był dziwny, stłumiony, jakby mówiła przez kawałek materiału albo... płakała.

- Ariel. - Błyskawicznie znalazł się przy niej. - Co się dzieje? - powtórzył pytanie.

Odwrocił ją do siebie i spostrzegł łyzy cieknące jej obficie po twarzy.

- Och, Nathanie, nie potrafię tego zrobić. Nie potrafię.

- Czego nie potrafisz?

Otarła łyzy, ale na ich miejscu natychmiast pojawiły się nowe.

- Miałam cię okłamać. Powiedzieć ci, że przez cały czas pracowałam dla Admiralicji. Ze polecono mi pozwolić ci uciec, żebym pozyskała twoje zaufanie, ale nie potrafię. Po prostu nie potrafię.

- Co ty mówisz?

Ariel popatrzyła mu w oczy i uniosła nieco dłoni, jakby chciała dotknąć jego twarzy, ale ręka opadła bezwładnie.

- Wracasz do kolonii, Nathanie.

- Oczywiście, że tak, z tobą i bratem, jak tylko wyzdrowieje.

- Chciałbyś mnie ze sobą zabrać?

- Oczywiście. Kocham cię. Po tym, co się między nami wydarzyło, jak mogłabyś myśleć inaczej?

Dopiero teraz rozszłochała się na dobre. Zerknęła na łóżko. W jej oczach pojawił się ból i coś jeszcze. Bezsilność?

- Nie byłam pewna, ale to nic nie zmienia.

- Nie rozumiem?

Ariel zebrała się na odwagę, żeby powiedzieć najgorsze.

- Nie jadę z tobą.

Nathan patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Co ty za bzdury wygadujesz?

Ariel chwyciła go za rękę, żeby powstrzymać potok wściekłych słów, które cisnęły mu się na usta.

- Posłuchaj mnie, Nathanie. Nie mogę z tobą pojechać z powodu, który musisz zrozumieć...

- Co to znaczy?

- Mój ojciec...

- Co on ma z tym wspólnego? Zmusza cię, żebyś została?

Ariel wiedziała, że na to pytanie nie wolno jej odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Gdyby Nathan znał faktyczny stan rzeczy, na pewno chciałby rozmawiać z jej ojcem. Dowiedzieliby się wówczas, że admirał nie pozostawił im wyboru. On musiał odjechać do Ameryki z bratem, a ona pozostać sama w Anglii. Gdyby odmówił wyjazdu, zostałby ponownie uwięziony, podobny los czekałby Wessa. Nie mogła do tego dopuścić.

Odetchnęła głęboko.

- Nie, Nathanie - odparła zdecydowanie, choć słowa z trudem wydobywały się przez zaciśnięte gardło. - Nie zmusza mnie, żebym została. Sama podjęłam tę decyzję.

Mężczyzna najwyraźniej jej nie uwierzył.

- Dlaczego? Nie kochasz mnie?

„Oczywiście, że tak - odparła w duchu. - Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo”.

Głośno jednak powiedziała coś zupełnie innego.

- Nie, Nathanie, nie kocham cię.

Odsunął się od niej.

- Po co więc przed chwilą mówiłaś mi, jaka to chcesz być ze mną szczerza? Ja przecież nie mam najmniejszej wątpliwości, że mnie kochasz.

- Myślałam, że jeśli wymyślę jakieś bolesne kłamstwo, łatwiej mnie znienawidzisz, ale takie zachowanie nie leży w mojej naturze. Zamiast tego wolę powiedzieć prawdę.

Boże, gdyby to tylko było możliwe.

- Nie kocham cię, Nathanie. Proszę, uwierz mi. Pożadam cię, co do tego nie ma wątpliwości, ale miłość? Niemożliwe. Pochodzimy z dwóch różnych światów. Ojciec pomógł mi przejrzeć na oczy.

Mężczyzna popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Ojciec próbuje zatruć ci umysł.

- Nie, ojciec pomógł mi zrozumieć, że nie możemy liczyć na wspólną przyszłość. Moja rodzina mieszka tu, twoja w koloniach. Ty nigdy nie będziesz mógł wrócić do Anglii, gdy stąd wyjedziesz, więc i ja musiałabym na zawsze pożegnać się z rodziną.

- Spodobałoby ci się w Ameryce.

- Nie, jeśli moja rodzina pozostałaby tutaj.

- Przecież mnie kochasz. - Chwycił ją za ramiona, jakby chciał nią potrząsnąć. - Wiem, że tak jest. Ja będę twoją rodziną.

- Nie, Nathanie, nie kocham cię. Jak mogłabym kochać człowieka, który odwraca się od własnego stryja? I w dodatku rezygnuje z tytułu arystokratycznego.

Mężczyzna wzdrygnął się, jakby go uderzyła.

- Tytuły są dla ciebie ważne?

- Oczywiście, że tak, Nathanie. Gdybyś mnie lepiej znał, dobrze byś o tym wiedział. Przyznaję, że miałam burzliwą młodość, ale wychowano mnie w arystokratycznej rodzinie. To, co wydarzyło się między nami, było miłe i - zastanowiła się nad właściwym słowem - pouczające, ale jeśli mamy być ze

sobą szczerzy, musimy się zgodzić, że miłość nie przychodzi tak szybko.

Nathan odsunął się od niej. Wiedziała, że jej słowa wreszcie zaczęły do niego docierać.

- Nie mówisz chyba poważnie - powiedział.

- Bardzo poważnie.

- A więc to wszystko było dla ciebie grą?

- Grą? Nie. Raczej przygodą, która zakończyła się lepiej niż ta z Archiem. Oczywiście wówczas ojciec przeskodził nam w nieodpowiednim momencie. Szkoda, bo byłoby ciekawie móc porównać cię z kimś innym.

Nathan wyprostował się. Ariel pomyślała, że posunęła się zbyt daleko i ukochany przejrzy jej kłamstwa. Jednak krzywdy, które wyrządziły mu kobiety, pozostawiły w jego psychice trwałe ślady. Na jego twarzy odbijały się kolejno niedowierzanie, złość i przede wszystkim ból.

„Nathanie, Nathanie - miała ochotę krzyknąć. - Czy nie widzisz, że kłamię? Czy czas, który spędziliśmy wspólnie, niczego cię o mnie nie nauczył?”

Trevain cofnął się nachmurzony.

- Wobec tego życzę pani wszystkiego najlepszego. Skoro i tak zbierała się pani do wyjścia, równie dobrze może pani odejść już teraz.

Ariel miała ochotę upaść mu do stóp i płakać, rzucić mu się na szyję i nigdy nie wypuścić z ramion.

- A więc żegnam pana, Nathanie - powiedziała zamiast tego chłodnym tonem. - I szczęść Boże, bo wbrew temu, co pan o mnie sądzi, zależy mi na panu. - Gdyby tylko wiedział, jak bardzo. - Bezpiecznej podróży. Skan Anula43, przerobienie pona.

Trevain nie słuchał jej do końca. Odwrócił się do

brata i nie widział, jak zrozpaczona Ariel unosi rękę do ust i płacze.

Musiła jak najszybciej stąd uciec, zanim zrobi coś głupiego, na przykład powie mu prawdę.

Z trudem pokonała odległość dzielącą ją od drzwi. Każdy krok kosztował ją wiele wysiłku, podobnie jak każdy oddech.

„Kocham cię” - wyznała mu w duchu, spoglądając za siebie ostatni raz.

Nathan stał pochylony nad bratem. Był odwrócony do niej bokiem. Nie uniósł głowy, gdy nacisnęła klamkę, ani nawet wtedy, gdy zamarła na chwilę, modląc się, żeby popatrzył na nią.

Z zamglonymi od łez oczami przestąpiła próg, żeby rozpocząć nowe życie.

Bez Nathana Trevaina.

## 22

Nie pamiętała, jak wróciła do domu. Mogła myśleć jedynie o nieszczęściu, które ją spotkało. Ojciec nie odzywał się przez całą drogę i była mu za to wdzięczna. Milczał nawet wtedy, gdy dotarli do przedmieść Londynu, a ona wybuchnęła płaczem. Nie mogła się uspokoić aż do Bettenshire.

W domu chciała jedynie jak najszybciej położyć się spać i zapomnieć o kłamstwach, do których ją zmuszono. I rzeczywiście zmęczona zasnęła, ale gdy po jakimś czasie obudziła się, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje. Zaraz jednak powróciła bolesna rzeczywistość. Nathan. Jego brat. Jej kłamstwa. Chciała zamknąć oczy i pogрузić się w nicości, ale kątem oka spostrzegła stojącą obok niej postać.

Phoebe.

- Arie?

Ariel zignorowała pytanie kuzynki i zwinęła się w kłębek.

- Arie, dzięki Bogu. Myślałam, że nigdy się nie obudzisz.

Szkoda, że tak się nie stało, bo ból, który ścisnął serce Ariel, stał się nie do zniesienia. Z trudem oddychała. Z oczu znów popłynęły łzy.

Dłoń kuzynki odgarnęła jej włosy z czoła.

- Och, Arie. Chodź do mnie.

Ariel nie chciała współczucia Phoebe. Wolała, żeby kuzynka poszła sobie i zostawiła ją samą z jej rozpaczą. Nie miała jednak siły, żeby o tym powiedzieć na głos. Gdy Phoebe usiadła na brzegu materaca i wzięła Ariel w ramiona, ta rozkleiła się. Z jej gardła wydarł się rozdzierający szloch. Płakała, bo wiedziała, że nigdy już nie ujrzy mężczyzny, którego pokochała z całego serca.

- Arie. Tak mi przykro.

Ariel zamrugnęła.

- Och, Phoebe - jęknęła. - Czy on już wyjechał?

- Nathan? - spytała kuzynka.

Ariel przytaknęła.

- Tak. Twój ojciec powiedział, że wypłynął tego ranka, gdy z nim rozmawiałś.

Choć do tej pory łądziła się nadzieją, że jej nie opuścił, w głębi duszy wiedziała, że musiał to zrobić. Widziała w jego oczach ból, który mu sprawiła.

- Zakochałaś się w nim, prawda?

- Tak - wyjąkała przez łzy. - Tak, Phoebe. I zmusiałam go, żeby mnie zostawił. Dałam mu do zrozumienia, że go nie kocham. Uwierzył mi i odszedł.

- Arie - łagodnie szepnęła kuzynka. - Tak mi przykro. - Przytuliła ją mocniej i zakołysała. - Bardzo, bardzo przykro.

Ariel nie starała się oswobodzić z objęć Phoebe. Wypłakując się na jej ramieniu, uświadomiła sobie, że dręczący ją ból nigdy już nie minie. Stanie się brzemieniem, które będzie musiała nieść do końca życia. Kuzynka tuliła ją i kołysała, szepcząc słowa pociechy.



Długo trwało, zanim Ariel powoli uspokoiła się. Jeszcze wiele pozostało jej łez, ale powstrzymała je siłą woli. Na razie.

Phoebe spojrzała na nią ze współczuciem.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - spytała.

Niestety nie. Nikt już nie mógł nic dla niej zrobić. Będzie musiała jakoś egzystować ze świadomością, że straciła miłość swojego życia.

- Nie, Phoebe, nie możesz. Co się stało, *to* się nie odstanie. Dzięki mojemu ojcu.

- Czy to on cię do tego zmusił?

Ariel przytaknęła.

- W zamian za uwolnienie Nathana i jego brata.

Phoebe gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

- Niezbyt to ładne z jego strony.

- Rzeczywiście. Gdzie on teraz jest?

- Nie wiem. Unika towarzystwa od kilku dni.

Dni?

- Jak długo spałam? - przeraziła się Ariel.

- Przyjechałaś cztery dni temu - ostrożnie odparła Phoebe.

Cztery dni temu! Ta wiadomość wycisnęła świeże łzy z jej oczu. Nie mogła już nawet popatrzeć na jego odpływający statek. Nathan wyjechał. Wrócił do kolonii. Ona została w Anglii.

- Chcesz się z nim zobaczyć?

- Z kim? - spytała bezbarwnym głosem.

- Z ojcem.

- Nie, Phoebe. Jeszcze nie, może za jakiś czas.

Kuzynka kiwnęła głową.

- Pozwolę ci trochę odpocząć.

Wstała z łóżka.

- Poczekaj, proszę. - Ariel sięgnęła po dłoń Phoebe. - Dziękuję, że przyszedłaś.
- Gdzie indziej mogłabym być?
- Właśnie, gdzie.

Wiele dni upłynęło, zanim zdecydowała się na spotkanie z ojcem. Nie żeby nalegał. Nawet do niej nie zajrzał przez ten czas. Phoebe twierdziła, że pograżył się w pracy. Pograżył, ciekawe. Na pewno rozmyślał, jak w korzystnym dla siebie świetle przedstawić uwolnienie Nathana.

- Ojciec - przywitała się, wchodząc do jego gabinetu.
- Ariel? - Zdziwił się, uniósłszy głowę znad dokumentów.

Siedział w peruce za biurkiem w wysokim, obitym skórą krześle. Nieskazitelnym wnętrzu pokoju świetnie odzwierciedlało charakter admirała. Nawet sterta papierów leżąca na stole była pedantycznie uporządkowana.

- Widzę, że lepiej się czujesz - zauważył.
- Tak sądzisz? - spytała. W wypolerowanym blacie biurka odbijały się ich podobizny. Ojciec wyglądał niepozornie i staro. Może zresztą tylko odniosła takie wrażenie. Teraz widziała w nim jedynie odrażającego, nieczułego człowieka. - Skąd wiesz, ojciec, skoro nawet raz mnie nie odwiedziłeś?

Admirał zmrużył oczy.

- Rozmawiałem z Phoebe.
- Ariel usiadła na krześle naprzeciwko biurka.
- Co za czule podejście do dziecka.
- Dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć? - spytał zniecierpliwiony.
- Tak sobie. Może tylko zapragnęłam sprawdzić,

jak się masz. Czy dostałeś od króla jakieś odznaczenie za schwytanie Nathana Trevaina?

Ojciec zacisnął zęby.

- Nie? Żadnej nagrody? No tak, osiągnąłeś już wszystko, co się da, na polu zawodowym. Ze swojego stanowiska możesz już tylko stoczyć się w dół.

Admirał popatrzył na nią podejrzliwie. I dobrze. W ciągu ostatnich kilku dni, które spędziła na rozmyślaniach, wiele myśli przychodziło jej do głowy. Czy mogła postąpić inaczej? Czy podjęła właściwą decyzję? Czy Nathan będzie szczęśliwy bez niej?

Czy ona będzie szczęśliwa bez niego?

Odpowiedź na to pytanie była jedna: nie. Bez Nathana w jej życiu nie zagości szczęście. I wtedy postanowiła. Kocha go i pojedzie do niego. Był teraz wolny i poza zasięgiem władzy ojca. Odnajdzie go i wytłumaczy mu wszystko, wyjedzie z Anglii na zawsze. Będzie tęskniła za Phoebe, ale za nikim więcej, na pewno nie za mężczyzną, który siedział przed nią.

- Ariel, co ty knujesz?

Uśmiechnęła się przebiegle, żeby go wyprowadzić z równowagi.

- Podróż, ojcze.

- Jaką podróż? Dokąd?

Niemożliwe, żeby nie wiedział.

- Ależ do kolonii, dokąd indziej? - Rozsiadła się wygodnie. - Podczas bezsennych nocy doznałam olśnienia. Nie jestem już małą dziewczynką. Mogę robić to, co chcę. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebym opuściła kraj i człowieka, który mnie nieustannie krzywdzi. Sama się sobie dziwię, że wcześniej nie wpadłam na ten pomysł.

- Nie ośmielisz się.

- Mylisz się.

Admirał zerwał się z krzesła. Ariel pomyślała, że podejdzie do niej i złapie ją za ramiona. Zrobił się czerwony i na czole zaczęła mu pulsować żyła. Wpadł we wściekłość.

Co dziwne, wcale się nie bała. Czuła jedynie przyjemną satysfakcję.

- Jak to, ojcze? Żadnych gróźb? - Spojrzała na niego zdziwiona. - No tak, nie masz przecież już czym mi grozić. Zrobiłeś już to najgorsze, co mogłeś. - Wstała powoli. - Teraz moja kolej.

Położyła dłonie na biurku i pochyliła się do przodu.

- Wyjeżdżam i nie jesteś w stanie mnie powstrzymać. Powóz czeka na zewnątrz. Za kilka godzin cały Londyn dowie się, że córka pierwszego lorda opuściła Anglię, żeby zostać kochanką zdrajcy i szpiega. - Wyprostowała się dumnie. Admirał milczał. Uśmiechnęła się smutno. - Żegnaj, ojcze. Chociaż nigdy nie powiedziałeś mi, dlaczego mnie nienawidzisz, wiedz, że kocham cię mimo wszystko. - Odwróciła się, zawahała i jeszcze raz spojrzała na niego. - I nie przejmuj się. Jestem pewna, że zdołasz wszystkich przekonać, że oszalałam. Twoja kariera nie powinna zbyt uciepnieć.

Skierowała się do drzwi.

- Ariel, poczekaj.

W pierwszym odruchu chciała zignorować prośbę ojca, ale jakiś impuls kazał jej się zatrzymać.

- Nie rób tego - poprosił.

Uśmiechnęła się smutno.

- Błagam cię, ojcze?

- Nie, odwołuję się do twojej lojalności wobec mnie.

- Tak jak ja odwoływałam się do twojej lojalności wobec mnie. Zaraz, zaraz. Ja przecież nie błagałam o lojalność, tylko o miłość. Zupełnie niepotrzebnie, prawda? Nigdy mnie nie kochałeś.

- Bo odebrałaś mi jedyną kobietę, którą kiedykolwiek kochałem - wyznał niespodziewanie.

Ariel otworzyła usta ze zdziwienia. Więc o to chodziło. Winił ją za śmierć matki. Jak mógł być takim egoistą? Czy nie rozumiał, że sama wołałaby umrzeć, niż żyć obciążona odpowiedzialnością za czyjąś śmierć? Bez matki i miłości ojca od dziecka czuła się sierotą.

- Więc nasze rachunki są wyrównane, ojciec - powiedziała. - Bo ty odebrałeś mi jedynego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochałam.

Odwróciła się.

- Nie odchodź - powtórzył.

Zignorowała go.

- Ariel, proszę.

W tonie ojca było coś, co kazało jej się zatrzymać. Powoli i niechętnie odwróciła się, oczekując kolejnych nieprzyjemnych słów.

Ojciec płakał. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Kochałem ją nad życie, Ariel - powiedział cicho. - Rozumiesz to, prawda?

- Tak. Tak samo kocham Nathana - odparła dumnie.

Admirał patrzył na nią dłuższą chwilę. Ariel w milczeniu obserwowała niewiarygodną przemianę, jaka dokonywała się na twarzy ojca.

- Poślę liścik do lorda Dunsmeera. Zarządza przystanią w Portsmouth i powie ci, którym statkiem najszybciej dostaniesz się do Ameryki. - Wyprostował się powoli, znów stając się pierwszym lordem, choć w za-

czerwienionych oczach wciąż błyszczały mu łzy. -  
Napiszę do niego od razu.

Ariel nie wierzyła własnym uszom.

- Och, tato - szepnęła wzruszona. - Pomożesz mi.  
Przytaknął, mimo że nie spojrzał jej w oczy.

- Wolę, żebyś wyjechała, niż egzystowała pozbawiona chęci życia jak ja.

- Och, tato - powtórzyła i rozszlochała się.

Jak we śnie podbiegła do ojca i rzuciła mu się na  
szyję. Przez chwilę stał nieruchomo, po czym powo-  
li objął ją i uścisnął.

- Jedź, Ariel. Bądź szczęśliwa. Bóg wie, że zasłuży-  
łaś na to.

Wtedy Ariel D'Archer, córka hrabiego Bettencourt,  
zrozumiała, że wcale nie jest sierotą.

Dziób statku rozbił kolejną falę. Lodowate krople uderzyły Nathana w twarz. Mężczyzna nawet się nie wzdrygnął. Z każdą chwilą coraz bardziej oddalał się od nieczułej jędzy, w której się zakochał.

Od kobiety, która zwróciła ci brata - wypowiedział jakiś głos.

Tak, faktycznie. I za to był jej wdzięczny. Za jej pożegnalny podarunek. Jakie to wzruszające.

- Proszę pana?

Nathan odwrócił się. Z trudem oderwał dłonie od relingu.

- Szybko, panie. Obudził się.

Wess? Czyżby stał się cud? Sądząc po uśmiechu lekarza, chyba tak.

Pospieszył za nim wzdłuż pokładu, potem zeszli po schodach na dół. Miał szczęście, że znalazł lekarza, który zgodził się popłynąć z nimi, choć w pewnym momencie zaczął się zastanawiać, czy taka opieka jest konieczna. Stan Wessa nie poprawiał się wcale, odkąd wyruszyli z Brighton. Jeśli brat rzeczywiście odzyskał przytomność, postanowił zapłacić doktorowi podwójną stawkę.

Gdy tylko wszedł do jasno oświetlonej kabiny, przekonał się, że Wess się ocknął.

- Wess? - krzyknął.

Twarz brata wciąż pokrywały siniaki, ale rany zaczęły się goić.

- Gdzie ona jest? - wychrypiał Wess.

Nathan spojrział na niego zdziwiony.

- Kto?

- Anioł, który wyrwał mnie z piekła *HMS Destiny*. Chcę jej podziękować.

- Lady D'Archer? - z niedowierzaniem spytał Nathan.

- Właśnie jej. Tak zwracał się do niej ten łotr, który przyszedł po mnie. Gdzie ona jest?

Nathan zamarł. Radość, która ogarnęła go na widok przytomnego brata, ulotniła się gdzieś niepostrzeżenie.

- Nie ma jej tu.

- Ależ musi tu być - upierał się Wess.

- Zapewniam cię, że jej tu nie ma.

- Jak to możliwe, skoro słyszałem, jak mówi temu łądakowi, że cię kocha?

- Że co? - wykrztusił Nathan.

Wess wskazał drżącą dłonią na dzbanek z wodą. Nathan pospiesznie pomógł bratu się napić. Pokrzepiony Wess wyglądał nieco lepiej.

- Wessie, musisz mi powiedzieć, co słyszałeś.

Brat kiwnął potakująco głową, jakby zrozumiał powagę sytuacji.

- Jedyne siłą woli zachowywałem przytomność - szepnął. - Nie jadłem od kilku dni. Miałem wrażenie, że wszystko dzieje się jak we śnie. To, o czym ci wspomniałem, wydarzyło się w powozie, gdy jechaliśmy do ciebie. Dziękowała swojemu towarzyszowi,



że zabrał ją ze sobą. Była mu wdzięczna, bo wiedział, co znaczy stracić ukochaną osobę. Pomyślałem, że chodzi jej o ciebie.

Nathan siedział nieruchomo jak uderzony obuchem w głowę.

- Chyba płakała. Nie rozumiałem dlaczego, bo z jej słów wywnioskowałem, że się kochacie. Potem ten mężczyzna wspomniał coś o jej układzie z ojcem. Nie mogła go złamać, jeśli chciała, żebyś uszedł z życiem.

- Niech to szlag trafi! - zaklął Nathan.

„Czy ojciec zmusza cię, żebyś została?” - spytał.

„Nie, sama podjęłam tę decyzję” - odparła.

Taki był jej wybór. Poświęciła swoją miłość, żeby on odzyskał wolność i brata. Wybrała życie ze świadomością, że doprowadziła do tego, iż ją znienawidził. Wybrała życie bez miłości, bo nie miał wątpliwości, że pokochała go z całego serca.

- Niech to szlag trafi - powtórzył i zerwał się na równe nogi.

- Dokąd idziesz?

- Wracamy do Anglii.

- Do Anglii?

- Tak, do kobiety, którą kocham.

Ulice Portsmouth były bardziej zatłoczone niż ostatnim razem, gdy Ariel odwiedziła to miasto. Z drugiej strony może po prostu tym razem bardziej zwracała uwagę na otoczenie. Wyglądała przez okno powozu i obserwowała kolorowe suknie przechadzających się wzdłuż witryn sklepowych kobiet. Nawet mężczyźni ubierali się kolorowo. Jej własna kremowa spódnica z czarną lamówką nie zrobiłaby na nikim wrażenia. Ariel pomyślała z nostalgią, że ostatni raz patrzy na te ulice. Tego popołudnia miała wyruszyć za ocean i nigdy nie wrócić. Ojciec czekał w zajeździe, aż zrobi ostatnie zakupy. Mimo że powinna z radością patrzeć w przyszłość, obawiała się, czy Nathan będzie umiał jej wybaczyć.

Modliła się, aby znalazł w sobie wystarczająco dużo wyrozumiałości.

Mijali kolejne sklepy. Jakiś impuls kazał Ariel zatrzymać powóz. Chciała posłać Phoebe jakiś prezent z kolonii, ale postanowiła wysłać jej coś już teraz. Musiała przeprosić kuzynkę za to, że nie zgodziła się, aby towarzyszyła jej do Portsmouth. Dwa tygodnie czekała na statek, który miał ją zabrać do Ameryki. Dwa tygodnie na pożegnanie się. Dwa tygodnie obaw. Jak miała wytłumaczyć ukochanej kuzynce, że

rozstanie w Portsmouth byłoby dla niej znacznie boleśniesz niż w domu, zwłaszcza że musiała też pożegnać się z ojcem? Phoebe było przykro, ale Ariel tak samo. Wiedziała, że będzie tęsknić za kuzynką nawet bardziej niż za ojcem, którego dopiero teraz poznawała.

- Proszę wrócić tu po mnie za godzinę - poleciła woźnicy, wysiadając z dylizansu.

Na chodniku poprawiała sobie suknię. Cukiernia, na którą zwróciła uwagę, znajdowała się po przeciwnej stronie ulicy. Phoebe nigdy nie potrafiła oprzeć się słodyczom.

Odwróciła się. Powóz na chwilę zasłonił jej widok. Oślepiło ją również słońce, którego promienie padały na tę stronę ulicy. Pewnie dlatego go nie zauważyła, choć on niewątpliwie ją spostrzegł.

Nathan. Serce w niej zamarło. Zamrugwała, żeby upewnić się, że to nie przywidzenie.

- Nathanie? - krzyknęła.

Kolejny dylizans przejechał między nimi, a gdy zniknął, Trevain wciąż stał naprzeciwko niej, tak przystojny, jakby zjawił się tu wprost z jej marzeń. Krótka, szara kurtka okrywała jego szerokie, muskularne ramiona. Na oświetlonej jaskrawym słońcem twarzy blizna była prawie niewidoczna.

Ariel ruszyła w jego kierunku. Czuła się jak we śnie. On stał w miejscu. Gdy podeszła bliżej, zorientowała się, że to nie sen, tylko jawa. On naprawdę tam stał i patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

- To ty, prawda? - spytała.

-Tak.

Nic nigdy nie brzmiało tak pięknie jak jego głos.

- Co ty tu robisz?
- Musiałem wrócić - odparł.
- Dlaczego?

Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

- Ze względu na brata.

Ogarnęło ją tak dotkliwe rozczarowanie, że o mało nie osunęła się na kolana. Odruchowo wyciągnęła rękę i położyła mu ją na ramieniu.

- Czy jego stan się pogorszył?
- Nie. Jest coraz lepszy.

Nathan nie dotknął jej. Przyznała w duchu, że byłoby to pewnie ponad jego siły. Nienawidził jej przecież. Inaczej nie stałby przed nią obojętnie, jakby nic się między nimi nie wydarzyło. Zabrała dłoń.

- Cieszę się, Nathanie. Jest mi naprawdę wstyd z powodu krzywdy, jaką moi rodacy wyrządzili twojemu bratu.

Kiwnął głową, ale milczał. Po ulicy przejechał wóz z sianem.

- A ty? Co robisz w Portsmouth?

Ariel spojrzała mu głęboko w oczy, żeby dostrzegł całą miłość, którą czuła do niego.

- Przyjechałam dla ciebie. - Oczy napełniły jej się łzami. - Przyjechałam dla ciebie, bo cię kocham. Nie mogłam pozwolić, abys myślał, że jest inaczej. Dziś miałam wyruszyć do Ameryki.

- Och, Ariel - powiedział i wziął ją w ramiona. - Nie mogę uwierzyć, że mówił prawdę.

Ariel zamknęła oczy. Zrozumiała, że czeka ją przyszłość, o jakiej nie śmiała marzyć. Usłyszała westchnienie Nathana. A może to ona sama westchnęła?

- Kto mówił prawdę? - spytała.

- Mój brat. Twierdził, że podsłuchał, jak mówiłaś jakiemuś oficerowi, że mnie kochasz.

Wess słyszał tę rozmowę? A ona sądziła, że był nieprzytomny. Zresztą, nieważne.

- Kocham cię, Nathanie. - Położyła mu dłoń na sercu. Przechodnie oglądali się na nich, ale jej było wszystko jedno. - Kocham cię z całej duszy.

- Moja ukochana Ariel - powiedziała, patrząc na nią z zachwytem.

Ariel zamknęła oczy.

- Och, Nathanie. Gdy zmusiłam cię do wyjazdu...

- Ciii... - uciszył ją, kładąc jej palce na ustach. - Rozumiem, Ariel, naprawdę. Wszystko sobie ułożyłem, gdy wypłynęliśmy w morze. Ojciec zmusił cię, żebyś dokonała wyboru, tak? Albo się mnie wyrzekniesz, albo zostanę aresztowany?

Nie odpowiedziała, tylko mocniej wtuliła się w niego. Boże, tak bardzo za nim tęskniła, za jego zapachem, głosem.

- Tak było?

Odsunęła się nieco i spojrzała mu głęboko w oczy. Patrzył na nią z miłością i wtedy uświadomiła sobie, że wcale się na nią nie gniewa.

- Tak, Nathanie.

- Łotr - syknął ze złością Trevain.

- Nie, Nathanie. Nie mów tak, bo ojciec zrozumiał swój błąd. To dzięki niemu udało mi się tu dotrzeć. Wyrzekł się nawet możliwości zobaczenia własnego wnuka, żeby mi pomóc.

- Wnuka?

- Tak, być może w tej chwili noszę pod sercem naszego syna.

- Nasz syn - szepnął z uśmiechem. - Nasz syn. Podobą mi się brzmienie tych słów.

- Mnie też - westchnęła ze łzami w oczach.

Nathan nachylił się i pocałował ją. Nie przejmowali się tym, że stoją na środku chodnika i że ludzie w sklepach i przechodnie przyglądają im się, niektórzy z zazdrością, inni z oburzeniem. Zależało im tylko na sobie nawzajem. I tylko to, jak później przekonała się Ariel, miało znaczenie.

## Epilog

*Anglia, 1803*

Szesnastoletnia lady Caroline Trevain wpatrywała się w gładką powierzchnię jeziora i rozważała trudny temat - miłość. Matka często powtarzała jej, że z miłością nie ma żartów. Oczywiście matka była w tej dziedzinie autorytetem. Podobno w młodości zrujnowała sobie reputację, co wywoływało w Caroline pewną zazdrość. Krążyły też plotki, że była porwana przez ojca, ale na te nie zwracała uwagi, biorąc je za wymysły staruszka, jej dziadka, hrabiego Bettencourt.

Jeśli niegdyś jej matka łamała zasady etykiety, teraz była zupełnie pozbawiona fantazji.

Caroline wrzuciła do wody kamyk. Skrył się w niej z pluskiem, a na powierzchni wokół miejsca, w którym zatonął, utworzyły się kręgi.

Dlaczego matka była wobec niej tak surowa, mimo że w młodości nie przejmowała się opinią ludzi? Caroline nie potrafiła tego zrozumieć.

Dziś chciała jedynie iść na przyjęcie. Zatańczyć jeden jedyny taniec, zanim wyjadą z Anglii. Westchnęła i na sercu zrobiło jej się tak ciężko, że o mało się nie rozpłakała.

- Co się stało, maleńka?

Wzdrygnęła się zaskoczona na widok ojca.

- Dobry wieczór, tатku.

Spojrzał na nią pytająco. Miał opaloną twarz i włosy równie czarne jak jej i matki. Caroline była bardzo podobna do ojca, ale oczy odziedziczyła po matce.

- Mogę usiąść?

Dziewczyna poklepała ziemię obok siebie i odsunęła na bok różowy materiał sukni.

- Oczywiście.

- Co jest? - spytał znowu.

Początkowo nie chciała odpowiedzieć, ale z ojcem łączyła ją wyjątkowa więź, zupełnie inna niż ta między jej matką w młodości i dziadkiem.

- Denerwuję się wyjazdem z Anglii.

- Wyjazdem czy raczej tym, że nie pożegnasz się z lordem Robertem?

Caroline spojrzała zdziwiona na ojca i odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk.

- Czy to aż tak oczywiste?

- Jasne jak słońce.

Skrzywiła się.

- Co za porównanie, tатku.

- Prawdziwe.

Uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście.

- Będą przecież inne wieczorki. Poznasz innych młodych ludzi.

- Ale Robert wyjeżdża na wojnę z Francuzami. To może być moja ostatnia szansa, żeby się z nim zobaczyć.

- Zapewniam cię, kochanie, że zobaczysz go jeszcze.

- Skąd wiesz?

Ojciec uśmiechnął się.



- Bo w tej właśnie chwili Robert jest u nas w domu i czeka na ciebie z matką w salonie.

Caroline zerwała się na równe nogi.

- Tatku, dlaczego mi nie powiedziałeś wcześniej?

- Bo miałem zachować to w tajemnicy. Będziesz musiała mnie bronić, jeśli matka zrobi mi awanturę.

Dziewczyna nachyliła się i uściskała ojca. Nathan zamknął oczy i uświadomił sobie, że kocha swoją jedyną córeczkę jeszcze bardziej niż jej matkę, o ile to w ogóle możliwe. Pod każdym względem przypominała Ariel, a on każdego dnia dziękował Bogu, że dał mu córkę.

- Dziękuję, tatku - powiedziała.

Pocałowała go i pobiegła do domu.

Nathana opadły wspomnienia. Myślam wrócił do czasów, gdy Caroline przysłała na świat, potem jeszcze wcześniej, do dnia, gdy w Ameryce urodził się Colin. Nathan był dumny, że jego syn przyszedł na świat w wolnym kraju. Rany zadane dawnemu Heliosowi w przeszłości dawno zagoiły się dzięki jego angielskiej żonie.

- Dziękuję, że powiedziałeś naszej córce, iż przybył jej ukochany.

Nathan podniósł wzrok. Stała przy nim kobieta, którą poślubił dwadzieścia lat temu. Miała na sobie suknię w kolorze bursztynu. Była równie piękna jak wtedy, gdy ją poznał. Mężczyźni ciągle wodzili za nią rozmarzonym wzrokiem, teraz nawet bardziej niż kiedyś. Wciąż miała gęste, czarne włosy. Po narodzinach syna po lewej stronie głowy pojawiło się siwe pasemko.

- Wiem, że chciałaś, abym jej to powiedział. Inaczej odesłałabyś stąd Roberta, gdy tylko się u nas pojawił.

Ariel zacisnęła usta.

- A skąd to wiesz?

- Bo ty, kochanie, podobnie jak ja, wolisz, żeby młodzi widywali się w zaciszu naszego domu niż w jakimś zajeździe.

- To nieładnie z twojej strony, że przypominasz mi o mojej przeszłości.

- Ale to była wspaniała przeszłość, prawda?

Ariel spojrzała łagodnie na męża i usiadła obok niego.

- Rzeczywiście - odparła. - My może i nie chcieliśmy wracać do Anglii po śmierci twojego stryja, ale dzieci są zadowolone. Pewnego dnia to hrabstwo i ziemie mojego ojca będą należeć do Colina.

- A propos, kiedy zawija do portu ten stary okręt wojenny?

- Jutro - odpowiedziała z uśmiechem.

- Co za smutny zbieg okoliczności. Jutro muszę się wybrać do miasta...

Ariel uderzyła go lekko w ramię.

- Nieprawda.

- Jak to?

- Nieprawda.

Nathan uśmiechnął się i znów pograżył w rozmyślaniach.

- Dobrze nam było? - szepnął.

Ariel przytaknęła.

- Tak. Jeśli nasze dzieci będą miały choć w połowie tyle szczęścia co my, znajdą to, co nas łączy. Nadal.

Uśmiechnęła się drżącymi wargami. Nathan zdziwił się, widząc łzy w jej oczach. Uniósł jej brodę do góry, tak jak robił to tysiące razy i jak będzie robił do końca ich dni.

- Kocham cię, Ariel. Jesteś moją księżniczką z bajki.
- Księżniczką z bajki? - Uśmiechnęła się.
- Oczarowujesz mnie swoimi pocałunkami i uśmiechem, najdroższa. Każdego dnia dziękuję Bogu, że postawił cię na mojej drodze.

Zdziwiony poczuł, jak wilgotnieją mu oczy.

- Oczarowuję cię pocałunkami? - spytała. - Podobna mi się to stwierdzenie.

- Co ty na to, żebyś ci pokazał, jak bardzo jestem oczarowany?

Nachylił się i pocałował ją. Zawsze kiedy ją widział, miał ochotę ją pocałować. Nic się nie zmieniło od dwudziestu lat i wiedział, że tak pozostanie do końca życia.

- I co ty na to? - spytał za jakiś czas, nie zdejmując dłoni z jej twarzy.

- Rzeczywiście - odparła, patrząc na niego czule. - Myślę, najdroższy, że to ty mnie oczarowujesz swoimi pocałunkami.